To jest już koniec wojny

WASILIJ CZUJKOW

• ABBA w oazie seksu • Dramatyczny lot nad Azją • Aktorzy • Hipotezy – krew i historia • Incydent na stadionie • Powrót Erssona

Gramy dalej

Rozmowa z prezesem Robotniczego Towarzystwa Sportowego WIDZEW — LUDWIKIEM SOBOLEWSKIM

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 19 (1310) ROK XXVI 7 MAJA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Tropami ludzi i zwyczajów

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

Zygmunt Gloger, etnograf i historyk, zwykł był mówić „iż obce rzeczy dobrze wiedzieć jest, a swoje obowiązek". Dlatego warto przypomnieć to, co już zapomniano z tradycji i obyczaju, to, co składa się na kulturę środowiska. A wiadomo, że obyczaje i zwyczaje nierozłącznie były związane z kulturą nie tylko regionu, ale także określonego zawodu czy środowiska. A folklor poszczególnych grup zawodowych jakże jest przebogaty i różnorodny. Z czasów dziecięcych czy wakacji na wsi, w naszej pamięci kołacze się niejedna opowieść o strachach i duchach pokutujących w młynach i wiatrakach. Wielu młynarzy, zwłaszcza wiatraczników, posądzano o spółkę z diabłami, które ponoć miały im napędzać wiatr w śmigi. Zapiski na ten temat znaleźć można w niejednym utworze literackim, a wiele innych, równie ciekawych, tkwi jeszcze w ludzkiej pamięci.

W czasie swoich reporterskich wędrówek, niejednokrotnie urozmaicałem tę pamięć i coraz częściej udaje mi się nagrać ciekawą opowieść czy wspomnienie. Raz jest to opowieść może trochę i podobna do już kiedyś nagranej, ale najczęściej są to relacje i wspomnienia o sprawach mało znanych. I tak np. mam już kilka wersji opowiadań, i to z różnych regionów kraju, o tym jak młynarz zaprzągł do pracy chytrego przecież diabła. Ciekawe są też opowieści o diabelskich umizgach do młynarek. Ten diabelski ciąg moich zbiorów jest jeszcze otwarty. Każda wyprawa przynosi nowe elementy i szczegóły, a także nowe opowieści. Pozwól więc Czytelniku, że dziś tylko zapowiem szerszą relację z tych diabelskich spotkań, które w „Odgłosach" zaprezentuję niebawem.

SPISANE Z TAŚMY

— Husis? — zapytałem wchodząc na podwórze pana Wincentego Powikrowskiego w Bogutach koło Ciechanowca, w województwie łomżyńskim.

— Klapersis — odpowiedział zaskoczony moją znajomością młynarskiego hasła...

WINCENTY POWIKROWSKI już nie mieszka w Bogutach. Ten z młynarskiego rodu wywodzący się młynarz jest dziś cieślą w podwarszawskim Pruszkowie. Miałem szczęście, przyjechał do syna. I jakież było jego zdziwienie kiedy się przedstawiłem.

— To pan jest tym Don Kichotem z radia?

— Tak.

— A przecież przed godziną mówił pan w radiu o wiatrakach...

— Owszem ze studia w Białymstoku — to go trochę uspokoiło. Był gościnny, ale nieufny, sztywny. A ja chciałem mieć go „na luzie", chodziło mi przecież o nagranie opowieści i zdobycie informacji, których jeszcze nie miałem. O zwyczajach młynarskich pamiętają przecież tylko najstarsi młynarze. Młodzi słyszeli o nich jedynie od swoich ojców czy majstrów.

— Jaką wodą idziecie — zapytałem, kiedy siedliśmy na ławce — zieloną czy białą?

— Zieloną — odpowiedział przyglądając się mikrofonowi i moim rękom.

(Tłumacząc moje pytanie z gwary młynarskiej, pytałem, jakiej techniki jest specjalistą, wodnej czy wiatracznej. Mgr **Józef Lech**, z Muzeum Etnograficznego w Łodzi, wtajemniczył mnie, że „białą wodą pracować" — oznaczało być specjalistą od młynów wodnych, a „zieloną" — od wiatraków. Hasła te stosowane były w przypadku przybycia do młyna wędrownego czeladnika.

Etnografowie podkreślają, że czeladnik po tzw. wyzwolinach, przez dwa lata musiał wędrować od młyna do młyna w celu zdobycia praktyki. Wędrowali także doświadczeni młynarze nie mający własnych młynów wodnych czy wiatraków.

Dawna to sprawa i niewiele starych młynarzy tych wędrowników jeszcze pamięta. Młodzi nie rozumieją, że trzeba było szukać pracy. Przecież dziś wiatraki giną właśnie z braku następców.

— A skąd zna pan nasze hasło? Pan z młynarskiej rodziny?

— Nie. Znam je z relacji etnografów, a przede wszystkim z listów słuchaczy, i spotkań z pana kolegami — młynarzami.

— To pan miał szczęście, że jeszcze starych spotkał. Te hasła to nie tylko powitanie, to szyfr wtajemniczonych. Myśmy musieli się bronić, bo wśród tych wędrownych było wielu rajzerów i pijaków wykorzystujących naszą solidarność młynarską. Najwięcej ich wędrowało po pierwszej wojnie i w czasie kryzysu lat trzydziestych. A solidarność zawodowa nakazywała dać im poczęstunek, przenocować...

— i wyposażyć na dalszą drogę w tzw. giszenk...

— A, to bezwarunkowo i to nie jak żebraka, a jak kolegę, fachowca.

— Czy prawda to, że prawdziwy czeladnik nigdy nie wszedł w głąb młyna nie zaproszony przez młynarza?

— A jakże. Stawał na progu, a na stopniu stawiał swój tobołek i laskę.

— Ten tobołek nazywaliście „pantelem", tak?

— Ooo, o właśnie. A wie pan, że ja do pana miałem napisać? Bo pan kiedyś mówił już o zwyczajach młynarskich związanych z wyzwolinami na czeladnika. Nie wie pan jednak, że po haśle podawaliśmy sobie ręce, ale nie tak zaraz. Przed uściśnięciem dłoni wykonywaliśmy ręką półkolisty zamach, jak ruch koła młyńskiego.

— To był ciąg dalszy hasła i odzewu?

— Właśnie. Jeśli tamten i to znał, to znaczy, że jesteśmy fachowcy, koledzy. No to wchodź bracie. W sam raz pasujesz, bo mam tępe kamienie, jest robota, dobrze zapłacę. Panie, i od razu, kiedy brał oskard, widziało się czy to łobuz i rajzer, czy też faktycznie czeladnik. Ale to jeszcze nic. Trzeba było bardzo uważać na jego pierwsze uderzenia oskardem. Bo łobuz mógł zepsuć cały kamień.

5

— Proszę mi powiedzieć szczerze, czy wierzył pan w awans Widzewa do finału Pucharu Europy.

— Wierzyłem.

— Nawet po przegranym meczu w Turynie?

— Tak. Powiem pani dlaczego. Wiem po prostu, że nasz zespół cechuje duża ambicja. Widzew potrafi grać z trudnym przeciwnikiem.

— Ale po spotkaniu w Turynie Widzew miał do odrobienia stratę dwóch bramek.

— To prawda. Ale gdyby w pierwszych 15 minutach meczu w Łodzi z czterech znakomitych sytuacji padła tylko jedna bramka, to mecz na pewno potoczyłby się nieco inaczej. Przecież Widzew nie zrezygnował z walki, gdy. Włosi prowadzili już 1:0 i strzelił dwie bramki. Co tu zresztą dużo mówić, gdyby nie chodziło o strzelenie następnych bramek to można byłoby spokojnie bronić wyniku 2:1. Więc, jak pani widzi, moje rozważania nie były pozbawione realizmu.

— Tym bardziej przykro, że nie wyszedł Widzewowi mecz w Turynie.

— Tak. Chłopcy zagrali go zbyt asekuracyjnie. Potrafili znaleźć sposób na huraganowe ataki Rapidu i Liverpoolu, a nie mogli sobie poradzić z włoską obroną, która chwilami składała się z 10 zawodników. Na nieskuteczności naszego ataku zaważyła również słaba ostatnio dyspozycja Smolarka. Brakowało również Filipczaka.

— Wie pan, jakie plotki usłyszałam? Że mecz w Turynie był sprzedany.

— Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, co mówią. Widzew grał już niejeden mecz pucharowy i nigdy by na takie coś nie poszedł. To raz. A dwa: trudno sobie nawet wyobrazić, żeby na tak wysokim szczeblu rozgrywek ktoś próbował kupić mecz. Wyszłaby przecież z tego nieprzeciętna afera. Ci, którzy rozpuszczają takie plotki, robią to albo z czystej złośliwości, albo kompletnie nie rozumieją mechanizmów rządzących wielką piłką.

— Pan wierzył w awans Widzewa, ja byłam pesymistką. Ale dojście Widzewa do półfinału Pucharu Europy to i tak ogromny sukces. Przecież trzeba pamiętać, że drużyna Widzewa, która zdobyła mistrzostwo Polski i drużyna, która wyeliminowała Liverpool oraz walczyła z Juventusem — to dwa zespoły o różnych składach.

— Oczywiście. Z tamtego składu ubyło 7 zawodników. A to jest bardzo dużo.

— Zgadza się więc pan, że jest to i tak ogromny sukces klubu.

— Ja uważam, że jest to największy sukces polskiej ligowej piłki nożnej. Wystarczy przecież porównać, z jakimi znakomitymi zespołami grał teraz Widzew, a z jakimi zespołami grali przed laty Górnik Zabrze czy Legia. To są podstawowe różnice. Jesteśmy z tego, co osiągnęliśmy, zadowoleni. Ale, jak pani wie, w miarę jedzenia rośnie apetyt.

— To jaki cel teraz sobie stawiacie?

— Cel jest jednoznaczny — finał Pucharu Europy.

— Najpierw trzeba zdobyć znów mistrzostwo Polski.

— Wiem o tym. Po meczu z Legią, kiedy chłopcy czuli jeszcze zmęczenie po walce z Juventusem, ale mimo to widziało się ich

6

2 maja godzina 1 minut 25. Walki, choć nie wszędzie, jednak się toczą. Słychać serie z pistoletów maszynowych i wybuchy granatów. Usiłuję zasnąć. Nakrywam się burką. Ale znów dzwonek telefonu — i sięgam po słuchawkę.

Meldunek ze sztabu 28 korpusu piechoty gwardii. Czterdzieści minut po północy radiostacja 79 dywizji piechoty gwardii odebrała radiogram ze sztabu w języku rosyjskim:

„Halo! Halo! Mówi niemiecki pięćdziesiąty szósty korpus. Prosimy o wstrzymanie ognia. O godzinie zero pięćdziesiąt czasu berlińskiego wysyłamy parlamentariuszy na most Potsdamer. Znak rozpoznawczy — biała flaga. Czekamy na odpowiedź".

Natychmiast wydaję rozkaz: zaprzestać szturmu tylko na odcinku spotkania z parlamentariuszami: przekazać do sztabu LVI korpusu pancernego, że przejście i spotkanie parlamentariuszy w określonym czasie i określonym miejscu zostanie zabezpieczone; na innych odcinkach kontynuować szturm. Na spotkanie parlamentariuszy wysyłam oficera sztabu armii, podpułkownika Matusowa, i tłumacza kapitana Kalberga. Udzielam wskazówki: nie prowadzić rokowań na żaden inny temat, tylko na temat bezwarunkowej kapitulacji, niech od razu składają broń.

Przyniesiono pismo. Na papierze pieczęć — Ambasada Królestwa Szwecji (w języku szwedzkim). Dalej po rosyjsku:

Do dowodzącego generała.

Niniejszym pozwalam sobie zwrócić Pana uwagę na to, że Ambasada Królestwa Szwecji mieści się pod adresem: Rauchstrasse nr 1, 3, 25 i przy Tiergartenstrasse nr 46. Adres kościoła szwedzkiego: Berlin, Wilmersdorf, Landhausstrasse nr 37.

Zwracam się do radzieckich władz wojskowych o umożliwienie ambasadzie dalszego wykonywania zadań w zakresie opieki nad obywatelami szwedzkimi i szwedzkim mieniem.

Byłbym Panu bardzo wdzięczny za umożliwienie rozmowy z kompetentnym przedstawicielem Armii Czerwonej.

Oczekuję życzliwej Pana odpowiedzi w powyższej sprawie. Jak wiadomo, Ambasada Królestwa Szwecji sprawuje do tej pory powiernictwo nad sprawam radzieckimi w Niemczech.

Berlin, 1 maja 1945 roku

Hugo Erifast, chargé d'affaires

Do ambasady szwedzkiej został wysłany oficer sztabu z zapewnieniami, że dowództwo armii odniosło się z należytą uwagą do listu chargé d'affaires i gwarantuje pełne współdziałanie z ambasadą w jej sprawach służbowych.

Walki wciąż jeszcze trwały, ale już z większymi przerwami. Generał armii Sokołowski poszedł odpocząć w sąsiednim domu. Ja także padałem z nóg.

Znów telefon. Meldunek z 47 dywizji piechoty gwardii: wysłani na most Potsdamer oficerowie ze sztabu spotkali tam niemieckich parlamentariuszy — jednego pułkownika i dwóch majorów. Pułkownik von Dufwing, szef sztabu LVI korpusu pancernego, powiedział, że został upoważniony przez dowódcę korpusu, generała artylerii Weidlinga, do złożenia wobec dowództwa radzieckiego oświadczenia o decyzji zaniechania oporu przez jednostki LVI korpusu pancernego i kapitulacji. Pułkownik von Dufwing przedstawił przy tym następujący dokument:

Dowódca LVI korpusu pancernego.

Stanowisko dowodzenia. 1. 5. 45 roku.

Pułkownik Sztabu Generalnego von Dufwing jest szefem szta-

3

Żyć na wsi

Ludzie na wsi mówią: — Tym w mieście to jest dobrze, życie mają lekkie, pracują tylko 8 godzin, mają wygodne mieszkania. Ludzie w mieście też mają pogląd na temat życia na wsi: — Tam jest dobrze, chłopi się dziś bogacą, kupują samochody, ciężko pracować nie muszą, bo im wszystko samo rośnie. Ani jeden, ani drugi pogląd nie jest prawdziwy. Nie jest łatwo ani w mieście, ani na wsi. Ale takie stwierdzenie, choć niewątpliwie prawdziwe, nikogo nie przekonuje. Dlatego proponuję **krótki przegląd danych o warunkach życia na wsi w województwie miejskim łódzkim.**

1. OGÓLNE DANE

Województwo miejskie łódzkie obejmuje 1 523 km kwadratowe powierzchni, na której znajduje się 8 miast i 11 gmin. W 1981 roku mieszkało tutaj 1 136,5 tysięcy ludzi. Z tego w miastach 91,4 procent. Na jeden kilometr kwadratowy przypadało na koniec 1981 roku **746,2 osób** statystycznych, podczas gdy w całej Polsce **115 osób.**

Również **procent ludności wiejskiej** w porównaniu z Polską jest stosunkowo niski. W łódzkim — **8,6**, w kraju **40,9**. Być może właśnie przez to różnice w poziomie życia i jego warunkach są tym ostrzejsze i jaskrawsze.

Użytki rolne stanowią tutaj 101.1 tysięcy ha, w tym orne — 84,1 tysięcy ha. Gospodarstwa uspołecznione dysponują 11,1 proc. tych użytków. Jest to znacznie mniej niż w całym kraju, gdzie stanowią one 25,1 procent. Dla porównania można podać, że w olsztyńskim stanowią one 50,8 procent, w elbląskim — 52,8 proc., w zielonogórskim — 54,4 proc., w gorzowskim — 58,5 proc., w słupskim — 59.9 proc., a w koszalińskim — 64,3 procent. Najniższy procent gospodarstw uspołecznionych posiada województwo siedleckie — 2,9.

2. JAK SIĘ NA WSI ZARABIA?

Jest to pytanie dość złożone. Na wsi zarabiają bowiem lekarze tam pracujący, pracownicy urzędów gminnych, placówek handlowych, nauczyciele. Ale nas przede wszystkim interesują zarobki rolników lub ludzi żyjących z rolnictwa. O zarobkach w gospodarstwach indywidualnych trudno mówić. Należałoby raczej mówić o dochodach. Ale dysponujemy danymi z PGR, rolniczych spółdzielni produkcyjnych i spółdzielni kółek rolniczych za rok 1982. Oto one. Średnia płaca w 1982 roku kształtowała się:

— w PGR	— 12 446 zł
— w spółdzielniach rolniczych	— 7 993 zł
— w spółdz. kółek rolniczych	— 10 007 zł

Być może o stanie finansowym rolników więcej powie fakt, że w 1982 roku na wszystkich kontach rachunkowych w różnego rodzaju bankach było 1 474 milionów zł oszczędności, a zadłużenie rolników w tychże bankach wynosiło 1 293 miliony zł. Z danych tych można wyciągnąć jeden wszakże wniosek, że pokazuje on rozwarstwienie wsi. Są tacy gospodarze, którzy mogą sobie pozwolić na odkładanie pieniędzy i tacy, którzy muszą brać kredyty. Pytanie tylko, jakiego rodzaju były to kredyty. Czy były one przeznaczone na inwestycje? Na rozwój gospodarstw? Byłbym również ostrożny ze zbyt pochopnym wnioskiem, dotyczącym oszczędności rolników. Często mogą one być nie tyle dowodem zamożności, co oczekiwania na możliwość kupna maszyn rolniczych. Ilość podań w urzędach gminnych ubiegających się o umożliwienie kupna ciągników jest dość pokaźna. Możliwość spełnienia już nie tyle oczekiwań rolników, co ich potrzeb jest minimalna.

3. MIESZKANIE

Jak się na wsi mieszka — to na ogół wiemy. Są na wsi piękne piętrowe domy, z garażem, niemal wille. I są chaty chylące się ku upadkowi, kryte słomą. Wieś jednak buduje. Wolniej, szybciej, często brzydko, ale stawia się na wsi domy murowane, choć żal czasami, że ginie tradycyjne, wiejskie budownictwo drewniane.

Tak to wygląda na zewnątrz. A jakie jest wyposażenie tych domów? Jak w nich gęsto?

Szacuje się, że na wsi jest 28,7 tysięcy mieszkań z 90 tysiącami izb. Dużo to, czy mało? Otóż według tych szacunków jedno mieszkanie składa się średnio z 3,12 izb, a **na jedną izbę przypada 1,09 statystycznej osoby.**

Według danych spisu powszechnego z 1978 roku:

— przed 1944 roku wybudowano **38,8 procent** mieszkań,

— w latach 1945 — 1970 wybudowano **46 procent,**

— w latach 1971 — 1978 — **15,2 procent** mieszkań.

Jeśli chodzi o ilość mieszkań wybudowanych przed 1945 rokiem, to na przykład w gminach **Andrespol i Aleksandrów** jest ich przeszło 45 procent, natomiast w gminach **Rzgów, Głowno i Brójce** poniżej 32 procent.

Szacuje się również, że **ponad 55 procent mieszkań jest już technicznie zużyta** i stan zużycia wynosi przeszło 70 procent. Ostatni rok — czas kryzysu nie sprzyja budownictwu — przyniósł nieznaczny przyrost liczby mieszkań. W całym województwie przybyły w 1982 roku 5 894 mieszkania, a ubyło — 746. Na wsi są to jednak ilości minimalne. Przybyły 352, a ubyły 82. Najwięcej, bo 90 przybyło w gminie **Aleksandrów Łódzki, najmniej,** bo 10 w gminie **Parzęczew.** Natomiast nic nie ubyło w tym czasie jedynie w gminie **Andrespol.**

Wiejskie mieszkania należycie wyposażone stanowią **tylko 31 procent** wszystkich.

Na wsi w mieszkaniu jest:

— wodociąg w 30,4 procent wiejskich mieszkań,

— ustęp w 19.8 procent,

— zlew w 27.2 procent,

— łazienka w 23,3 procent,

— gaz prawie wyłącznie z butli w [illegible] procent,

— centralne ogrzewanie w 21,7 procent.

4. WODA

Woda na wsi jest niezbędna i nie tylko dla utrzymania odpowiedniego stanu higieny, ale przede wszystkim w hodowli. Bez wody trudno jest na przykład hodować bydło. Dlatego tak ważną rzeczą jest wodociąg wiejski albo domowe hydrofornie, które nie tylko ułatwiają życie mieszkańcom wsi, ale umożliwiają rozwijanie gospodarki, w tym hodowli.

Jeśli więc w Łodzi mamy 1 003 km sieci wodociągowej, to już na wsiach województwa 155 km. Natomiast łącznie we wszystkich miastach województwa mamy 1 230 km. Poza Łodzią najdłuższą sieć wodociągową ma **Zgierz,** bo 89 km. Pabianice mają 70,2 km. Natomiast **najmniejszą ma Stryków** — 1,8 km.

Jak to jest na wsi?

Najdłuższą sieć wodociągową ma gmina **Nowosolna** — 35,4 km. W gminie tej 629 budynków jest podłączonych do sieci wodociągowej. W gminie **Zgierz,** gdzie jest 21,3 km, do tej sieci jest podłączonych 635 budynków. Najmniej, bo 6 budynków jest podłączonych w gminie **Andrespol.** Nieco więcej, bo 15 w gminie **Głowno.**

Interesujące jest zestawienie zużycia wody w metrach sześciennych na 1 mieszkańca. W Łodzi wynosi ono 78,3 metrów sześciennych, w **Zgierzu** — 44,7, w **Ozorkowie** — 37, a w **Głownie** — 17,5 m sześciennych. To są miasta. A na wsi?

Największe zużycie występuje w gminie **Nowosolna** — 33.4 m sześciennych. Wysokie — stosunkowo — jest jeszcze w gminie **Ozorków** — 26,1 i w gminie **Brójce** — 23 m sześcienne. W gminie **Głowno** jest to już 2,5 m sześciennych, w **Andrespolu** — 0,9, w gminie **Stryków** — 3,5, w gminie **Parzęczew** — 3,1, w gminie **Pabianice** — 6,5, a w gminie **Rzgów** — 7,4 m sześciennych.

5. GDZIE KUPOWAĆ?

Przede wszystkim nie bardzo jest co kupować. Ale tak zwaną sieć handlową tworzy się nie pod warunki kryzysu, ale normalnego funkcjonowania przemysłu. Tak też ona była tworzona, choć mieliśmy do sposobu pracy handlu wiele zastrzeżeń. Popatrzmy na to z punktu widzenia statystyki. Ogółem w województwie — jak to się określa — na punkt sprzedaży detalicznej w 1982 roku przypadało 241 mieszkańców. W Łodzi — 245. W **Pabianicach** — 219, w **Zgierzu** — 218, w **Strykowie** — 140.

W miastach województwa miejskiego łódzkiego średnio na jeden punkt handlowy przypada 230 mieszkańców, na wsi — 277. Takie są średnie. A jak to wygląda w poszczególnych gminach?

W gminie **Aleksandrów Łódzki** na jeden punkt sprzedaży detalicznej przypada 426 mieszkańców, w gminie **Pabianice** — 325 mieszkańców. **Nowosolna** — 316, **Stryków** — 314, w gminie **Zgierz** — 282, **Andrespol** — 276, **Głowno** — 266.

Statystyka bierze pod uwagę liczbę ludzi mieszkających na danym terenie. Ale ludzie podróżują, jeżdżą po zakupy. Na przykład łodzianie narzekają, że przede wszystkim domy towarowe i duże sklepy nawiedzają ludzie spoza Łodzi i wykupują to wszystko, co się w nich znajduje. Podobnie dzieje się i w innych miastach — Zgierzu, Pabianicach.

6. JAK SIĘ COŚ ZEPSUJE

Czyli obraz usług na wsi. Nie jest on najlepszy. Ogółem na 10 tysięcy mieszkańców w województwie miejskim łódzkim, w 1982 roku było 14 zakładów usługowych. Tyle samo co w miastach, ale już na wsi tylko 6 zakładów. Są to uspołecznione zakłady usługowe. W poszczególnych gminach wygląda to różnie. W gminie **Ozorków** na przykład w 1981 roku był 1 zakład usługowy, a w 1982 roku żadnego. W gminie **Rzgów natomiast** — 17. Najwięcej. W gminie **Parzęczew** — 12, **Brójce** — 8, **Zgierz** i **Andrespol** — po 7, Stryków — 2.

Jak się coś zepsuje trzeba na gół jechać do miasta. Nie ułatwia to życia na wsi.

7. KIEDY CZŁOWIEK POCZUJE GŁÓD

Kiedy człowiek poczuje głód, ma ochotę coś zjeść. Na ogół je się w domu. Ale bywają takie sytuacje, że trzeba skorzystać z restauracji, gospody. W całym województwie jest 396 zakładów gastronomicznych. W miastach — 376, na wsi — 23. Można powiedzieć, że prawidłowo, bo człowiek na ogół jeździ w różnych sprawach do miasta. Ale jeździ i też na wieś, choćby na odpoczynek i jeść też musi. Na co może liczyć?

W 1981 roku na wsi województwa miejskiego łódzkiego było 1 099 miejsc konsumpcyjnych, a w 1982 roku 1 039, czyli zmniejszyło się o 60 miejsc. Te 60 miejsc przestały istnieć w gminie **Pabianice.** W gminie **Ozorków** nie ma ani jednej gospody. Natomiast w gminie **Andrespol** jest 6 z 56 miejscami. I jeżeli na wsi województwa miejskiego łódzkiego przypada średnio 95 osób na jedno miejsce, to w gminie **Nowosolna** — 336 mieszkańców, **Andrespol** — 271, **Aleksandrów Łódzki** — 240, **Parzęczew** — 135, a w gminie **Zgierz** — 22.

8. NA WSI ZDROWIEJ

Panuje takie przekonanie, że może na wsi praca bywa cięższa, ale za to powietrze czyste i zdrowe. Rolnicy są ogorzali, czerstwi i długo żyją. Nie jest to jednak prawda co [illegible] kazują wizyty lekarzy przeprowadzających masowe badania w czasie „białych niedziel". Już zresztą potrzeba przeprowadzania „białych niedziel" wykazuje, że mimo objęcia wsi bezpłatnym, społecznym lecznictwem, opieka lekarska na wsi jest niedostateczna. Jak to wygląda według statystyki?

W województwie miejskim łódzkim na 10 tysięcy mieszkańców przypada 28,5 statystycznych lekarzy i 51,5 statystycznych pielęgniarek. Średnia krajowa wynosi odpowiednio: 18 lekarzy i 44,7 pielęgniarek.

A w innych województwach?

Dużo mniej niż w łódzkim mają: w siedleckim — 8,8 lekarzy, ostrołęckim — 9,0, konińskim — 9,7, ciechanowskim — 10,1, kaliskim — 10,7 i białostockim — 11,1.

Inaczej sytuacja układa się w dużych ośrodkach, gdzie są akademie medyczne, przemysłowa służba zdrowia i liczne szpitale. I tak w krakowskim na 10 tysięcy mieszkańców przypada 28,4 lekarzy, we wrocławskim — 28,1, w poznańskim — 24,5, w szczecińskim — 24,4.

W tych ośrodkach — jeśli nawet w samej wsi nie ma lekarza — kontakt z nim jest znacznie ułatwiony. Łatwiej też o poradę specjalisty.

W województwie łódzkim miejskim liczba mieszkańców przypadających na ośrodek zdrowia wynosi 4 103. Na wsi jest 12 punktów położniczych i 18 aptek i punktów aptecznych. Na jeden taki punkt przypada 5 470 mieszkańców wsi.

9. KULTURA

Minęły już czasy kina objazdowego. Po pierwsze — nie ma paliwa. Po drugie — filmy są stare i wszyscy już je znają. Po trzecie — lepsze filmy można obejrzeć w telewizji. Jak to więc jest z telewizją na wsi?

W województwie miejskim łódzkim na tysiąc mieszkańców w 1981 roku było 299 abonentów telewizyjnych, a w 1982 roku — 301,8. Średnio w kraju w 1981 roku było 277. Łódź tu ma bezsprzeczny prymat. Zadecydował o tym jednak miejski charakter województwa. Gdyż w miastach na 1 000 mieszkańców było w 1982 roku 310,4 abonentów telewizyjnych, natomiast na wsi — 204.

Najwięcej abonentów na tysiąc mieszkańców ma oczywiście Łódź — 314,5. Na drugim miejscu są **Pabianice** z 305,4 abonentami, następne zajmuje **Zgierz** z 290,4.

Na wsi prym wiedzie gmina **Andrespol,** gdzie na tysiąc mieszkańców przypada 249,1 abonentów telewizyjnych, po niej idzie — jeśli tak można się wyrazić — gmina **Zgierz** z 231,1 abonentami, za nią **Ozorków** z 220,4 abonentami, dalej **Pabianice** z 209,4, **Rzgów** z 205,4, **Brójce** z 196,3 abonentami, **Stryków** z 194,4. *Najmniej jest w gminie Głowno — 166,8. To* i tak jest więcej niż w 1981 roku było w województwie rzeszowskim — 159, krośnieńskim — 152 i nowosądeckim — 141.

Telewizor ma się w domu. Jeśli założyć, że z każdego odbiornika korzysta średnio 3 widzów, to na tysiąc mieszkańców korzystają z telewizji 903 osoby. Gorzej natomiast sytuacja wygląda z książką. W warunkach kryzysu, kiedy nakłady książek są małe, a potrzeby ogromne, kiedy kwitnie spekulacja książką, wieś nie ma wielkich możliwości kupowania książek. Pytanie też, czy ma takie potrzeby i jak one są wielkie? Odpowiedź na to pytanie wymaga badań socjologicznych. My możemy założyć, że czytelnicze potrzeby wsi powinny zaspokajać przede wszystkim biblioteki.

Łódź jest dużym ośrodkiem nauki, dysponującym wielkimi bibliotekami. Wszelkie tu porównania mogą być mylące. Żeby korzystać z księgozbioru Biblioteki im. L. Waryńskiego w Łodzi, czy Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego trzeba mieć już odpowiednie przygotowanie i wysoko wykształcone potrzeby czytelnicze. Przeciętny mieszkaniec wsi, jeśli chce wypożyczyć książkę, powinien mieć łatwy do niej dostęp. Do biblioteki powinno być po prostu blisko. No i w bibliotece powinno być dużo ciekawych książek, w tym nowości. A jak to wygląda?

Na wsi województwa miejskiego łódzkiego było w 1982 roku 320,2 tysięcy woluminów w bibliotekach, skorzystało z ich księgozbioru 16,9 tysięcy osób, wypożyczając 277,6 tysięcy książek. Najwięcej książek wypożyczono w gminie **Andrespol** — 46,7 tysięcy, dużo wypożyczono też w gminie **Zgierz** — 40,6 tysięcy, w gminie **Głowno** — 29,8 tysięcy, **Stryków** — 29,6 tysięcy, **Brójce** — 26,4 tysięcy.

Ale są też i mniejsze wypożyczenia W gminie **Nowosolna** — 17,8 tysięcy książek, **Pabianice** — 16,2 tysięcy, **Rzgów** — 16,1 tysięcy.

Ogółem na wsi województwa miejskiego łódzkiego na jedną bibliotekę przypada 2 460 osób. Najkorzystniejsza sytuacja jest w gminie **Ozorków,** gdzie na jedną bibliotekę przypada 1 518 osób. Najgorzej w gminie **Andrespol,** bo 5 052 osoby, a właśnie w tej gminie było najwięcej wypożyczeń. Okazuje się więc, że nie zawsze tam, gdzie jest więcej bibliotek pracują one lepiej. Inną sprawą — wcale niebłahą — są warunki pracy tych bibliotek. Ale o tym statystyka już milczy.

10. PRAWIE RAPORT

Zaprezentowaliśmy szereg danych statystycznych opartych na wynikach pracy Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego i Głównego Urzędu Statystycznego. Jest to prawie raport o stanie warunków życia na wsi Wnioski pozostawiamy Czytelnikom. Niech sami rozstrzygną, czy dane te wyjaśniają, jak żyje się na wsi? I czy każdy mieszczuch chętnie zamieniłby się? Czy też przypadkiem nie rozumujemy często w myśl ludowego porzekadła: „Tam wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma".

LUCJAN BOGUSZ

1 MAJA W ŁODZI I WOJEWÓDZTWIE

W przededniu majowego święta odbyło się spotkanie egzekutywy KŁ PZPR z weteranami ruchu robotniczego. Zasłużeni działacze ruchu robotniczego otrzymali wysokie odznaczenia: Krzyżami Kawalerskimi OOP odznaczono pięć osób, a 10 osób udekorowano Medalem 100-lecia Ruchu Robotniczego.

Również w dn. 30 kwietnia przedstawiciele władz politycznych i administracyjnych województwa łódzkiego spotkali się z najbardziej zasłużonymi mieszkańcami Łodzi i województwa. Grupa 100 obywateli, reprezentantów wszystkich środowisk, uhonorowana została listami gratulacyjnymi KŁ PZPR i wpisami do Honorowej Księgi Przodowników Pracy Województwa Miejskiego Łódzkiego.

Ponad stutysięczny tłum manifestantów zebrał się w niedzielę na Placu Zwycięstwa w Łodzi. Wyróżniały się grupy młodzieży studenckiej i pracującej. Po wysłuchaniu przemówienia I sekretarza KC PZPR gen. Wojciecha Jaruzelskiego oraz wystąpienia Członka Biura Politycznego KC, I sekretarza KŁ PZPR, Tadeusza Czechowicza, manifestanci obejrzeli program artystyczny.

W miejscach upamiętnionych męczeństwem i walką łódzkiej klasy robotniczej i dzieci łódzkich złożono wiązanki kwiatów.

Manifestacje pierwszomajowe odbyły się również w podłódzkich miastach i gminach. Uczestniczyło w nich ponad 30 tys. osób.

W Ozorkowie manifestanci zebrali się na placu przed Halą Sportową RKS „Bzura", a następnie przemaszerowali w barwnym pochodzie na stadion, gdzie obejrzeli występy zespołów artystycznych Młodzieżowego Domu Kultury z Ozorkowa, słuchali gry Kapeli Ozorkowskiej i „Bałuciarzy" z Łodzi.

KBWE RADZIECKA ODPOWIEDŹ NA APEL KRAJÓW NEUTRALNYCH I NIEZAANGAŻOWANYCH

Szefowie rządów Austrii, Cypru, Jugosławii, San Marino Finlandii i Szwecji wystosowali do wszystkich pozostałych państw sygnatariuszy KBWE apel w sprawie spotkania w Madrycie. W imieniu władz radzieckich na apel grupy europejskich państw neutralnych i niezaangażowanych odpowiedział sekretarz generalny KC PZPR, Jurij Andropow. Stwierdził, że władze radzieckie z uwagą rozpatrzyły przesłany dokument.

Bliskie są nam zawarte w apelu myśli i idee — czytamy w radzieckiej odpowiedzi — **rozumiemy zaniepokojenie z powodu obrotu spraw na madryckim spotkaniu delegacji państw — sygnatariuszy Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Z uznaniem odnosimy się do wysiłków państw neutralnych i niezaangażowanych, które pragną przyczynić się do jak najszybszego, pomyślnego zakończenia madryckiego spotkania.**

Związek Radziecki — czytamy dalej w odpowiedzi Jurija Andropowa — od samego początku spotkania madryckiego wytrwale dąży do osiągnięcia rzeczywistych porozumień, które stanowiłyby istotny krok na drodze do umocnienia bezpieczeństwa i rozwoju współpracy w Europie na zasadach określonych w Akcie Końcowym KBWE z Helsinek.

Zmodyfikowany projekt dokumentu końcowego spotkania madryckiego, zgłoszony 15 marca br. przez państwa neutralne i niezaangażowane, traktowany jest przez Związek Radziecki jako podstawa zakończenia już w najbliższym czasie prac nad pełnym uzgodnieniem treści tego dokumentu.

W SEJMIE PLAN TRZYLETNI

Sejm podjął w dn. 28 kwietnia br. uchwałę o Narodowym Planie Społeczno-Gospodarczym na lata 1983—1985. Zakończono tym samym okres prac planistycznych w rządzie, analiz i modyfikacji dokonywanych w komisjach sejmowych, w konsultacji z różnymi środowiskami zawodowymi.

Wyżywienie narodu, mieszkania, poprawa zaopatrzenia w towary przemysłowe i ochrona najsłabszych materialnie grup ludności — to główne cele polityki społeczno-gospodarczej, nakreślone przez Sejm.

Odbyło się pierwsze czytanie przedstawionego przez Radę Państwa projektu ustawy o Społecznej Inspekcji Pracy.

Sejm uchwalił ustawy o emeryturach pracowników kolejowych i ich rodzin oraz o zmianie ustawy o wykonywaniu handlu, niektórych innych rodzajów działalności przez jednostki gospodarki nie uspołecznionej.

Liczebność Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie została zwiększona do 150 członków.

W ostatnim punkcie porządku dziennego dokonano zmian w składzie komisji sejmowych.

Posłowie zostali poinformowani o treści złożonych interpelacji oraz odpowiedzi nadesłanych na interpelacje.

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze „Odgłosów" (18/1309) ukazała się nie podpisana recenzja z książki J.S. Kmiecioka „Nocny tramwaj". Autorem recenzji jest **Tadeusz Błażejewski.** Autora i Czytelników za pominięcie nazwiska przepraszamy.

WASILIJ CZUJKOW

To jest już koniec wojny

Dokończenie ze strony 1

bu LVI korpusu pancernego. Powierzono mu w moim imieniu i w imieniu podległych mi wojsk złożenie wyjaśnień.
Generał artylerii Weidling.

Pełniący obowiązki dowódcy 47 dywizji piechoty gwardii, pułkownik Siemczenko, zapytał pułkownika von Dufwinga:

— Ile czasu potrzebuje dowództwo korpusu, ażeby złożyć broń i w sposób zorganizowany przekazać stan osobowy oraz uzbrojenie jednostek korpusu dowództwu radzieckiemu?

Von Dufwing odpowiedział, że niezbędne są trzy, cztery godziny. Przy czym zamierzają wykorzystać noc, ponieważ Goebbels wydał rozkaz strzelania w plecy wszystkim, którzy będą usiłowali przejść do Rosjan.

Wobec tego rozkazałem:

— Niech pułkownik von Dufwing powróci do generała Weidlinga z oświadczeniem, że przyjęto kapitulację, a obu majorów zatrzymać.

W oczekiwaniu na wynik zdrzemnąłem się. O godzinie 5 minut 50 obudzono mnie: przybyła delegacja od Goebbelsa. Zeskakuję z kanapy i szybko myję się w zimnej wodzie.

Przybyło trzech delegatów, w cywilnych ubraniach, z nimi żołnierz w hełmie i z białą flagą. Wydaję polecenie, by żołnierz wyszedł. Jednym z delegatów był radca Ministerstwa Propagandy, Heinersdorf.

Pytam:

— Czego panowie sobie życzą i czym mogę służyć?

Heinersdorf wręcza mi list w różowej teczce. Wiszniewski, Pożarski, Wajrub i Tkaczenko zaglądają mi przez ramię i czytają również.

Jak Pana powiadomił generał Krebs, były kanclerz Rzeszy, Hitler jest nieosiągalny. Doktora Goebbelsa nie ma wśród żywych. Jako jeden z pozostałych przy życiu proszę Pana o wzięcie Berlina pod swoją ochronę. Moje nazwisko jest Panu znane. Dyrektor Ministerstwa Propagandy, doktor Fritzsche.

Czytam i zdumiewa mnie bieg wydarzeń w ostatnich dniach, a nawet godzinach: w ślad za Hitlerem odszedł Goebbels, a kto za Goebbelsem? Ktokolwiek by był, to jednak jest już koniec wojny. Pytam więc:

— Kiedy popełnił samobójstwo doktor Goebbels?

— Wieczorem, w Ministerstwie Propagandy.

— Gdzie ciało?

— Spalone. Spalili je osobisty adiutant i kierowca.

Ciekawe... Hitler został także spalony. Przywódcy Trzeciej Rzeszy wybrali ogień jako środek oczyszczenia z ziemskich grzechów...

— Gdzie obecnie znajduje się szef Sztabu Generalnego Krebs, który wczoraj mając pełnomocnictwo Goebbelsa prowadził z nami rokowania?

— Nie wiem. Znane jest mi nazwisko nowego szefa — generała Einsdorfa.

(Później stało się wiadome, że Krebs popełnił samobójstwo).

— Czy znane są panom nasze warunki: możemy prowadzić rozmowę tylko o bezwarunkowej kapitulacji.

— Tak, znane. W tym celu przybyliśmy i proponujemy swoją pomoc.

— A jak możecie pomóc swojemu narodowi?

— Doktor Fritzsche prosi o umożliwienie mu zwrócenia się przez radio do narodu i armii, aby zaprzestano daremnego przelewu krwi i przyjęto bezwarunkową kapitulację.

— Czy wojska wykonają rozkazy Fritzschego?

— Jego nazwisko jest znane w całych Niemczech, zwłaszcza w Berlinie. Prosi, by pozwolono mu wystąpić przez radio w Berlinie.

Rozlega się dzwonek telefonu. Generał Głazunow melduje stanowiska dowodzenia 47 dywizji piechoty gwardii: z pierwszej linii przekazują, że widzą tam, jak żołnierze niemieccy formują się w kolumny.

Do sztabu niemieckiego korpusu skierowano oficera Głuszczenkę z dwoma zwiadowcami. Głuszczenko już trzeci raz w ciągu doby idzie do Niemców: przyjmował i odpowadzał Dufwinga i naszych łącznościowców, mimo że ranny, nie przestaje pełnić swych obowiązków. Teraz jest u Weidlinga.

O godzinie 6,00 w dniu 2 maja dowódca LVI korpusu pancernego, generał artylerii Weidling, w asyście dwóch generałów swego sztabu przekroczył linię frontu i oddał się do niewoli. Weidling zeznał, że jest jednocześnie dowódcą obrony Berlina. Na to stanowisko został wyznaczony przed sześcioma dniami.

Na pytanie dowódcy 47 dywizji piechoty gwardii, pułkownika Siemczenki, czy kapitulacja nastąpiła za zgodą Goebbelsa, Weidling odpowiedział że powziął decyzję o kapitulacji bez powiadomienia o tym Goebbelsa. Rozkazałem generałowi Głazunowowi wstrzymać ogień na całym odcinku korpusu, a generała Weidlinga przysłać do mnie.

Zwracam się do delegatów Fritzschego.

— Czy panom i Fritzschemu wiadomo, że garnizon berliński zaczął oddawać się do niewoli?

Odpowiadają, że kiedy wyjeżdżali, nic o tym nie wiedzieli

— Obecnie wojska niemieckie na wszystkich odcinkach kapitulują. Gdzie przebywa Bormann?

— Zdaje się, że był w kancelarii Hitlera. Tam nastąpił wybuch gazu. Bormann i cała rodzina Goebbelsa zginęli.

Telefonuję do marszałka Żukowa i melduję o celu przybycia delegacji Fritzschego.

— Czy można mieć pewność, że doktor Fritzsche powie przez radio narodowi niemieckiemu to, co należy? — zapytuje Żukow.

Odpowiedziałem, że odbędzie się to pod naszą kontrolą Zapewnimy to.

Kilka minut później telefonuje Żukow. Po rozmowie z nim oświadczam obecnym, a przede wszystkim delegatom Fritzschego:

— Po pierwsze, dowództwo radzieckie przyjmuje kapitulację Berlina i wydaje rozkaz wstrzymania działań wojennych.

Po drugie, istniejące niemieckie władze cywilne i wojskowe mają oświadczyć wszystkim żołnierzom, oficerom i ludności cywilnej, że całe mienie wojskowe, budynki, urządzenia komunalne i wszelkie wartościowe obiekty powinny pozostać w stanie nienaruszonym, niczego nie wysadzać w powietrze i nie niszczyć.

Po trzecie, pan Heinersdorf pojedzie z naszymi oficerami do Fritzschego i zabierze go z sobą do radiostacji, aby odczytał odezwę, a następnie powróci tutaj.

Po czwarte, jeszcze raz powtarzam, że gwarantujemy życie żołnierzom, oficerom, generałom i ludności cywilnej, a także w miarę możliwości udzielimy pomocy lekarskiej rannym.

Po piąte, żądamy, ażeby nie było żadnych działań prowokacyjnych ze strony Niemców — strzelania i wszelkiej dywersji, w przeciwnym razie nasze wojska będą musiały podjąć odpowiednie kroki.

Heinersdorf zwraca się z prośbą, by wzięto pod ochronę pracowników Ministerstwa Propagandy.

— Ci — mówię — którzy złożą broń dobrowolnie i nie będą podejowali wrogiej działalności przeciwko obywatelom radzieckim, mogą być spokojni: włos im z głowy nie spadnie.

Przybył pułkownik Wajgaczew, a z nim tłumacz, starszyna gwardii Żurawlew. Stawiam Wajgaczewowi zadanie:

— Pojedziecie z Heinersdorfem do doktora Hansa Fritzschego. W imieniu rządu niemieckiego Fritzsche wyda wojskom niemieckim rozkaz kapitulacji i oddania do niewoli z całym uzbrojeniem i sprzętem. Niechaj Fritzsche ogłosi wszystkim przez radio, że dowództwo radzieckie wyraziło zgodę na przyjęcie kapitulacji i bierze Berlin oraz cały jego garnizon pod swoją ochronę. Zabezpieczycie przejazd Fritzschego do naszej radiostacji i zapewnicie kontrolę nad przekazaniem treści tego wszystkiego, co powiedziałem. Po przemówieniu radiowym Fritzsche i jego najbliżsi współpracownicy powinni przybyć tutaj. Porozmawiamy z nim o przeszłości. Jasne?

Pułkownik Wajgaczew i starszyna Żurawlew, a wraz z nimi delegacja niemiecka udają się w kierunku wyjścia. W drzwiach niespodziewanie spotykają się w Weidlingiem. Ten spojrzawszy na nich ponuro, powiedział:

— Trzeba to było uczynić wcześniej!

Weidling — w okularach, średniego wzrostu, szczupły, skupiony. Dłużej z nim rozmawiać nie zamierzałem. Zadaję mu pytanie:

— Pan dowodzi garnizonem Berlina?

— Tak.

— Gdzie jest Krebs? Co powiedział panu?

— Widziałem go wczoraj w Kancelarii Rzeszy.

— Jak mi wiadomo, Goebbels i jego rodzina mieli popełnić samobójstwo. Führer trzydziestego kwietnia zażył truciznę... Jego żona również się otruła...

— Czy pan o tym słyszał, czy widział to?

— Trzydziestego wieczorem byłem w Kancelarii Rzeszy. Krebs, Goebbels i Bormann tak mi oświadczyli...

— Oznacza to koniec wojny?

— Moim zdaniem, każda daremna ofiara to przestępstwo, szaleństwo...

— Słusznie. Dawno pan jest w armii?

— Od jedenastego roku. Zacząłem jako żołnierz.

— Powinien pan wydać rozkaz całkowitej kapitulacji — mówi Sokołowski.

— Nie mogłem wydać wszystkim takiego rozkazu, ponieważ nie miałem łączności — wyjaśnia Weidling.

— Z tego powodu w wielu miejscach poszczególne grupy mogą jeszcze stawiać opór. Wielu nie wie nic o śmierci führera, ponieważ doktor Goebbels zabronił informować o tym...

Sokołowski: — Całkowicie wstrzymaliśmy działania wojenne, a nawet wycofaliśmy lotnictwo. Nie orientuje się pan w przebiegu wydarzeń? Wasze wojska zaczęły się poddawać, wkrótce potem przybyła cywilna delegacja od Fritzschego z oświadczeniem o kapitulacji, my zaś, aby ułatwić jej zadanie, przerwaliśmy ogień.

— Chętnie pomogę w zaprzestaniu działań wojennych naszych wojsk — Weidling pokazuje, gdzie jeszcze pozostały jednostki SS. W zasadzie wokół Kancelarii Rzeszy. — One chcą się przebić na północ — stwierdza. — Jednostki te nie podlegają mi.

Sokołowski: — Niech pan wyda rozkaz całkowitej kapitulacji... żeby także na poszczególnych odcinkach nie stawiano oporu.

— Nie mamy amunicji. Dlatego opór długo trwać nie może.

Sokołowski: — Wiemy o tym. Niech pan napisze rozkaz. I będzie pan miał spokojne sumienie.

Weidling szkicuje projekt rozkazu. Obecni rozmawiają półgłosem. Weidling pisze...

— Może jest panu potrzebny ktoś do pomocy? — zapytuję go.

— O, tak! Byłoby bardzo dobrze — ucieszył się.

Polecam wezwać szefa sztabu niemieckiego korpusu. Wchodzi wysoki brunet — z monoklem, idealnym przedziałkiem, w szarych rękawiczkach. Frant nad franty, Niemcy się naradzają. Weidling chwyta się za głowę, ale pisze. Obserwuję go. Z gładko zaczesanymi do tyłu włosami, typowo po niemiecku akuratny.

Weidling w milczeniu wręcza mi kartkę. Czytamy... Sformułowania nie wszystkie może precyzyjne, ale on teraz — rzecz jasna — nie ma głowy do ścisłych sformułowań. Oto co napisał:

30 kwietnia führer popełnił samobójstwo i w ten sposób pozostawił nas, którzy przysięgaliśmy mu wierność, samych. Na rozkaz führera my, wojska niemieckie, byliśmy zobowiązani jeszcze walczyć o Berlin mimo wyczerpania się wszelkich zapasów wojennych i mimo że ogólna sytuacja czyni nasz dalszy opór bezsensownym.

Rozkazuję: natychmiast zaprzestać oporu.

Weidling, generał artylerii
były dowódca strefy obrony Berlina

Ranek jest szary, chłodnawy. Wspominamy Stalingrad, żartujemy, palimy.

Godzina 11 minut 30.

Adiutant melduje, że przyjechał samochodem Fritzsche.

Wchodzi — w szarym płaszczu, w okularach, niewysoki. Czyta rozkaz. Siada w milczeniu.

Fritzsche również przyjął zasadę bezwarunkowej kapitulacji. Czy tego chciał, czy też nie — był to nieunikniony wynik naszych rokowań.

Sokołowski (do Fritzschego): — Jesteśmy zainteresowani, ażeby w Berlinie panował spokój. Tym, którzy żywią obawy o swój los, możemy dać ochronę.

Fritzsche: — Niemiecka policja rozpierzchła się, ale można ją znów zebrać.

Sokołowski: — Nas policja nie interesuje. Zostanie zaliczona do kategorii jeńców wojennych. Nas interesują funkcjonariusze administracji. Zapewnimy im ochronę. Nie stanie im się krzywda. Jasne?

Fritzsche: — Nie rozumiem. Kto i komu może wyrządzić krzywdę. Kto ośmieli się na ekscesy?

Sokołowski: — I nasi pojedynczy żołnierze, i ludność niemiecka mogą mścić się na was za działalność gestapo i inne...

Fritzsche: — Tak, to możliwe.

Sokołowski: — Wszystko przewidzieliśmy, ogłosiliśmy. Jest komendant Berlina, radziecki generał Bierzarin. Utworzono komendantury rejonowe, które podejmą odpowiednie kroki. Czy ma pan jakieś życzenia?

Fritzsche: — Wystosowałem do panów list jako ostatni odpowiedzialny przedstawiciel rządu. Napisałem go, ażeby przerwać przelew krwi.

Sokołowski: — Pana wymuszony gest jest dla nas zrozumiały.

— Nie trzeba „były", jest pan jeszcze komendantem — poprawia Sokołowski.

— Czy konieczne są sformułowania o przysiędze? — wyraża powątpiewanie Pożarski.

— Nie należy poprawiać — powiedziałem — to jego własny rozkaz.

Weidling zakłopotany, nie wie, jak tytułować: wezwanie czy rozkaz?

— Rozkaz — mówię.

— Ile egzemplarzy wydrukować? — zapytuje tłumacz.

— Dwanaście. Nie, możliwie jak najwięcej...

— Dysponuję dużym sztabem — stwierdza Weidling. — Mam dwóch szefów sztabu i dwóch generałów, którzy byli w rezerwie, ale zgłosili się do służby i oddali do mojej dyspozycji. Mogą zorganizować kapitulację...

Podano herbatę... Niemców wyprowadzono do oddzielnego pokoju, gdzie dostali śniadanie. Sokołowski, Tkaczenko, Pronin, Wajnrub, Pożarski i ja wciąż od nowa komentujemy wydarzenia ostatnich dni i godzin.

— Weidling jest na granicy nerwowego wyczerpania, zauważyliście? — zapytałem.

— Przecież jest w trudnej sytuacji — mówi Sokołowski.

— Oczywiście — zgadza się Pronin. — Ale rozkaz chytry. Umiejętnie podkreślił i przysięgę, i obowiązki... On nie reprezentuje rządu — po prostu „parawan"...

Zameldowano, że rozkaz został wydrukowany. Mówię do szefa sztabu armii, generała Bielawskiego:

— Posadzić do samochodu jednego naszego oficera i jednego Niemca, dać im rozkaz do ręki, niech jadą ulicami i ogłaszają go wojskom i ludności.

Fritzsche: — Chciałbym rozszerzyć ten dokument i w tym celu muszę połączyć się z Dönitzem.

— O godzinie dziesiątej rano — powiedziałem — Dönitz zwrócił się do armii i narodu z oświadczeniem, że przejął kierownictwo i do końca będzie kontynuował walkę z bolszewizmem, a także z Amerykanami i Anglikami, jeśli będą czynić trudności. Ale dla nas nie jest on groźny!

Fritzsche: — Nic o tym nie wiedziałem.

Po ostatecznym uzgodnieniu warunków kapitulacji rozstajemy się z Fritzschem Wszyscy zastanawiamy się: czy nie jest to podstawiona figura? Chociaż wróg jest obezwładniony, nie dowierzamy mu. Myślę głośno:

— Dönitz uznał Himmlera za zdrajcę. Berlin skapitulował oddzielnie, a w ogóle, rozprawiliśmy się z nimi. Jakież u nich rozbicie i chaos, jeśli Goebbels chciał się na nas orientować...

Wszyscy wyczuli ironię i roześmiali się.

Zadzwonił telefon. Szef sztabu armii zawiadamiał, że nasze jednostki spotkały się z armią uderzeniową generała Kuzniecowa. Walki w rejonie Reichstagu, Kancelarii Rzeszy i w całym Tiergartenie zakończyły się. W Berlinie zapanowała cisza.

Powiadomiłem o tym wszystkich, którzy przebywali na stanowiskach dowodzenia.

— Nadchodzi koniec wojny — powiedział w podnieceniu Wasilij Sokołowski.

— Tak, zapalmy fajkę pokoju!

W południe skapitulował garnizon berliński, a także wojska SS, które broniły Kancelarii Rzeszy i pozostałych przy życiu przedstawicieli reżimu hitlerowskiego.

Wyszliśmy na ulicę. Wokół cisza, od której odwykliśmy Dlatego usłyszeliśmy, gdzieś niedaleko, miarowe kroki. Nawet nie chcieliśmy uwierzyć, że to nasi gwardziści maszerują tak uroczyście. Z parku Tiergarten szła kompania 79 dywizji piechoty gwardii. Na czele kompanii kapitan gwardii Kruczinin. Przed chwilą zakończyli likwidację wschodniego bunkra, gdzie faszyści próbowali jeszcze stawiać opór. Tam rozległ się ostatni wystrzał w pasie 8 armii gwardii Ostatni strzał — i gwardziści wyszli z walki na centralną ulicę Berlina w szyku marszowym. Jaka postawa, ile radości na twarzach żołnierzy-zwycięzców!

Wydaje mi się, że jeszcze nigdy nie widziałem takiego szyku marszowego. Krok w krok, noga w nogę ramię przy ramieniu. Bohaterowie, których wydała radziecka ziemia, maszerują w Berlinie! I zaraz rozbrzmiewa pieśń — pieśń szeroka, melodyjna, nasza, rosyjska. Płynie przez zadymione jeszcze ulice miasta, gdzie kiedyś przywódcom Trzeciej Rzeszy roiło się zdobycie panowania nad światem.

WASILIJ CZUJKOW
(z książki „Koniec Trzeciej Rzeszy")

IGOR SIKIRYCKI

Ballada o śpiewającym żołnierzu

WŁADYSŁAWOWI BRONIEWSKIEMU

Kroczył do boju za pułkiem pułk.
Dudnił głucho po polach.
Pył pióropuszem pryskał spod kół,
Po pas, po pierś, od kolan.

Pluli żołnierze na własny los,
Na piach, na ciasne buty.
I nagle jeden zanucił. W głos
Śpiewał już cały pluton.

Wiła się, rosła żołnierska pieśń
Wyżej niż pniaki topól —
Lżej było wtedy piechurom nieść
Troski i krople potu.

Błyski bagnetów zmierzch dawno skrył,
Ciężki jak mostu przęsło,
A pod nim żołnierz resztkami sił
Śpiewał pułkom — Zwycięstwo!

Tropami ludzi i zwyczajów

Dokończenie ze strony 1

— Podobno poznawaliście też po tym, czy za naskórkiem dłoni miał pył kamienny?

— Gusztel — to nie tylko pył kamienny, nawet drobne odpryski kamienia młyńskiego, które wbijały się pod skórę podczas nakuwania kamienia. O, widzi pan, ja gusztel jeszcze mam. Trzeba było sprawdzić, bo czy to człowiek wiedział z kim naprawdę ma do czynienia? A iluż to wśród tych wędrownych było zwykłych łobuzów, którzy doprowadzali do wyłamania zębów w kole palczastym? A ileż to razy po ich wizytach we młynie pojawiały się szczury czy robactwo...

Faktycznie, w kilku relacjach etnografów z badań terenowych, znalazłem informacje o szantażowaniu zabobonnych młynarzy przez wędrownych czeladników, którzy bezczelnie żądali nieproporcjonalnie dużych datków i wypraw na dalszą wędrówkę, w młynarskiej gwarze zwanych „giszenkiem". Wspomniany już mgr **Józef Lech**, relacjonując swoje badania w „Łódzkich Studiach Etnograficznych" (rok 1970, str. 199) pisze:

„Krążyły pogłoski, że w wyniku zabiegów magicznych wędrownych, złośliwych czeladników mogły rozlecieć się całe ściany młynów, rozpadały się również urządzenia drewniane stoczone doszczętnie od wewnątrz przez robactwo. Zapasy mąki trzeba było wyrzucać i przeznaczać na paszę dla świń, gdyż w mące pojawiły się larwy. Mówiło się, że po wizycie takiego podejrzanego o czary czeladnika, młyn nagle stawał, tak jakby coś go zaklinowało i w żaden normalny sposób nie można było go uruchomić. Zrozpaczony, bezradny, a zabobonny młynarz, zamiast stopniowo i systematycznie szukać przyczyny awarii, zaprzęgał konia do wozu, a często konno jechał do sąsiednich młynów poszukując wędrownego czeladnika, który opuścił jego młyn i prosił by łaskawie wrócił i młyn uruchomił. Posiadający duże doświadczenie i praktykę zawodową wędrowni czeladnicy, znając konstrukcję i działanie wielu urządzeń młyńskich, potrafili usunąć uszkodzenie powodujące awarię, i w krótkim czasie młyn z powrotem sprawnie funkcjonował. Szybkie uruchomienie młyna utwierdzało jeszcze bardziej młynarza w przeświadczeniu o „nadprzyrodzonych" możliwościach młynarzy wędrownych..."

— Tak panie, to święta prawda — powiedział pan Wincenty, **kiedy** zrelacjonowałem mu ten fragment badań mgr Lecha. — **A ileż to razy zabierali krawaty** (kradzież skórzanych pasów transmisyjnych — przyp. aut.) **lub podarli koszulę** (przerżnięcie gazy w odsiewaczach — przyp. aut.).

— Największą jednak zemstą było podpalenie młyna?

— Mówiło się, że „zrobili koguta". Tak, to częsta zemsta, nie tylko wędrownych czeladników niezadowolonych z gościny i giszenku.

— Najczęściej za to, że został szybko rozszyfrowany, iż nie jest czeladnikiem młynarskim za jakiego się podawał.

— Często też wędrownego wyrzucano za pijackie zaloty do żony czy córek, bo jak powszechnie wiadomo, młynarze uchodzili za ludzi bogatych i chętnie wychodziły za nich ładne, młode kobiety, którym, z czasem, starszy, zapracowany, stale siedzący we młynie mąż, szybko się nudził.

— A nie wydaje się panu, że trochę zabobonni młynarze, tym wędrownym czeladnikom, zwłaszcza starszym wiekiem, przypisywali zbyt duże umiejętności magiczne i pewne, niezrozumiałe dla nich zjawiska czy nieszczęścia, tłumaczyli działaniem czarów rzucanych przez wędrownych?

— A jakże, jeden taki stary wędrowiec mówił mi, że oni sami puszczali takie kaczki w lud, aby właściciele młynów wierzyli w ich niezwykłe możliwości. Ja sam panie miałem kiedyś kłopoty z panewkami, bo jakiś łobuz-pijak nasypał mi do nich tłuczonego szkła.

— A czy tu, na Podlasiu młynarzom wodnym wilczym sadłem smarowali barierki przy moście? (to też z badań mgr Lecha — przyp. aut.).

— O, tak panie. Konie za nic nie chciały przejechać, jakby je coś od młyna odganiało. To były łobuzy. Ale nie wszyscy, panie, nie wszyscy. Wśród nich było wielu świetnych fachowców, którzy umieli szybko usunąć nawet bardzo skomplikowane uszkodzenia. Przecież znali wiele młynów i wiele różnych urządzeń...

Toczy się opowieść o nakuwaniu kamieni, o drobnych psikusach i złośliwościach wędrownych. Taśma notuje wiernie. Będzie świetnym uzupełnieniem informacji i relacji przysłanych w listach, a i etnografów chyba zainteresuje.

Po kilku godzinach nagrania, zwijam magnetofon. Jestem zadowolony. Warto było przyjechać na Podlasie, a to dopiero początek mojej reporterskiej herberki (to właśnie wędrówka czeladników).

— Miałem szczęście, że pana tu zastałem...

— W czepku pan urodzony.

— Podobno tak.

— To może pan w tych swoich audycjach i artykułach uratuje trochę wiatraków.

— Tak myślę. Tym bardziej, że takich jak ja współczesnych Don Kichotów walczących nie z wiatrakami, a o te wiatraki, jest w Polsce bardzo wielu.

— To dobrze, że wreszcie ktoś głośno o tym mówi. Panie, przecież to skandal jak się patrzy na te ruiny, a przecież to zabytki. Odbudowujemy pałace i zamki, wydajemy na to miliony, a brakuje kilku czy kilkunastu tysięcy na kilka desek, na proste zatkanie dziury czy też uzupełnienie dachu kilku gontami lub po prostu kawałkiem blachy uzyskanej z puszki po konserwach czy beczki.

— Są już ludzie, którzy za własne pieniądze kupują i remontują wiatraki. Powoli zabierają się do tego także konserwatorzy zabytków i muzea. Te ostatnie, niestety, koniecznie chcą przenosić je do skansenów, a przecież można tak jak u Was, pozostawić na miejscu, jako filię muzeum.

— O, właśnie, toż on od dziesiątków lat związany jest z tym terenem, podobno chcą go uruchomić.

— Tak chce dyrektor Uszyński (mgr Henryk Uszyński jest jednym z organizatorów i obecnym dyrektorem Muzeum Wsi w Ciechanowcu — przyp. aut.).

— Panie szanowny, powiem panu szczerze, jak się o tym dowiedziałem, to płakałem jak dziecko. Nie wierzyłem, że moim staruszkiem jeszcze się ktoś zainteresuje. I powiem na ucho, że do Bogut, tu do syna, przyjeżdżam także dla tego wiatraka. Żeby popatrzeć, choć to już nie moje, ale stoi. A kiedyś, u w okolicy było wiele wiatraków, nawet w Bogutach też był. Dziś nie ma po nich nawet śladu, a mój jest.

— Obok wiatraka postawili już chatę młynarza, a mają przenieść jeszcze inne budynki, będzie cała zagroda.

— Jak będzie trzeba, to przyjadę i uruchomimy go. Przecież ja znam każdą jego beleczkę. To dobry wiatrak, lekki i słucha człowieka. Najmniejszy podmuch wiatru i już robi co do niego należy. Ileż to dni i nocy człowiek w nim spędził?! W wichury i w burze, panie, ileż to człowiek się narobił, sam jeden. Każda sekunda decydowała. Trzeba było dobrze zahamować, szybko wypierzyć (wyjąć drewniane płachty) **i tak ustawić cały wiatrak żeby nie załapał wiatru z tyłu, bo to byłby koniec, mogło go skotłować i przewrócić. Ileż to dobrych, mocnych, pozostawionych bez opieki wiatraków spotkał ten los? Panie, to siła, wiatr to potęga, trzeba wiedzieć jak go uspokoić...**

Kiedy dziś, po kilku tygodniach od tej wizyty na Podlasiu przesłuchuję tę taśmę i przeglądam listy, które napłynęły po radiowym opublikowaniu fragmentów tamtej rozmowy, dochodzę do wniosku, że o tych wędrownych czeladników trzeba będzie dalej rozpytywać także w innych regionach kraju. Czy i tam wędrowali młynarze, jak silne było poczucie ich solidarności zawodowej i obowiązek udzielania pomocy młodym, którzy po wyzwolinach czeladniczych, wędrowali od młyna do młyna, w celu nabrania doświadczenia lub zarobienia na życie.

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

Tam gdzie dachy słomą kryte

JERZY ŻUKOWSKI

Rozpoczynamy dziś druk wspomnień Jerzego Żukowskiego, będących formą kroniki partyzanckiego oddziału AK, który w 1944 roku działał w okolicach Łodzi. „Kronika oddziału „Sama" pisze na wstępie autor — była spisywana na bieżąco przez „Kresa", doktora Wiesława Brodzińskiego i „Kapra" — Jerzego Żukowskiego, a niniejsza historia jest trochę poszerzona relacjami i wspomnieniami tamtych wydarzeń, widzianych oczyma autora.

W szczególności proszę Towarzyszy broni z oddziału „Sama" o wyrozumienie, jeśli coś przedstawiłem trochę inaczej niźli to było w rzeczywistości. Autor tak to widział i zapamiętał i to są jego osobiste doznania i wspomnienia z tamtych lat. Starałem się opisać te wydarzenia możliwie najdokładniej i bezstronnie, przeto jeśli kogoś z kolegów nie wymieniono w historii oddziału „Sama", lub też pominięto jakąś z akcji, w której brał udział, nie pomniejsza to jego zasług i udziału w różnych działaniach bojowych. Przecież działał cały zespół oddziału, a nie jednostki, a już sama przynależność do partyzantów świadczyła o człowieku i jego charakterze, jego poczuciu obowiązku wobec Ojczyzny. Wszyscy żołnierze oddziału „Sama" byli to tylko i tylko ochotnicy, którzy „poszli, bo tak chcieli..."

Historia oddziału „Sama" jest relacją żołnierza, nie mającą żadnych aspiracji literackich, a została spisana gwoli pamięci ludzi i wydarzeń z tamtych czasów".

Mat „Kaper" JERZY ŻUKOWSKI, patrolowy oddziału „Sama".

P.S. *„Tą drogą składam serdeczne podziękowania tym wszystkim kolegom, którzy w jakikolwiek sposób dopomogli mi w odtworzeniu zaginionej historii oddziału i przepraszam za nieścisłości, których nie dało się uniknąć po tylu latach".*

JERZY ŻUKOWSKI (ur. w 1916 r. w Petersburgu) pływał przed wojną na ms „Piłsudski" jako marynarz. W maju 1939 r. powołany został do służby wojskowej w Marynarce Wojennej. Brał udział w bohaterskiej obronie Helu. Po kapitulacji dostał się do niewoli (Stalag IIC), skąd trzykrotnie uciekał. We wrześniu 1940 r. znalazł się w Głownie, gdzie zaopiekowali się nim członkowie Ruchu Oporu, pomogli w zdobyciu fałszywych dokumentów i pracy, wciągnęli w konspiracyjną „robotę". „Spalony", w 1943 r. trafił do partyzantki — najpierw do oddziału por. „Wichra" — Kucharskiego, a w maju 1944 r. — do oddziału pchor. „Sama", w którym walczył do wyzwolenia.

Po wojnie Jerzy Żukowski znów znalazł się na Wybrzeżu i zaczął pracować w Urzędzie Morskim i Straży Portowej jako marynarz. W 1947 r. przyjęty został na kurs oficerów marynarki handlowej. Wrócił na morze na ss „Tobruk". Stopniowo awansował aż do stopnia kapitana. Pływał głównie na liniach dalekowschodnich. W listopadzie 1978 r. przeszedł na emeryturę. Mieszka w Gdyni-Orłowie. Odznaczony jest m.in. Krzyżem Kawalerskim OOP, Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem AK, Srebrnym Krzyżem Zasługi z mieczami, dwukrotnie Krzyżem Walecznych, a także — egipskim Orderem Nilu V klasy za udział w ratowaniu rozbitków na morzu pod Aleksandrią w 1953 r.

Wspomnienia wojenne Jerzego Żukowskiego nie były dotąd nigdy i nigdzie publikowane. Ze względu na objętość i swą formę, za zgodą autora poddane zostały skróceniu i opracowaniu literackiemu, co w niczym jednak nie zmienia przedstawionych w nich faktów, charakteru i wymowy. Są dokumentem, który — po latach — wzbogaca historię tamtych dni.

Dedykuję mojemu synowi, Markowi. Oby nigdy nie był zmuszony bronić Ojczyzny z karabinem w ręku.

I. WYMARSZ

Pod koniec czerwca 1944 roku trzech młodych ludzi, „spalonych" członków konspiracyjnej organizacji Armii Krajowej, ukrywających się na różnych kwaterach w okolicy Głowna, otrzymało rozkaz przetransportowania trzech stenów i kilku elektrycznych latarek na melinę do pchor. Wirka (Marian Niciński) w Koluszkach, a następnie wzięcia udziału w jakiejś planowanej na tamtym terenie „robocie".

W poprzednich wyprawach na „roboty" do Koluszek i okolic jeździli koleją lub rowerem, ale tym razem przenieść mieli broń, pochodzące ze zrzutu pistolety maszynowe, których nie można było dla niepoznaki ukryć na brzuchu lub też w kieszeni, trzeba więc było iść pieszo. Po całodziennym marszu polnymi drogami i miedzami, zmęczeni upałem kpr. Łoś (Marian Bakulin), strz. Rydz (? Rydzyński) i mat Kaper (Jerzy Żukowski) dotarli tuż po zachodzie słońca do Koluszek i zameldowali się u Wirka, którego dom przy ul. Polnej stał na skraju miasteczka.

U Wirka czekał już na nich pchor. Sam (Ryszard Ziółkowski), znany całej trójce z udziału w kilku poprzednich „robotach", którego Wirek przedstawił jako dowódcę tworzącego się tejże nocy i wyruszającego w las miejscowego oddziału partyzanckiego. Łącznie z nim stanowić mieli trzon tego oddziału, ponieważ każdy z nich przeszedł przeszkolenie w piotrkowskim oddziale partyzanckim dobrze znanego tam por. Wichra (Witold Kucharski). Wirek oznajmił też, iż w ciągu godziny powinna stawić się reszta ludzi, którzy przyniosą przydzieloną oddziałowi broń, a będą to: Grom (Jerzy Majcherczyk), Nero (Jerzy Szperling) i Pik (Tadeusz Jasiński), wszyscy trzej z Koluszek.

Głowieńska trójka była zaskoczona. Szli na jakąś „robotę", a oto niespodziewanie trafili do partyzantki. Dowiedzieli się, że ich oddział chodzić ma w bardzo ograniczonym terenie — Koluszki — Rogów — Głowno, terenie prawie bezleśnym i że okalające ten obszar lasy podlegają innym ugrupowaniom AK. Bez uprzedniego z nimi porozumienia oddział nie będzie mógł korzystać z leśnej osłony z zupełnie zrozumiałych względów bezpieczeństwa miejscowych organizacji i społeczeństwa. Poza tym oddział nie będzie miał zorganizowanych punktów oparcia i łączności.

Przed północą, po kolacji i wzruszającym pożegnaniu z Wirkiem i jego rodziną pierwszy oddział partyzancki 29 PUŁKU STRZELCÓW KANIOWSKICH, gdyż taką oficjalnie przyjęto nazwę, wymaszerował do „lasu", czyli w pole, był to bowiem prawdopodobnie jedyny w Polsce oddział „leśny" bez lasu. W podniosłym nastroju siódemka, uzbrojona w trzy steny, dwa pistolety, dwa granaty i dziesięć latarek elektrycznych, szła na spotkanie z resztą ludzi, którzy mieli dołączyć na melinie we wsi Jeziorko, leżącej między Koluszkami a Rogowem.

Gdy po półgodzinnym marszu, zakryci wysokim zbożem, wyszli nagle na drogę, natknęli się na wędrującego samotnie, uzbrojonego w pistolet Niemca, wracającego z randki. Ma się rozumieć zabrano mu broń i puszczono z przykazaniem: Maul halten, bo dostanie w łeb. Tak to w przeciągu pół godziny od wyjścia w pole oddział dozbroił się o jeden pistolet, a fakt ten wprowadził wszystkich w dobry nastrój i został uznany za dobry omen, co zresztą sprawdziło się później, gdyż oddział zdobył wiele broni na nieprzyjacielu.

Mniej więcej w godzinę po tej przygodzie Sam doprowadził swych towarzyszy na miejsce umówionego spotkania. Była to stojąca na uboczu szopa w pobliżu gospodarstwa jednego z okolicznych członków AK, Brzozy (?), u którego był zakonspirowany mały magazyn broni w pobliżu Romanowej. Na oddział czekało już dwóch chłopców, którzy poinformowali Sama, że reszta poszła po broń na melinę. Po pewnym czasie w otwartych drzwiach na tle oświetlonego księżycem nieba ukazała się jedna, a za nią sześć postaci, z których każda niosła coś w ręku. Przy przywitaniu szeptem wymieniono pseudonimy: Melania (Janusz Kowalski), Mitręga (Mieczysław Siedlik), Rudy (Tadeusz Cichocki), Brzoza (Wit Stachowski), Teks (Włodzimierz Dziewiszek), Świerk (Eugeniusz Jeż). Byli to chłopcy przeważnie z okolic Jeżowa, Rogowa i Koluszek. Przynieśli ze sobą sześć karabinów Mausera, dwa pistolety, z których jeden — Vis — był bez iglicy, dwa granaty, lornetkę, około czterystu sztuk częściowo zamoczonej amunicji karabinowej oraz jeden rozebrany erkaem Browninga z dwoma magazynkami. Całą broń była w dość opłakanym stanie na skutek przechowywania jej przeważnie w ziemi.

Przed opuszczeniem szopy przez oddział gospodarz poczęstował wszystkich paroma kieliszkami bimbru własnej produkcji, życząc szczęśliwej wojaczki.

W młodych głowach tłukły się przeróżne myśli i marzenia, rysowały przyszłe boje i zwycięstwa. Po dłuższym i nie zakłóconym marszu, omijając stację Rogów, oddział wszedł do miejscowego lasu, przeszedł tunelem pod torami na ich drugą stronę i dalej idąc zagajnikiem, dotarł na pierwszą kwaterę we wsi Przyłęk Duży.

Gdy towarzystwo chyłkiem przeszło przez drogę i weszło na podwórze leżącego prawie na skraju wsi gospodarstwa, w sieni zaszczekał pies, a Sam cicho zapukał w okiennice. Za chwilę drzwi otworzyły się i w mroku ganku pojawiła się wysoka postać, a tuż za nią druga — jak można było wywnioskować z kompletnego ubioru — czekające na nocnych gości.

Był to ze swym synem kolejowy tej wsi. Wspaniały człowiek. Chłopcy nazywali go Felusiem, bardzo później polubili i wielce szanowali za jego zapał i oddanie w walce z Niemcami. U Felusia był punkt i melina i chyba nikt z całej okolicy nie oddał tyle usług oddziałowi Sama, co właśnie Feluś Dudek i jego dzielna rodzina. Byli okiem i uchem oddziału.

Od chwili przyjścia na kwaterę u Felusia, zupełnie inaczej niż w innych oddziałach partyzanckich, obowiązywać zaczęła bezwzględna cisza i bardzo ograniczona swoboda poruszania się dla żołnierzy na kwaterze. Wprowadzono zasadę siedzenia jak mysz pod miotłą. Bez zezwolenia nikomu nie wolno było opuścić szopy lub też stodoły, w których kwaterowano podczas dnia. Jedynie kucharze, pomagający gospodyni przyrządzać posiłki, mieli prawo przebywać w domu i to tylko w tym jednym celu. Z nadejściem nocy chłopcy mieli większą swobodę poruszania się po kwaterze, jednak oddział musiał się tak zachowywać, aby psy sąsiadów nie wyczuły obecności obcych we wsi.

Następnego dnia po śniadaniu, składającego się z chleba z masłem i kiełbasą, przystąpiono do organizowania oddziału. Na zastępcę dowódcy wybrano kaprala Groma, a kaprala Łosia i mata Kapra — na dowódców dwóch patroli, na które na razie podzielony został oddział. Wyczyszczono i przejrzano posiadaną broń, złożono erkaem, do którego na szczęście nie brakowało żadnych części. W trakcie przeglądu okazało się, że mimo korozji, broń długa nadaje się do użytku, a jedynie amunicja do niej nie jest pewna ze względu na zawilgocenie, przeto po wyczyszczeniu ze śniedzi wyłożono naboje na słońce i później je przesortowano, wybierając tylko te, w których proch się przesypywał. Po segregacji na każdy karabin przydzielono po 30 naboi, a resztę przeznaczono do erkaemu Kapra.

Ponieważ w oddziale było tylko czterech ludzi, którzy przeszli przeszkolenie partyzanckie, Sam, Łoś, Rydz i Kaper zaczęli intensywne szkolenie reszty chłopców w rzemiośle partyzanckim, naprędce przystosowane do odmiennych warunków i terenu działania.

Wydawało się, że nic nie zakłóci tak pięknego letniego dnia, gdy po południu, tuż przed obiadem zaalarmowano, iż w kierunku wsi nadjeżdża od strony Rogowa kilku niemieckich żandarmów i granatowych policjantów. Natychmiast zarządzono ewakuację kwatery i miedzą pomiędzy wysokim żytem oddział chyłkiem wycofał się do pobliskiego lasu. Pod wieczór zjawił się w lesie Feluś ze swym synem, taszcząc spóźniony obiad, i powiadomił, iż Niemcy nie zatrzymując się przejechali przez wieś. Po posiłku oddział znów przeniósł się do Felusia, gdzie pozostał na noc i następny dzień.

Następnego dnia łączniczka Krystyna (Maria Cechnowska) doprowadziła dwóch nowych ludzi. Byli to: Koszka (Władysław Cieślak) i Leser (Bernard Marszał). Przynieśli pistolet, a- Wrzos (Feliks Dudek), dróżnik pteczkę i pieniądze na wyżywienie oddziału. Pod wieczór dołączyli jeszcze: plut. Nurek (Witold Radwański) i strz. Sęp (Tadeusz Kaczmarek), przynosząc kilka świeżo uszytych drelichowych mundurów. W międzyczasie doprowadzony też został z Głowna strz. Witold (Zygmunt Cieśko), przyjaciel Kapra. W ten sposób stan liczebny oddziału wynosił wieczorem już osiemnastu ludzi.

W ciągu następnych kilku dni oddział chodził po okolicy, stale zmieniając kwatery, na których prowadzono intensywne szkolenie bojowe, dywersyjne i z taktyki partyzanckiej. Wypracowywano sposoby postępowania i zachowania się oddziału, który został wyznaczony do działania w tak niezwykłych warunkach terenowych i w tak ograniczonym rejonie, w dodatku gęsto zaludnionym i zamieszkałym częściowo przez kolonistów Niemców.

Ponieważ oddział zmuszony był względami bezpieczeństwa do nieujawniania się w ciągu dnia, warty ubezpieczające były wystawiane w zamaskowaniu w obrębie kwatery, co ograniczało możliwość obserwacji najbliższej okolicy. Kwaterując w wybranych wsiach lub stojących na uboczu gospodarstwach, bywał też oddział Sama ubezpieczany czasem przez członków miejscowej organizacji AK, którzy, pracując w polu, obserwowali okolicę i powiadamiali o obecności Niemców, policji lub podejrzanych osób.

Towarzystwo, pełne bojowego zapału, tylko czekało na jakąś akcję, po której rozejdzie się wieść o działalności miejscowych Jędrusiów. Jak naprawdę będą przeprowadzane akcje dywersyjne, sabotażowe i bezpośrednia walka z Niemcami, nikt nie zdawał sobie jeszcze sprawy. Wierzono w słuszność i szlachetność celu oraz opiekę Bożą, a jak jest wiadomym — nieświadomość i wiara potrafią uczynić cuda.

II. BAUDIENST KALETNIK. 9—11 LIPCA 1944 R.

Po niedługim czasie oddział ponownie zakwaterował we wsi Przyłęk Duży u Felusia. Po południu przybyła łączniczka Krystyna z rozkazami dla Sama, który po zapoznaniu się z nimi oznajmił chłopcom, iż tejże nocy oddział idzie na pierwszą prawdziwą i bardzo ważną „robotę". Celem zamierzonej akcji ma być rozbicie, mającego w niedługim czasie ewakuować się do Niemiec koluszkowskiego Baudienstu, wchodzącego w skład służby budowlanej organizacji Todd w którym przymusowo służy i pracuje około czterystu młodych Polaków.

Otóż tym pierwszym zadaniem będzie niedopuszczenie do wywiezienia polskiej młodzieży do Rzeszy.

C.d.n.

Opracował i do druku podał:

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Trudna droga do „M”

Mieszkanie — towar rynkowy czy dobro socjalne?

Co jest najbardziej niezbędne do życia? Każdy, komu przyszłoby odpowiedzieć na to pytanie — bez względu na to, czy jest naukowcem, zajmującym się problemami społecznymi od strony teoretycznej, decydentem, mającym istotny wpływ na realizację tych teorii, czy też tzw. przeciętnym obywatelem — wymieni w pierwszej kolejności jedzenie, następnie odzież i **mieszkanie.** Potrzeby, wynikające z pierwszej i drugiej pozycji mamy — acz nie bez pewnych trudności — zaspokojone, natomiast jeśli chodzi o trzecią, tj. mieszkanie, sytuacja wygląda bardzo źle. Mieszkań dla bardzo wielu ludzi brakuje, sądząc po dotychczasowym niezadowalającym tempie budownictwa — mimo kolejnego, dobrego programu — deficyt ten będzie się pogłębiał. Ponieważ dla wszystkich nie wystarcza, ciągle trwają, prowadzone na różnych szczeblach i w różnych środowiskach dyskusje: **jak dzielić i komu dawać to, co jest?** Najprostszą odpowiedzią na to pytanie jest, że dzielić trzeba oczywiście sprawiedliwie, tyle, że z takiego stwierdzenia nie wynika zupełnie nic.

Dla przykładu — jeśli do jednego mieszkania pretenduje dwóch kandydatów (w praktyce jest ich więcej) w wieku 25 lat, z których jeden jest świeżo upieczonym inżynierem, mężem studentki, a drugi niewykwalifikowanym robotnikiem, posiadającym niepracującą żonę i troje dzieci w wieku przedszkolnym, to każdy wybór będzie niesprawiedliwy. Przydzielenie pierwszemu oznacza skazanie na wegetację w wynajętym kącie dzieci, które już są i nie ponoszą za to winy, decyzja odwrotna natomiast spowoduje, że inżynier, jeśli jest człowiekiem mądrym i odpowiedzialnym za los swego przyszłego potomstwa, nigdy nie będzie ojcem.

Decyzja jest więc trudna, a jednak trzeba ją podjąć. Wiele podobnych przykładów mogą podać z własnej praktyki przedstawiciele wydziałów lokalowych urzędów administracji podstawowej, spółdzielni mieszkaniowych czy też komisji, decydujących o rozdziale mieszkań zakładowych. Oczywiście, osoby te starają się działać sprawiedliwie, ale, mimo ich najlepszej woli, jest to zawsze sprawiedliwość względna.

Może więc, zamiast wikłać się w problemy dystrybucji, narażając się przy okazji na zarzut niesprawiedliwego działania, **mieszkania po prostu sprzedawać** po cenach równowagi rynkowej? Są one w tej chwili niebagatelne: **za 1 m kwadratowy powierzchni mieszkalnej na czarnym rynku w Warszawie płaci się... 100 tys. zł.** Jest to cena najwyższa, w budynku doskonale położonym, przeważnie z budownictwa ostatnich lat przedwojennych, wyposażonym we wszystkie urządzenia, a więc o wysokim standardzie.

Mieszkanie można też kupić taniej — od państwa. **Za 1 m kwadratowy lokalu tzw. kwaterunkowego płaci się — w zależności od wyposażenia od 22 do 26 tys. zł.** Nabywcą takiego lokalu może jednak zostać wyłącznie osoba w nim zamieszkująca, a więc transakcja między urzędem a obywatelem nie jest w tym przypadku rozwiązaniem problemu mieszkaniowego tego ostatniego (ewentualnie jest nim dla następnych pokoleń, dzieci czy wnuków) a **jedynie zmianą tytułu własności.** Można także próbować za dolary lub bony: **220 do 250 dolarów za 1 m kwadratowy, po 500 zł za dolar.**

Gdyby spółdzielnie mieszkaniowe chciały od swoich członków uzyskać **pełne pokrycie ponoszonych kosztów — a więc** zwrot kapitału wraz z odsetkami i kosztów eksploatacji — **czynsz za 1m kwadratowy musiałby wynosić 150 zł,** za mieszkanie o powierzchni 50 m (przeciętna wielkość M-3) płaciłoby się **7,5 tys. zł.** Przy takim ustawieniu sprawy wkrótce okazałoby się, że mieszkań mamy... za dużo. Po prostu przeciętnego obywatela nie byłoby stać na tak wysokie opłaty.

Wracając więc do tytułowego pytania: **mieszkanie — towar rynkowy czy dobro socjalne,** okazuje się, że sformułowanie jednoznacznej odpowiedzi jest tu prawie niemożliwe. Odpowiedź ta nie może zresztą wynikać z polityki mieszkaniowej. Jest ona istotną kwestią polityki ustrojowej każdego, nie tylko polskiego, państwa.

W deklaracjach ideowych partii rządzących wszystkich krajów socjalistycznych zawarte są sformułowania o konieczności likwidacji głodu mieszkaniowego i niesprawiedliwości mieszkaniowej. Czy jednak wynika z tego, że mieszkanie jest dobrem socjalnym, należnym każdemu obywatelowi od państwa za darmo? W praktyce wykładnia tego sformułowania przechodziła różne koleje.

W pierwszych latach powojennych mieszkania były wyłącznie kwaterunkowe — **bezpłatne** (trudno bowiem uznać symboliczny czynsz za jakikolwiek wkład własny obywatela w otrzymanie i utrzymanie mieszkania). Ponieważ i wtedy nie starczało dla wszystkich, o tym, kto dostanie mieszkanie decydowały nie pieniądze, lecz czynniki pozaekonomiczne, w tym także ocena polityczna i zawodowa. Następnie — obok budownictwa komunalnego — rozwijać się zaczęło dość szybko budownictwo zakładowe. Do poprzednich czynników, decydujących o przydziale mieszkania — ciągle bezpłatnego — doszedł w tym przypadku jeszcze jeden: przynależność do zakładu pracy. Wkrótce potem reaktywowano spółdzielczość mieszkaniową (istniała ona bowiem także przed wojną w nieco innych formach organizacyjnych). Początkowo zdecydowaną większość uzyskiwanych w ten sposób lokali stanowiły mieszkania lokatorskie, z latami proporcje zmieniły się na korzyść własnościowych, w większym stopniu angażujących własny udział starających się o nie.

Wprowadzenie spółdzielczości sprawiło, że **mieszkanie stało się z dobra socjalnego, częściowo przynajmniej — towarem.** Tak było teoretycznie, w praktyce bowiem, z chwilą gdy spółdzielczość mieszkaniowa stała się monopolistą w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego — przestała jednocześnie decydować o tym, kto w nich ma zamieszkać. Nastąpiło pomieszanie pojęć. W odniesieniu do towaru (aby go uzyskać, ubiegający się musiał spełnić określone warunki, m.in. wpłacić ustaloną sumę pieniędzy) zastosowano kryteria podziału odpowiednie w przypadku dobra socjalnego, nie występującego w dostatecznej podaży: mechaniczno-administracyjną dystrybucję, rodzącą także określone implikacje społeczne typu urząd-petent, nie zaś, jak być powinno, klient-wytwórca.

Ewolucja mieszkania od dobra socjalnego do towaru, następująca zresztą we wszystkich krajach socjalistycznych, była niekonsekwentna, realizowana w sposób sprzyjający koncentrowaniu się coraz głośniejszej dyskusji społecznej wokół problemu: **jak dzielić i komu dawać, nie zaś: co i jak robić, aby mieszkań było więcej.** Przypominanie wielu błędów, jakie popełniono w polityce mieszkaniowej w ciągu ostatnich 38 lat, nie powinno jednak prowadzić do stwierdzenia, że gdyby nikt owej naturalnej ewolucji nie zakłócił, mielibyśmy obecnie rynek mieszkaniowy, funkcjonujący właśnie na zasadach wolnego rynku: kogo stać, to kupuje mieszkanie po cenie równowagi między podażą a popytem, a kogo nie stać — rezygnuje z uzyskania tak podstawowego dobra. Byłoby to nie tylko sprzeczne z przyjętą polityką państwa socjalistycznego, lecz także odstające od praktyki, stosowanej w krajach kapitalistycznych. **Nigdzie bowiem nie daje się mieszkań za darmo, ale nigdzie również lokator nie ponosi pełnych kosztów jego budowy i eksploatacji.**

We wszystkich krajach budownictwo mieszkaniowe należy do dziedzin dotowanych przez państwo, choć dotacje te, w różnorodnych formach i wysokości, są rozmaicie adresowane: od inwestorów aż po najemców i użytkowników lokali mieszkalnych. Nie ma więc powodu, aby u nas próbować eksperymentalnie nowych, nie stosowanych nigdzie na świecie rozwiązań.

Warto jednak w sposób jasny i obowiązujący przez długie lata, z gwarancją, że raz ustalone zasady nie będą zmieniać się w zależności od nastroju chwili czy wyników gospodarczych poprzedniego kwartału, **określić, w jakim stopniu mieszkanie stanowić ma dobro socjalne, a więc być gwarantowane przez państwo, a w jakim towar, którego nabycie uzależnione jest od wkładu własnego.** Zacząć trzeba, jak się wydaje, od określenia standardu minimalnego.

Dotychczas pokutuje — co wyraźnie widać przy próbach zamiany mieszkań kwaterunkowych — 7—10 m. kwadratowych, przysługujące „na głowę”. Była to wielkość powierzchni mieszkalnej w okresie powojennym, jaką państwo zobowiązywało się zapewnić obywatelowi, a jednocześnie standard maksimum. **Obecnie wielkość ta jest nie do przyjęcia i często hamuje naturalny ruch ludności,** który w pewnym, choćby niewielkim stopniu, mógłby przyczynić się do zmniejszenia głodu mieszkaniowego. Trzeba więc określić ją na nowo, jednocześnie z innymi elementami, decydującymi o standardzie, m. in. wyposażeniem wykończeniem, typem budynku i jego lokalizacją. Po określeniu owego minimum, które można **traktować jako dobro socjalne,** wszystko, co **ponad to stanowiłoby już towar,** i to towar, za który trzeba płacić drogo. Oczywiście, wymagałoby to budowania domów o zróżnicowanym standardzie, innej niż dotychczas gospodarki istniejącą substancją mieszkaniową, zarówno spółdzielczą, jak i pozostającą w gestii rad narodowych, ale jest to w końcu problem możliwy do rozwiązania.

Wróćmy jednak do ceny tego, co stanowiłoby przekroczone minimum. Nie może ona być ustalona na poziomie zmuszającym do rezygnacji z mieszkania osoby mieszczące się w aktualnej średniej krajowej dochodów, bądź też spychająca je na poziom egzystencji poniżej minimum socjalnego. Z drugiej strony jednak — powinna angażować znaczną część dochodów, taką, aby kandydaci do mieszkania (mówię o osobach mieszczących się w średniej, do której należy także większość młodych rodzin), zdawały sobie sprawę, że decyzja o nabyciu mieszkania przekreśla na czas pewien możliwość ubiegania się o inne towary luksusowe (np. samochód, kolorowy telewizor czy zagraniczne wczasy z „Orbisem”). W indywidualnych przypadkach trzeba będzie wtedy odpowiedzieć na pytanie, które z tych dóbr jest najbardziej pożądane, co może doprowadzić do pewnego zmniejszenia głodu mieszkaniowego. Obecnie bowiem, gdy brak jakichkolwiek barier, które należałoby pokonać, ubiegając się o mieszkanie, popyt wykazywany jest jednak zbyt wybujały, wyższy od rzeczywistych potrzeb.

Przy odpowiednim systemie długoterminowych kredytów obie tendencje — dużego zaangażowania środków własnych bez groźby pauperyzacji rodziny — niewątpliwie można pogodzić. Przy czym rozsądne wydaje się, że jedyną instytucją udzielającą kredytów powinny być banki — które w tym przypadku dysponowałyby również odpowiednimi sankcjami wobec osób nie wywiązujących się ze swych zobowiązań, aż po możliwość wykwaterowania kredytobiorcy do mieszkania o niższym standardzie, tańszego, a więc leżącego w granicach jego możliwości finansowych.

Po ustaleniu jasnych i trwałych zasad **czas najwyższy skończyć dyskusje nad sposobami dystrybucji mieszkań — jak dotąd niewspółmiernie rozdętą w porównaniu z efektami budownictwa mieszkaniowego.**

TERESA JERZYKOWSKA

Artykuł dyskusyjny

Inteligenci też są robotnikami

Proletariatem lub robotnikami nazywamy ludzi bez własnych źródeł utrzymania. Nie posiadają oni środków produkcji, cyrkulacji, czy świadczenia usług i przez to muszą *„sprzedawać”* swoje zdolności do pracy. Pojęcie „proletariat” pojawiło się już w starożytnym Rzymie, kiedy w VI wieku p.n.e. król Serwiusz Tulliusz przeprowadził radykalną reformę społeczno-ekonomiczną. Podzielił mianowicie wszystkich obywateli, według wielkości majątku, na sześć klas. A do ostatniej zaliczył tych, którzy nie wykazali się wymaganym minimum ziemi lub dochodu. Nazwano ich proletariatem, ponieważ własne mieli tylko dzieci („proles” — potomstwo) i to był ich jedyny majątek.

Natomiast określenie *„robotnik”* pochodzi od *„robota”*, a to z kolei aż z języka protoindoeuropejskiego. Na przykład w sanskrycie *„rabhas”* oznacza pracę. I taką samą etymologię mają: słowiańskie *„rab”* lub *„rob”*, germańskie *„rabhas”* lub *„arbhas”*, litewskie *„darbas”*, łacińskie *„labor”*. A stąd wzięły się współczesne: rosyjkie — rabota, polskie — robota, niemieckie — arbeit, francuskie i angielskie — labour, hiszpańskie — labor. Przy czym słów tych używano, co bardzo ważne i symptomatyczne, nie tylko na oznaczenie pracy, lecz również bolesnego wysiłku i cierpienia. Podobnie w starożytnej Grecji *„ponos”*, oprócz pracy i trudu, wyrażało też kłopot, cierpienie i biedę i stanowiło przeciwieństwo wobec *„schola”*, czyli czasu wolnego od pracy — przeznaczonego na odpoczynek i rozrywkę lub uczone biesiady i dysputy.

Klasa robotnicza w sensie współczesnym narodziła się i ukształtowała dopiero w ustroju kapitalistycznym. Proletariat rzymski bowiem nie miał stałych zajęć zarobkowych, lecz żył na koszt państwa, które zapewniało bezpłatnie *„chleb i igrzyska”*. W kapitalizmie zaś jest odwrotnie, to robotnicy utrzymują burżuazję i państwo. Tutaj od samego początku istnieje strukturalny antagonizm między wyzyskującą klasą właścicieli a wyzyskiwanym proletariatem.

W naszym kraju, obok drobnomieszczaństwa i chłopstwa, nadal istnieje pewien margines elementów burżuazyjnych. Zarówno w mieście jak i na wsi wciąż jeszcze mamy ludzi utrzymujących się z wyzysku cudzej pracy. Przeciwstawianie ich klasie robotniczej jest sprawą naturalną i zrozumiałą, zwłaszcza w kraju budującym socjalizm. Ale w Polsce nie tylko brużuazję i drobnych właścicieli przeciwstawia się robotnikom, lecz także — i to ostatnio coraz częściej — inteligencję. Niektórzy traktują nawet podział na inteligencję i robotników jako k l a s o w y, a utożsamiają go z podziałem na pracowników umysłowych i fizycznych. Można niekiedy też usłyszeć, że inteligencja pasożytuje na efektach robotniczego trudu.

Celem mojego artykułu jest wykazanie, że w naszych warunkach ustrojowych przeciwstawianie pracowników umysłowych (inteligencji) robotnikom fizycznym (klasie robotniczej) jest sztuczne, absurdalne i szkodliwe. A co najważniejsze — na gruncie marksistowskiej teorii klas — jest całkowicie pozbawione podstaw.

Karol Marks i Fryderyk Engels zresztą w ogóle nie posługiwali się pojęciem inteligencji. Pisali jedynie o literackich, ideologicznych i politycznych przedstawicielach i rzecznikach poszczególnych klas społecznych. Termin *„inteligencja”* nie funkcjonuje też zasadniczo w socjologii zachodniej. Pojawił się natomiast w XIX wieku i obowiązuje do dziś w Europie wschodniej. Po raz pierwszy użył tego wyrazu na oznaczenie określonej kategorii społeczno-zawodowej filozof mesjanistyczny i działacz poznański Karol Libelt (1807—1875). W swojej pracy *„O miłości ojczyzny”* — wydanej w 1844 roku — stwierdził, że inteligencję stanowią *„ci wszyscy, co troskliwsze i rozleglejsze odebrawszy po szkołach wyższych i instytutach wychowanie, stoją na czele narodu jako uczeni, urzędnicy, nauczyciele, duchowni, przemysłowi, zgoła którzy mu przewodzą wskutek wyższej swojej oświaty”*. Z kolei w Rosji wprowadził i spopularyzował to pojęcie jeden z najbardziej płodnych pisarzy rosyjskich, debiutujący w 1860 roku, Piotr Boborykin. A później Włodzimierz Lenin — tłumacząc Kautsky'ego — oddawał terminem *„inteligencja”* niemieckie wyrażenia *„Literat”*, *„Literatentum”*.

W XIX wieku najwięcej inteligentów polskich i rosyjskich wywodziło się spośród szlachty. W obu krajach inteligencja odgrywała rolę awangardy postępu — inaczej niż na Zachodzie, gdzie siłą napędową rozwoju była burżuazja. Ale w Polsce i Rosji mieszczaństwo miało raczej niewielki udział w strukturze społecznej, dlatego zamiast klasy *„przemysłowej”* przewodziła *„umysłowa”*. Następstwem tego jest silny idealizm w kulturze, przy wyraźnym niedostatku pragmatyzmu. W 1980 r. Bolesław Prus narzekał, że inteligencja nasza *„mówi kilkoma językami, posiada cały śmietnik wiadomości historycznych, estetycznych i literackich, a jest pozbawiona najprostszej, chłopskiej logiki”*. W Rosji zaś Włodzimierz Lenin zarzucał inteligentom, że są niezdyscyplinowani, niezaradni i mają *„skłonność do zastępowania czynu dyskusją, pracy — gadaniną, skłonność do imania się wszystkiego na świecie, ale niedoprowadzania niczego do końca”*.

Przed wybuchem II wojny światowej pracownicy umysłowi stanowili w Polsce 6 procent społeczeństwa, a dziś należy do tej warstwy co piąty mieszkaniec kraju. Z tym, że jest to już zupełnie inna pochodzeniowo i strukturalnie grupa. W 1946 roku mieliśmy zaledwie 60 tysięcy osób z wyższym wykształceniem, a obecnie liczba ich wynosi 1300 tysięcy. Przy czym przeszło połowa powojennych absolwentów wyższych uczelni wywodzi się z klas robotniczej i chłopskiej, a ponadto znaczny odsetek z inteligencji w pierwszym pokoleniu. Jest to więc genetycznie l u d o w a inteligencja. W dodatku przed wojną dominowała liczebnie inteligencja humanistyczna, a teraz przewaga należy do technicznej.

Jakie miejsce w strukturze klasowej Polski Ludowej zajmuje inteligencja (pracownicy umysłowi)? Otóż współcześnie mamy następujące klasy społeczne: robotniczą, chłopską, drobnomieszczańską i niewielką zbiorowość elementów kapitalistycznych. Ponieważ o przynależności do klasy decydują stosunek ekonomiczny do środków produkcji, cyrkulacji i usług (posiadanie lub nieposiadanie) oraz sposób zdobywania środków do życia (własna praca lub wyzysk cudzej pracy) — najemna inteligencja jest w identycznej sytuacji k l a s o w e j jak najemni pracownicy fizyczni. Toteż wszyscy nasi inteligenci — poza pracującymi na własny rachunek (wolnymi zawodami) — należą do jednej i tej samej klasy robotniczej. Inteligenci też są robotnikami i to przeważnie produkcyjnymi.

W istniejącym systemie społeczno-ekonomicznym sektor produkcyjny obejmuje nie tylko robotników fizycznych, lecz również umysłowych, a mianowicie: techników i inżynierów, naukowców i kierowników oraz najemnych pracowników handlu i usług. Należy tu zaliczyć także pracowników oświaty i służby zdrowia, gdyż od nauczycieli i lekarzy zależą zdolności do pracy. Wszyscy wymienieni stanowią s i ł ę w y t w ó r c z ą naszego społeczeństwa. Od ich pracy zależy proces zaspokajania potrzeb m a t e r i a l n y c h narodu.

Inną kategorię klasy robotniczej tworzą pracownicy zatrudnieni nie w sferze bazy społeczno-ekonomicznej, lecz w nadbudowach polityczno-prawnej i kulturalno-ideologicznej. Wchodzą tu ludzie z aparatu państwowego i organizacji politycznych, prawnicy, żołnierze, milicjanci oraz artyści, dziennikarze, zawodowi działacze kultury. Zapewniają oni realizację potrzeb bezpieczeństwa i duchowych. Od ich wysiłków w dużym stopniu zależy samopoczucie narodu, gdyż nie samym chlebem człowiek żyje.

Wszystkie osoby należące do jednej lub drugiej warstwy klasy robothiczej mają — powtarzam i podkreślam — identyczną sytuację klasową. To znaczy: po pierwsze — nie posiadają własnych środków produkcji, cyrkulacji czy usług, oraz po drugie — utrzymują się z własnej pracy, a nie z efektów cudzego wysiłku. Jeśli ktoś rozumuje inaczej, jest w błędzie i ulega iluzjom.

W Polsce międzywojennej pracownik umysłowy zarabiał średnio prawie trzy razy więcej od robotnika fizycznego, posiadał szereg przywilejów i służył wyzyskującym klasom burżuazji lub ziemiaństwa. A poza tym cieszył się wysokim prestiżem. Natomiast dzisiejszy nasz inteligent jest często upośledzony materialnie, a równocześnie traktowany niczym pasożyt z próżniaczej i pańskiej klasy. W dodatku jak na ironię podejrzewa go się o wysokie płace i przywileje.

Mam wrażenie, że zapomniano o tym, iż nowy Kodeks Pracy, obowiązujący od 1 stycznia 1975 roku, zlikwidował — odziedziczony po ustroju burżuazyjnym — podział na pracowników umysłowych i fizycznych, zrównując obie grupy we wszystkich uprawnieniach socjalnych. Przypuszczam też, że społeczeństwo nasze nie wie o tym, jak skandalicznie niskie są płace nauczycieli i ludzi kultury. Jakie dziś szanse ma nauczyciel z siedmiotysięczną pensją wobec pracownika przemysłu przeciętnie zarabiającego już 13 tysięcy? A co dopiero w porównaniu z górnikiem osiągającym średnio 30 tysięcy miesięcznie, czy stoczniowcem inkasującym roczną premię w wysokości do 160 tysięcy? Uważam, że tego rodzaju paradoksy nie mogą być tolerowane. Pracownik umysłowy nie może być pariasem, gdyż ucierpi na tym kultura narodowa. Nie wolno dłużej dzielić i przeciwstawiać robotników i inteligentów, gdyż jest to zabieg sztuczny i bezsensowny.

Trzeba mówić o jednej klasie robotniczej. Ale klasa robotnicza to brzmi dumnie! Nie wszyscy formalnie do niej wchodzący należą tu rzeczywiście. Nie zasługują na to miano ci z pracowników fizycznych i umysłowych, którzy źle pracują i są zdemoralizowani. To są po prostu lumpy i tworzą oni lumpenproletariat — fizyczny i umysłowy.

EDMUND LEWANDOWSKI

INCYDENT

Gramy dalej

Dokończenie ze strony 1

ambicję i chęć do gry, można mieć nadzieję, że jakoś sobie w lidze poradzimy. Chociaż odrobić stratę dwóch punktów nie będzie tak łatwo.

— Widzew ma w zapasie jeszcze jeden zaległy mecz ze Stalą.

— Tak, ale jest to mecz ze spadkowiczem. Wtedy zawsze gra się trudniej ; w dodatku na obcym boisku

— Na czym zatem buduje pan swoją nadzieję?

— Przede wszystkim na tym, że wreszcie możemy grać w pełnym składzie. Wrócił na boisko Filipczak, coraz lepszy jest Kajrys, który był, w moim przekonaniu, twórcą zwycięstwa w meczu z Legią, coraz lepiej gra Myśliński, a i Bolesta może w każdej chwili zastąpić Młynarczyka w bramce. Piłkarze chcą wywalczyć po raz trzeci mistrzostwo Polski, a wziąwszy pod uwagę poziom szkoleniowców Widzewa, można mieć nadzieję na sukces.

— No, dobrze, ale czy zespół w tym składzie gwarantuje pucharowy finał?

— Powiedzieliśmy sobie, że wreszcie trzeba dojść do pucharowego finału. Jeśli nawet nie będzie to Puchar Europy, to niech będzie Puchar UEFA. Ale, żeby do tego finału dojść, trzeba uzupełnić luki w zespole. I uzupełnić je zawodnikami grającymi nie tylko na poziomie polskiej ligi, ale na poziomie europejskim.

— Czy macie już upatrzonych takich zawodników?

— Takich spraw nigdy nie ukrywamy. Owszem, prowadzimy rozmowy. Jest wielu chętnych, którzy chcieliby w Widzewie grać. Tylko, że nam nie chodzi o zawodników średniej klasy. Nam są potrzebni najlepsi. Musimy mieć taki zespół, że gdyby przyszło nam znów grać z Juventusem, to nie może być dużej różnicy między zawodnikami z Turynu a zawodnikami z Łodzi.

— Teraz różnica jeszcze była.

— Była. Można ją wprawdzie nadrobić ambicją, ale też samą ambicją nie można wygrać meczu. Dlatego potrzebny nam jest taki zespół, który w pucharach europejskich będzie mógł z każdym grać, jak równy z równym.

— To są piękne plany. Wróćmy jednak do dnia dzisiejszego. Po chuligańskim incydencie na stadionie ŁKS klub zostanie z całą pewnością ukarany.

— Liczę się z tym. Może to być i duża kara pieniężna, i zamknięcie boiska. Inter-Mediolan po meczu z Realem Madryt za podobny incydent zapłacił 50.000 franków szwajcarskich, a mecze musi rozgrywać w odległości 450 km od własnego stadionu.

— Teraz wy czekacie na decyzję.

— Zrobiliśmy co było można. Wystosowaliśmy pismo do UEFA, w którym wyjaśniliśmy całą sprawę. Podkreśliliśmy, a potwierdzili to również sędziowie, zawodnicy Juventusu i obserwator UEFA, że organizacja zawodów była prawidłowa a to, co się stało, było chuligańskim wybrykiem. Czy UEFA weźmie to pod uwagę, trudno powiedzieć.

— Czy ta opinia o właściwej organizacji zaważyła na decyzji, że nie odgwizdano walkoweru dla Juventusu?

— Tutaj przede wszystkim słowa uznania i szacunku należą się sędziemu holenderskiemu, panu Wildowi De Vrieze. Miał przecież pełne prawo nie zgodzić się na kontynuowanie meczu. Uznał jednak, że sportowa walka jest ważniejsza od własnego zdrowia, że końcowy wynik meczu powinien odzwierciedlać to, co się działo na boisku.

— Mecz mógłby mieć zupełnie inny przebieg, gdyby nie ten incydent.

— Na pewno. Widzew zdobył akurat bramkę. Nie można wykluczyć, że mogły paść następne. Ale stało się...

— Można się zastanawiać, czy mężczyzna, który rzucił butelkę, jest w stanie zrozumieć, co naprawdę zrobił.

— Nie sądzę. Ja takiego postępowania zrozumieć nie mogę. Jest to zachowanie skandaliczne i można się tylko zastanawiać po co taki człowiek w ogóle przychodzi na mecz.

— Sprawozdawca telewizyjny powiedział, że organizatorzy nie zadbali należycie o porządek.

— Trudno mi się z tym zgodzić. Stadion ŁKS mieści 32 tysiące widzów i można było sprzedać jeszcze 5—6 tysięcy biletów, ale myśmy tego, właśnie ze względu na bezpieczeństwo, nie zrobili. Zasugerowaliśmy kierownictwu ŁKS, aby na stadionie założyć siatkę. ŁKS dostał od władz sportowych na ten cel 5 milionów złotych. Daliśmy nasz projekt ogrodzenia. Szybko znaleziono wykonawcę. Byli porządkowi, była milicja. Wydaje mi się, że zrobiliśmy wszystko, co było można.

— Można jeszcze było postawić przed widownią szereg milicjantów, którzy przez cały czas meczu patrzyliby tylko na widzów.

— Można. Tak czasem robią inni, ale nie wszystko, co robią inni, jest akurat dla nas do przyjęcia.

— Publiczność jednak wzoruje się na innych. Z trybun lecą kilogramy papieru, zaśmiecają boisko.

— Taki się przyjął zwyczaj. Na meczu w Turynie były petardy i świece dymne. Sędziowie nie przerywali meczu. Dla kibiców taki wielki mecz to ogromne przeżycie. Swój entuzjazm wyrażają w różny sposób. Rzecz jednak w tym, żeby było to robione z kulturą, żeby nie przekraczało elementarnych norm zachowania.

— To już kolejny incydent na meczu Widzewa. Ile, sądzi pan, trzeba będzie teraz zapłacić?

— Chyba również koło 50.000 franków szwajcarskich.

— Starczy wam pieniędzy na te kary?

— A czy mamy inne wyjście? Jest to dla nas przykra sprawa, ale najbardziej smutne jest to, że jeżeli UEFA zamknie boisko, to karę poniosą ci łódzcy widzowie i kibice, którzy są porządni. I w dodatku poniosą karę za czyny nie popełnione.

— Spotkałam się i z taką opinią, że to dobrze, iż tak się stało, bo może kibice czegoś się wreszcie nauczą.

— Powinni się przede wszystkim nauczyć jednego. Mecz to jest walka sportowa, a nie wojna. Mecz przegrany to nie jest narodowa klęska. W sporcie już tak jest i na tym polega jego cały urok, że jeśli ktoś wygrywa, to ktoś musi przegrać. Byle walka była rzeczywiście sportowa i piękna. Widzew przegrał awans, ale to był przecież piękny mecz. I te walory sportu trzeba przede wszystkim cenić. Moim zdaniem, niepotrzebnie podsycają atmosferę niektórzy dziennikarze. Klasycznym przykładem były publikacje przed meczem z Finlandią, kiedy to wręcz lekceważono przeciwnika. To, niestety, nie jest bez wpływu na emocje widowni.

Każdy powinien wiedzieć że skończyły się żarty

(Opinia socjologa)

Incydent z trafieniem butelką sędziego liniowego podczas meczu Widzew — Juventus można potraktować banalnie albo całkiem serio i wtedy tylko będzie zasługiwał na głębszą refleksję. Możliwe są również inne, pośrednie oceny ale te z kolei prowadzą do połowicznych wniosków.

Przez banalne potraktowanie rozumiem taką oto postawę: stała się rzecz zawstydzająca, przykra dla każdego normalnego kibica, nawet godząca w narodowy honor Polaków — ale ostatecznie wszędzie sie takie zdarzają, chociaż nie powinny. Trzeba przy okazji, innych meczów podobnej rangi zapewnić maksymalną kontrolę, tymczasem jak najszybciej zapomnieć o całym wydarzeniu lub przynajmniej do niego nie wracać. Przydarzało się innym, trafiło się w końcu i nam, więc po co drażnić i wyolbrzymiać? Jest to postawa w pełni rozumiała, bowiem zbiorowego poczucia wstydu za winy nie popełnione długo nosić nie sposób. Potrzeba jak najszybszego zrzucenia z siebie (a pośrednio — wszystkich innych) zbiorowej odpowiedzialności wyraziła się dosadnie w szybkiej reakcji tłumu: **„Wydać go! Wydać go!"**. Oni przecież nie zawinili, tylko jeden, a ponieważ winny szybko się znalazł — incydent można było uważać za częściowo zamknięty; stadion (głównie za sprawa dobrej gry widzewskiej drużyny) ożywił się wkrótce po wznowieniu meczu jak gdyby nic się nie stało.

Innym banalnym stwierdzeniem, ale o „zdroworozsądkowym" podłożu, jest przekonanie, iż mogło dojść do tego incydentu w każdych warunkach i zawsze wtedy, gdy na stosunkowo niewielkiej przestrzeni zebrany jest ogromny tłum rozemocjonowanych ludzi. Z elementarnej znajomości ludzkich zbiorowości wyniknąć może, że zawsze znajdą się pośród nich osoby potencjalnie zdolne do takich zachowań. Mowa tu o predyspozycjach, bowiem przekształcenie ich w czyn zależne jest od wielu okoliczności. Jest to więc założenie dopuszczające z góry istnienie „czarnej owcy" w niewinnym stadzie.

Natomiast przez postawę bardziej serio, niż poprzednio zarysowane, rozumiem przede wszystkim ustalenie w miarę obiektywnych, a nie subiektywnie odczuwanych przyczyn, a w ich następstwie skutków wydarzenia na łódzkim stadionie. Innymi słowy: prawdopodobieństwo trafności sądów o tym, dlaczego do wypadku doszło oprzeć trzeba na analizie co najmniej kilku możliwych okoliczności, pozostawiając wymiarowi sprawiedliwości rozstrzygnięcia o personalnej winie. Odnosi się to również do tych następstw, jakie ponosić mogą wszyscy bierni uczestnicy zajścia.

Dlaczego więc butelka padła z trybun? Wyjaśnienia należy szukać w definicji sytuacji, która to ułatwiła. Przez słowo: ułatwiła, rozumiem szereg okoliczności i czynników, jakie mogły zadziałać jednocześnie, a tym samym potencjalnie sprzyjać podobnym gestom. Nie usiłując hierarchizować pod względem ważności, przypatrzmy się im kolejno.

Zacząć trzeba od faktu alkoholowego zamroczenia domniemanego sprawcy. Tzw. pijany wid nie stanowi żadnej okoliczności łagodzącej ale sam również o niczym jeszcze nie świadczy. Czynnikiem, który cokolwiek może wyjaśnić, jest w tym wypadku społeczny kontekst nieszczęsnego rzutu. *Chodzi tu o przebywanie sprawcy w grupie o (prawdopodobnym)* tzw. wysokim stopniu permisywności wobec zachowań pijackich. Rozumieć to należy jako wyrozumiałość i tolerancję dla stanu upojenia. Permisywność — oznacza „przyzwolenie" lub przynajmniej brak reakcji na obecność i zachowania pijanego, a z pewnością mamy u Polaków do czynienia z wysokim stopniem owej tolerancji. Bałamutne byłoby szukanie jej źródeł w narodowym charakterze czy kulturze. Krytykę wytrzymuje jedynie stwierdzenie, iż w pewnych sytuacjach społecznych przyzwolenie może być większe; należy do nich właśnie mecz piłkarski.

Tolerancję wzmacnia w tym wypadku specyficzna obyczajowość lub niemal rytuał uczestnictwa w meczu, dobrze znany każdemu bywalcowi trybun. Nie ma przy tym znaczenia fakt, że większość kibiców jest trzeźwa, upijanie się jest bowiem częścią rytuału, akceptowaną na równi z innymi. Istnieje co do tego „cicha" umowa, przez niektórych kibiców rozumiana jako konwenans. Stanowi ona zjawisko o znacznie szerszych uwarunkowaniach, dlatego — rezygnując z dokładniejszej analizy — potraktujmy tolerancję dla pijanych na trybunie jako częściową odpowiedź wobec pytania: dlaczego nikt go (przypuszczalnego sprawcy) nie powstrzymał?

Spróbujmy z kolei przyjrzeć się wydarzeniu sportowemu, jako kontekstowi niefortunnego rzutu. Mecz jest wydarzeniem odświętnym, zwłaszcza mecz, w którym można było zobaczyć Platiniego i Rossiego, słynnego „Dino" czy „naszego" Bońka. W skrótowych hasłach ze stron gazet „Wielkie święto dla kibiców..." itp. kryje się nie tylko afirmacja samego aktu gry, bardziej może kulturowego i obyczajowego uczestnictwa. Słuszne są niekiedy pretensje do środków masowego przekazu o to, co nazywa się w sportowym języku „podgrzewaniem atmosfery" ale trzeba też rozumieć, że są one tylko narzędziami w zaspokajaniu zbiorowej potrzeby igrzysk. Tłumacząc to w sposób uproszczony: *cała niemal świadomość uczestników owego święta wszystkie „wejścia"* osobowości nastawione są na intensywne przeżywanie i aktywne odbieranie silnych bodźców. Na mecz nie idzie się jak do filharmonii, przy czym porównanie to nie czyni ujmy boisku i świątyni Polihymnii; w obu wypadkach uruchamiane są inne receptory — odbiorniki bodźców i inaczej zdefiniowany jest kontekst samego odbioru.

Wyobraźmy sobie taki oto łańcuch: wyjazd z małej miejscowości, oderwanie się od codziennych zajęć, wizyta na stadionie w wielkim mieście i wreszcie: przyglądanie się grze i tłumowi innych kibiców. Wymieniając je, chcę przy tym zwrócić uwagę, że mogły one tworzyć zbyt niecodzienny ciąg — do tego stopnia, iż należało uzupełnić jego działanie przy pomocy swoistego „bodźca": butelki wypitej po drodze czy już na trybunie. Wyjątkowa, na pograniczu stressu, kumulacja bodźców, napięcie, stępienie mechanizmów samooceny i kontroli zachowania — nie są, podkreślmy, okolicznością łagodzącą; mogą tylko rysować prawdopodobny kontekst sytuacyjny trafienia holenderskiego gościa.

Przecież ten człowiek, (jeśli pozostać przy wstępnych podejrzeniach) widział dookoła siebie, jak współuczestnicy meczu małpują argentyńskie obyczaje i ciskają pod nogi zawodników rolki papieru, szarfy, wstęgi i co tam kto jeszcze przygotował. Rozumiał może, iż ciskanie na boisko należy do rytuału zachowań „prawdziwego" kibica i również, w ca-

INCYDENT

— Sądzi pan, że my, dziennikarze, zbyt wiele oczekiwaliśmy po meczu Widzewa z Juventusem?

— Proszę popatrzeć na zagraniczne kluby. W tych liczących się w Europie grają nie tylko krajowi zawodnicy. Kiedy w Juventusie nie było Platiniego i Bońka, myśmy z nimi wygrywali. Ale dziś, z tymi zawodnikami, to już jest przecież zupełnie inny Juventus. To trzeba widzieć, o tym trzeba mówić i pisać. My mamy dobry zespół. Ale przed przystąpieniem do rozgrywek pucharowych — jak już mówiłem — trzeba go będzie jeszcze wzmocnić. Nie wszyscy dziennikarze te sprawy jednak dostrzegają. Nie wszyscy rozumieją grę w piłkę nożną. Niekiedy, zamiast analizować sytuację drużyny, realnie oceniać jej walory, szukają tylko sensacji Wzorują się jakby na prasie zachodniej. Np. jedna z wrocławskich gazet napisała: jaki klub, tacy kibice. No i jak to skomentować?

— Starsi wiekiem kibice często rezygnują z pójścia na mecz i wolą go oglądać w telewizji nie dlatego, że wygodniej, ale dlatego, że nie aprobują tego, co dzieje się na widowni. Nie odpowiada im atmosfera.

— Starsi kibice potrafili doceniać walory przeciwnika. Kiedy ich drużyna przegrywała, żałowali, ale umieli także oklaskiwać grę zespołu lepszego. Mieli, po prostu, kulturę. Kulturę, której dziś brakuje młodym. A na widowni przeważa młodzież. To grupy młodych nadają ton. Śpiewają nieprzyzwoite piosenki, wznoszą wulgarne okrzyki, piją. Jest to problem szerszy, dotyczący zresztą zachowania nie tylko na stadionie.

— I nie ma na to rady?

— Siły porządkowe powinny takie grupy natychmiast rozbijać i wyrzucać z widowni. Konsekwentnie. Mecz po meczu.

— Czy w Widzewie porządkowi są w stanie temu podołać?

— Jeszcze nie bardzo. Jest to kilkadziesiąt osób, i trzeba ich znacznie więcej. Dlatego potrzebna jest również pomoc MO. Ważna jest także rola spikera zawodów. To bardzo istotne, czy spiker umie zapanować nad widownią. Zna pani chyba atmosferę, jaka zazwyczaj towarzyszy meczom z Legią. Przed każdym takim meczem człowiek boi się, co też może się stać. Był teraz mecz z Legią w Łodzi. Były gwizdy, zaczęto śpiewać wulgarną piosenkę, ale spiker potrafił nad tym zapanować i na widowni uspokoiło się, a mecz przebiegł w poprawnej atmosferze.

— Jaka powinna być rola klubów kibica?

— To jest w ogóle fajna rzecz pod warunkiem, że nie przeradza się w klubowy szowinizm. Niestety, klubami kibica nikt się na ogół nie zajmuje. Bo trzeba tam młodych wychowywać, uczyć właśnie zachowania, kierować nimi. Eliminować rozrabiaków.

— Czy wy prowadzicie taką pracę w Widzewie?

— Zdajemy sobie sprawę, że już pora, aby zająć się tą sprawą solidniej. RTS Widzew cieszy się autentyczną sympatią młodych kibiców, od których dostajemy setki listów. Myślimy nad tym, jak tę sympatię kibiców wykorzystać dla poprawy atmosfery i w klubie kibica, i na stadionie.

— Wróćmy jeszcze raz do tego przykrego incydentu. Skompromitował on polskich kibiców nie tylko w kraju.

— Ano, niestety. Nie możemy jednak w klubie robić z tego tragedii. Stało się i poniesiemy za to konsekwencje. Przede wszystkim — my.

— Mówi pan o tym wszystkim bardzo spokojnie.

— Muszę mówić spokojnie. Przecież trzeba grać dalej.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

Od redakcji: Rozmowa odbyła się przed meczem z GKS Katowice, przegranym przez Widzew 0:1.

łej swojej ograniczonej wódką nieświadomości, czymś cisnął. Chcę tu sformułować ryzykowną może tezę: na równi z samym sprawcą „winę" ponosi także mechanizm nierozumnego naśladownictwa — w swoich zasadniczych wymiarach podobny temu, jaki każe kibicom polskim wzorować się na Argentyńczykach czy Anglikach.

Uczestniczenie w meczu sprowadza się w pierwszym rzędzie do uczestniczenia w tłumie. Według teoretyków, tłumem jest masa ludzka doraźnie skupiona w określonej sytuacji społecznej i o określonym wobec tej sytuacji stopniu zainteresowania. Na piłkarskim stadionie zainteresowanie pozornie tylko skupia się wyłącznie na samym meczu; obok tego równie intensywnie tłum postrzega sam siebie. Ma on swoich aktorów-wesołków i „czarne charaktery", potencjalnie każdy jest tu widzem i odtwórcą jakiejś roli. Specjalistyczne badania wykazały, że wielkie zbiorowości ludzkie oddziałują silnie na człowieka: reakcje jednostek są uzależnione od stopnia zagęszczenia, a nawet sposobu zagęszczenia innych ludzi dookoła. Jednostkowe emocje w bliskich, bezpośrednich stycznościach sumują się tu gwałtownie jak ładunki elektryczne w burzowej chmurze; musi nastąpić wyładowanie — są nimi gwizdy, okrzyki, czasem szał radości, a coraz częściej, niestety, chuligańskie wybryki.

Nieco naiwne byłoby tu apelowanie do zbiorowego sumienia kibicowskiej społeczności. Mechanizmy tłumnych i jednostkowych reakcji w tłumie są w wysokim stopniu zobiektywizowane; jedynym skutecznym sposobem „odstraszania" przed ekscesami jest wzmocnienie kontroli milicyjnej i porządkowej. Chociaż jedna jaskółka nie czyni tu żadnej wiosny — to przecież świadomość konsekwencji ewentualnych chuligańskich zachowań musi być przez wszystkich jednakowo dostrzegana i wzmocniona zagrożeniem natychmiastowych represji. Inaczej należałoby stosować mechanizmy preselekcji kibiców, w nowoczesnym społeczeństwie absurd nie do wytłumaczenia.

Czy masa oddziałując na jednostki bardzo silnie — zwalnia je w ten sposób od personalnej odpowiedzialności? Otóż nie, podobnie jak nieświadomość prawa nie łagodzi kary. „Kibic z Czarnocina" rzucił butelką i ugodził sędziego — tak przedstawia się skutek, dla którego starałem się jedynie zarysować uproszczony obraz przyczyn.

Przechodząc teraz do analizy skutków w szerszym, niejednostkowym wymiarze, zacząć trzeba od dyskusyjnej, ale racjonalnej konstatacji: otóż w pewnym sensie stało się dobrze, iż cały incydent miał miejsce — jeśli pozostawić na boku obrażenia gościa z Holandii i karę dla sprawcy, oraz inne oczywiste i godne ubolewania okoliczności. Nic tak bowiem skutecznie nie przemawia do masowej wyobraźni, jak dokonane fakty, jak ujawnienie się tego, co było możliwe i bardzo prawdopodobne. Międzynarodowa Federacja Piłkarska lepiej niech ma ciężką rękę do określenia dewizowej rekompensaty, ale za to lekką — gdy idzie o kary, np. zamknięcia stadionu. **Każdy potencjalny chuligan musi poczuć, że skończyły się żarty,** inaczej bowiem konsekwencje poniosą wyłącznie sprawca i klub. **Świadomość zagrożenia podobnymi konsekwencjami musi utrwalić się tak samo mocno, jak wszystkie inne elementy obyczajowości meczowej.**

Krócej to formułując: aspirowanie do europejskiego poziomu gry musi łączyć się z poczuciem konieczności przestrzegania wszystkich konsekwencji. Udział w meczach Pucharu Europy jest z pewnością wyrazem cieszącego sympatyków futbolu awansu całej piłki — a to z kolei oddaje w pewnym stopniu poziom cywilizacyjnego zaawansowania społeczeństwa. Chodzi więc o to, by ten awans dopełnił się również na poziomie przestrzegania twardych norm piłkarskiego prawa i świadomego uczestnictwa w sportowych imprezach. Nie usunie to w całości ryzyka podobnych wypadków na przyszłość, ale przynajmniej obniży jego próg.

ANDRZEJ MAJER

Foto: M. Zajdler

Kiedyś na boisko wtargnąłem...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Grzało bardzo przyjemnie. Jak na połowę kwietnia — było wręcz upalnie. Wyżej, na drewnianych, wąskich ławkach rozłożyły się trzy dziewczyny. Pod głowy podłożyły sportowe dresy i łapały słońce. Co pewien czas niecierpliwie oganiały się tylko od pędzonego podmuchami wiatru kurzu, piasku i strzępów gazet. Tych zaś walało się wokół co niemiara...

A w dole, tuż przed pierwszymi rzędami ławek — malownicze ogrodzenie z prętów. Taki stalowy płot o dużych „oczkach". W czasach rzymskich imprez też ponoć były i ogrodzenia, i fosy. Chronić miały publiczność przed atakami choćby dzikich zwierząt kotłujących się po arenie. Dziś, choć siatka sprawia wrażenie, że za chwilę nad nami rozpostarte zostanie cyrkowe szapito — role jakoś się odwróciły To tych na manežu chronić trzeba przed furią legionów z ławek...

Okalająca boisko łódzkiego „Widzewa" siatka jest już właściwie gotowa. Dla urody całości trzeba ją jeszcze tylko pomalować. A całą robotę wykonuje jeden facet. Tempo ma zresztą znakomite. Na umazanej farbą twarzy błyszczą krople potu. Ale nie zwalnia, macha zawzięcie pędzlem i stalową szczotką, którą trzeba najpierw zerwać warstwę rdzy z żelaznych prętów.

— Strasznie pan zasuwa — rzucam z uznaniem.

— Bo jeszcze sporo przede mną, a do soboty chcę skończyć.

— To pewnie antykorozyjna minia?

— Aha.

— I to wszystko pan sam? — Ile tego będzie?

— Ponad 230 takich pól, każde dwa metry szerokie, w sumie będzie około 700 metrów, bo trzeba po obu stronach malować.

— Od dawna pan tu „walczy"?

— Od 8 kwietnia.

— I po cóż pan te rekordy bije? Założył się pan, czy to w czynie społecznym?

— Nie, to wie pan, jakby to powiedzieć, za karę...

— A kto pana tak wymyślnie ukarał?

— Długo by opowiadać.

— To choć w skrócie...

— Bo ja kiedyś na boisko wtargnąłem, tak to się określa fachowo, choć było trochę inaczej.

— Dawno to miało miejsce?

— No, dwa lata temu, dokładnej daty nie pamiętam. „Widzew" grał wtedy z „Anderlechtem" na stadionie LKS, zdaje się cztery do jednego wygrał. Ale do końca tego nie widziałem.

— Zemdlał pan z wrażenia?

— Nie, wyprowadzili mnie...

— Nieźle pan musiał narozrabiać?!

— Czy ja wiem? „Widzew" mi zawsze imponował, w lidze szedł jak burza. To na ten mecz nie wahałem się przyjechać z Kazimierza.

— Ładne miasto...

— Dosyć, stare, Wisła, jest gdzie popływać, tylko drużyny żadnej nie ma. Do Lublina się jeździ, ale ten „Motor" to częściej gra jak przed kapitalnym remontem, nerwów szkoda.

— Przyjechał pan wtedy do Łodzi...

— Właśnie, a tuż przed meczem poznałem takiego faceta, dziennikarz to był czy reporter, albo jakiś taki, w każdym razie w czasie meczu siedział sobie na płycie, na linii, tuż przy bramce. O, przepraszam, to ten wiatr...

Malarz, gawędząc ze mną, ani na chwilę nie przerwał roboty. A przed sekundą powiało mi właśnie w oczy brunatnymi opiłkami rdzy, które zdzierał z siatki.

Po przeciwległej stronie uchylono furtę w ogrodzeniu i na boisko wybiegli ONI. Rytualny trening zapewne, ale teraz dopiero zauważyłem, że górne ławki zajęło kilkudziesięciu mężczyzn, może ze dwie setki w sumie, tych najbardziej zagorzałych, co to nie opuszczą jednego uderzenia w piłę swych pupilów.

Kazimierzaninowi ręka z pędzlem zawisła w powietrzu.

— Patrz pan, ten pierwszy, blondas — to Surlit. Ma kopa, skubany. Któregoś dnia jak walnął z ponad trzydziestu metrów, to chyba siatka pękła. Tylko na meczu żeby mu tak wchodziło...

— A jak się panu wtedy wchodziło? — wróciłem do przerwanego wątku.

— Aha, no to ten znajomy, co mówiłem, prosił mnie bym w przerwie kupił mu papierosy. Kupiłem, tylko druga połowa się zaczęła i nie było jak podać.

— Daleko pan od niego siedział?

— Nawet nie, bo na dole, przy płycie. No i tak jakoś na początku drugiej odsłony, jak bramkę strzelili chyba — poleciałem te papierosy mu podać.

— Siatki takiej jak ta, jeszcze wtedy na ełkaesie nie było?

— Nie, a poza tym sporo ludzi tam łaziło różnych, to myślę sobie....

— Ale oni, pewnie porządkowi albo od podawania piłek, nie biegają po murawie.

— Ja też nie wpadłem na murawę — pogalopowałem po tej bieżni co boisko otacza. Potem nawet tak myślałem, że jakbym sobie spacerkiem ruszył, to by może nikt nie zareagował, ale tak to mnie zaraz dopadli...

— Po wódeczce ciężko się biega...

— A skąd, nic nie było, może po kielichu, to wszystko.

— No i co było później?

— Smutno — do „suki", na komendę, gdzieś na Piotrkowskiej, nie pamiętam i na dół, do „pudła".

— Było kolegium?

— Aha, ale dopiero parę miesięcy po meczu, chyba w lutym osiemdziesiąt dwa. No i tam mnie ukarali zapłaceniem 2600 złotych za to — jak mówili — wtargnięcie.

Gdzieś, wyżej nad nami rozległo się głośne „aaaa". Zerknąłem na boisko. Piotr Romke bodaj huknął potężnego woleja w lewe „okno". Bramka była pusta, ale strzał przypadł do gustu nielicznej widowni. Rozmawiając rękoma z ożywieniem komentowali jakieś techniczne szczegóły, złożenie nogi, balans ciałem...

— No dobrze, grzywnę pan zapłacił, a ten płot to co? Rekreacja? Ścieżka zdrowia?

— Jakoś tak jesienią ubiegłego roku dostałem pismo z klubu, żebym się stawił w pilnej sprawie, bo jak nie, to mnie straszono sądem i tak dalej. No to przyjechałem i dowiaduję się, że mam jeszcze do zapłacenia 86 tysięcy złotych.

— A cóż to za kwota?

— No bo okazało się, że klub musiał zapłacić bodaj dwa tysiące szwajcarskich franków kary. To jest chyba tak, że GKKFiT płaci i potem obciąża klub. To jak to przeliczyli na złotówki — wyszło im 86 tysięcy, a że to kara z mojej winy, bo ja biegałem po tej bieżni — to muszę zapłacić.

— Przerażony był pan chyba trochę?

— No bo skąd niby wziąć te pieniądze? Jesienią się ożeniłem, to też parę groszy poszło, myślałem, że mi na jakieś raty rozłożą, czy co. No a potem w rozmowie z dyrektorem Wojtczakiem zrodził się pomysł z tym ogrodzeniem. Jak się teraz wiosną zrobiła pogoda, to po świętach zaraz przyjechałem i maluję.

— Z pracy tak pana puścili...

— Załatwiłem sobie trzy tygodnie urlopu.

— Zdąży pan z tym płotem?

— Muszę, pracuję od 8 rano do 8 wieczorem. Tu, w klubie taki kąt mi dali — to tu śpię, obiady też mi załatwili, śniadania i kolacje sam sobie robię.

— I te malarskie popisy są warte równe 86 tysięcy?

— No, tak wychodzi, chociaż myślę, że jakby to robiła jakaś prywatna czy spółdzielcza firma, to by trochę więcej wzięła. Rozmawiałem tu nawet z jednymi, co to barierki na górze, na koronie malują. To im coś wyszło ponad 180 tysięcy. Mniejsza nawet o to ilu by to robiło i jak długo. Ale co tam — moja była wina, to i maluję. I do końca kwietnia, to jest do soboty muszę zdążyć.

— Był pan na meczu rewanżowym z „Juventusem"?

— Byłem, nawet bezpłatnie mnie wpuszczono.

— No i co pan sądzi o tym fatalnym wypadku?

— Idiotyczny wybryk, bezmyślność. Wie pan, na meczach — ja dużo jeżdżę na różne spotkania, coraz gorsza publiczność. Te butelki to lecą przecież nie tylko na meczach Widzewa, a i po tym wypadku, jak wznowiono spotkanie — też leciały. Taka hołota siedzi wie pan silną grupą, w kilkudziesięciu, razem piją, razem rzucają — jeden drugiego nie wyda. A autentyczny kibic, nawet jak siedzi w pobliżu, po prostu boi się odezwać. Taka siatka — jest dobra, bo na przykład nie wlecą z pięściami do sędziego czy zawodników, Tak jest w wielu krajach. Ale tam lecą głównie serpentyny, a u nas — puszki i butelki.

— Jest na to jakaś rada? Jak pan myśli?

— Czy ja wiem? Przede wszystkim kontrola przy wejściu musi być superdokładna. Teraz też niby jest, tylko skąd w takim razie te tysiące butelek po meczu na stadionie. A już w czasie takich ważnych spotkań, kiedy o byle drobiazg, jak ten mój przypadek, klub może złapać karę, no to trzeba te wszystkie sektory po prostu obserwować. Przy takim rozzuchwaleniu części publiki innego wyjścia nie widzę. Porządkowi z milicją na górze, na dole, tylko że nie powinni obserwować meczu, a więcej uwagi poświęcać tym w ławkach. Jak jeden z drugim będzie przekonany, że go zauważą, to i rzucać nie odważy się.

— Ale po co w ogóle czymkolwiek rzucać?

— Ja nie wiem, to musi być chyba kretyn. Nawet rozumiem: zimno, nasi strzelili, jest okazja, wypijemy po maluchu. Ale rzucać? Przecież mogę trafić siedzącego parę rzędów niżej, jakiegoś dzieciaka czy nawet swojego kumpla. A ta, no, znieczulica jest straszna, ludzie na wszelki wypadek na żadne takie historie nie reagują. Ja kiedyś po kumpla skoczyłem, co się u nas, w Wiśle zaczął topić. Panie, z trzydzieści osób się przyglądało, żaden nawet koszuli nie ściągnął. To taki ma potem na meczu zareagować jak siedzi obok chuligana?

— Ale „Widzewowi" będzie pan kibicował?

— Jasne, bo to świetna drużyna, o klasę odstająca od całej ligi. A przez ten płot to ich lepiej jeszcze poznałem.

— A co pan tam podśpiewywał pod nosem przed naszą rozmową?

— Nie znasz pan takiego starego „kawałka": Jestem malarzem nieszczęśliwym...

Powrót Erssona

DARIUSZ OSIŃSKI

Znowu jesteś — powiedział stary Jon, gdy dziewiętnastoletni Ersson pojawił się w drzwiach. — To dobrze.

Przybyły usiadł na ławie i milczał.

Stary wiedział, że ten sam kłopot znów sprowadza go do jego wilgotnej chaty. Rozcierając bolącą nogę powiedział niskim głosem:

— Ja ci mówię, ty nie patrz na nikogo, tylko jedź na południe. Tam są duże miasta, jest cieplej. Gdybym tam był, nie miałbym tego reumatyzmu. U nas albo mokro, albo zimno i nie bardzo jest się gdzie ogrzać. A tam budynki murowane. Ciepło. Światło. W szkole miałeś najlepsze stopnie. Zawsze jakąś pracę dostaniesz...

Ersson wstał z ławy.

— Pojadę — wydobył w końcu z siebie.

Stada źle pilnował. Wciąż myślał o Południu. Bracia szukali całymi dniami grup odłączonych od stada i zziajani, w końcu przy pomocy psów, przyprowadzali je. Często nie wszystkie, bo zagryzały je wilki. Były do niego pretensje. Potrzebny jednak im tu jestem, myślał. Takie stado renów beze mnie. Ale myśl o wyjeździe powracała.

W nocy nie mógł zasnąć. Wstawał i szedł mimo ciemności do spakowanego już od kilku dni plecaka; nachylał się nad nim, sprawdzał ręką po jego wypukłościach, czy zabrał już to, co najbardziej potrzebne. Wracał na posłanie, przykrywał się skórą i dalej nie mógł zasnąć.

Gdy zbliżała się czwarta rano, zerwał się z posłania. Na wątpliwości: jak to tam będzie? — znalazł wreszcie prostą odpowiedź. Wszystko będę wiedział na miejscu. Szybko założył lapońskie, odświętne ubranie i jak najciszej poszedł po narty. Zdążyła tylko wstać matka. Kiedy zakładał na ramiona ciężki, wyładowany plecak, doszły go słowa pełne obawy:

— Pójdziesz w świat... do obcych ludzi...

— Po jakimś tygodniu dam znać.

— Nie chcę.

Gdy zaczął się zbliżać wieczór i śnieg przestał, padać, zatrzymał się przy jednym ze świerków. Zabrał się do jedzenia. Napił się kawy z mosiężnego dzbanka. Gdy wstał, poczuł jak ciężkie ma nogi. Ale do Aslaka miał już niedaleko.

Kolega powitał go szerokim, serdecznym uśmiechem.

— Teraz właśnie, wybieram się na Południe — powiedział na wstępie.

— Niemożliwe — zdumiał się Aslak.

Ersson oparł o ścianę narty. A Aslak podbiegł, żeby mu pomóc zdjąć plecak.

Stół stopniowo zapełnił się jadłem i napitkiem.

— Co ty? Tyle tego nawyciągałeś?

— Gdybyś nie jechał na Południe, do tego miasta — powiedział Aslak z wyrzutem — to chyba nie zajrzałbyś nigdy.

— Chyba bym nie zajrzał.

Aslak pokiwał głową.

— Wiesz, jakie tu lisy można zimą na przynętę łapać?

— Niemożliwe — ożywił się Ersson.

— Możliwe. W tym tygodniu trzeci svartrev mi się trafił.

— Czarny lis, to niebywałe. Jak tak dalej pójdzie, to będzie miał za co powiększyć stado.

— Najchętniej poszedłbyś spać? — domyślił się Aslak.

— Zgadłeś.

Gdy wstali, wszystko zdawało się nadal spać.

— Musisz uważać — mówił Aslak na pożegnanie. — Tam czas jest szybki. I ludzie zupełnie inaczej wyglądają.

— Ale tam inne życie.

Gdy dotarł do celu, nie zastała go tu druga, okropna ciemność, taka jak w jego stronach, choć był już późny wieczór. Światło, światło! Tyle aż — pomyślał ucieszony. — Wszystko błyszczy. Domy wysokie, wystawy, ludzie. Miasto, miasto! Wreszcie miasto!

Wzrok jego, ciągle przesuwający się z podziwem po murowanych domach, zatrzymał się. Z zadartą głową przeczytał: „Hotel".

Zdecydował się i wszedł. Miękkość puszystych dywanów. Wygodne, wyścielane, szerokie fotele. I cisza. Zsunął z ramion plecak i usiadł w jednym z foteli. Oparł o kolana narty.

Przyśniło mu się, że nad nim koluje uparcie czarny ptak, który tu za nim przyleciał. Skrzeczy, robi mu wyrzuty: po coś tu przyjechał, po coś tu przyjechał...

Drgnął, bo poczuł jak ktoś pochylił się nad nim. Otworzył oczy. Zobaczył pomarszczoną, wydłużoną twarz.

— Gunild! — usłyszał kobiecy głos.

Nieznajomy machnął niecierpliwie ręką. Wyprostował się. Uwypukliły się jego potężny brzuch i klatka piersiowa. To musi być właściciel — pomyślał. Spokojne oczy przyglądały mu się z zaciekawieniem. Poruszył się.

Bardzo grube palce dotknęły jego ramienia:

— Eeee... mięśnie... takie duże i twarde? — zdumiał się właściciel hotelu.

Ersson poruszył się.

— Lapończyk — mruknął tamten. — Strój lapoński?

Ersson wstał z fotela.

Wyciągnięta dłoń Gunilda powstrzymała go.

— Nie można się zaraz obrażać. Co, tu u mnie nie jest ładnie?

— Czy powiem tak czy nie, to przecież dla pana nie będzie miało żadnego znaczenia — odparł.

— Gunild! — odezwał się znów kobiecy głos.

— Czasem nie uciekaj — powiedział do Erssona. — Mam dla ciebie ważną propozycję. — I poszedł.

„Co on ode mnie może chcieć? — pomyślał Lapończyk i poszedł za czarny, marmurowy filar, żeby się przyjrzeć z daleka dokładniej jej i jemu.

Ona podpierała skronie palcami, szczupłymi i bladymi, a przeguby rąk podkreślały niebieskie obwódki puszystego puloweru o kolorze tęczy. On stał przy niej i zamaszyście gestykulował. Ersson nie słyszał o czym rozmawiali.

— Wołam cię i wołam — mówiła. — Z kim rozmawiałeś?

— Okaz... to jest dla nas okaz. On będzie ozdobą mojego hotelu. Każdemu, kto tu wejdzie, będzie przypominał Laponię.

— Gunild, czy ty naprawdę? Czy ty tylko tak? Nie do wiary...

— Z dniem jutrzejszym Mattensen odejdzie z bardzo dobrą opinią, a zostanie Lapończyk — powiedział twardo właściciel hotelu.

Ersson założył już plecak i stał przy wyjściu. Gunild podbiegł do Lapończyka.

— Zostaniesz tu — powiedział.

— Tu? — zdziwił się. — Co ja bym tu robił?

— Dam ci taką pensję, jakiej ci inni nie dadzą.

— Ale co ja bym tu robił?

— Będziesz tu wszystkim — odparł Gunild. — Wobec gości będziesz reprezentował mój hotel.

— Trudno to sobie wyobrazić. Dziwna to praca. Ale...

— Jeszcze się zastanawiasz? — zawołał.

— No, niech będzie — odparł w końcu z wahaniem młody człowiek.

— Sivert! — krzyknął na całe gardło właściciel hotelu i klasnął ucieszony w dłonie.

Podbiegł do nich człowiek cały w bieli.

— Ten pan będzie mieszkał w pokoju sześćset siedemnaście — powiedział Gunild. — I będzie tu pracował.

Biały przyjrzał się badawczo Lapończykowi. Uniósł w zdziwieniu brwi. Gunild spojrzał na niego karcąco.

— Zaprowadź — powiedział i znów klasnął w dłonie.

Erssona najpierw zainteresował sufit pokoju. Opadał skośnie aż do okna i pomniejszał i tak już ciasne pomieszczenie. Tu i ówdzie odstawał tynk, za którym gromadził się kurz dużymi warstwami. Zanim położył się spać, pomyślał jeszcze: Taki duży budynek, tyle pięter. A się nie zawali...

Nazajutrz, w dalszym ciągu nie wiedząc, co go tu właściwie czeka za praca, zbiegł po schodach na dół. Tu kręcił się już, przeważnie energiczny zawsze i wyprężony jak struna, Gunild.

— Dziś już winda czynna — powiedział. Położył mu rękę na ramieniu. — Tu będą przyjeżdżać ludzie zmęczeni podróżą, chcąc wypocząć w przyjemnej atmosferze. Będą mieli też ciężkie walizki, to wtedy nie wypada, żeby młody człowiek tylko się przyglądał, jak się męczą i dźwigają. Podskoczysz, pomożesz im. Jak przybędą jacyś znaczni goście, możesz się też ukłonić, masz zgrabną sylwetkę. Powitasz ich uśmiechem. Nie oszczędzaj uśmiechu. Masz ładne, zdrowe zęby, tu u nas rzadko kto ma takie.

Stał przy ogromnej podłużnej szybie, za którą pochyleni pracowali niestrudzenie jacyś mężczyźni. Od czasu do czasu któryś zerkał badawczo na niego. Siedziała tam również Stina. Dziś mógł się jej przyjrzeć dokładniej. Wisiał tu również, jakby na pierwszym planie, równy rząd kluczy, połyskujący teraz srebrem we wczesnym, porannym słońcu.

— To od kiedy zaczynam pracę? Bo pan tylko mówi — rzekł jak gdyby z wyrzutem.

— Jak to? — spojrzał twardo na Erssona tamten, ale rysy mu złagodniały i tylko roześmiał się. — Zaczniesz — rzekł poważnym głosem. — Będziesz urzędował w pobliżu drzwi. Między tą wielką szybą, za którą wiszą klucze, a drzwiami. Rozumiesz?

— Rozumiem. Ale co z ubraniem. — rzekł zakłopotany, wskazawszy na swój lapoński strój.

— Właśnie, właśnie! — W takim stroju będziesz pracował — prawie wykrzyknął z zadowolenia właściciel hotelu. — Nie myśl, że ci żałuję. Dam ci ubranie eleganckie, będziesz sobie nosił, ale tylko po „urzędowaniu", rozumiesz?

— Rozumiem — odparł, czując zamęt w głowie.

Od samego rana drzwi wejściowe nieustannie otwierały się i zamykały. Przybywali ludzie z bagażami, a było ich wyjątkowo dużo. Rozpinali skafandry lub płaszcze, sięgali głęboko do wewnętrznych kieszeni po pieniądze.

Ersson zginał się w ukłonie, chwytał walizki i uśmiechał się niosąc je.

Panowie, pracujący za dużym szkłem, od czasu do czasu zdobywali się na dyskretne, chwalebne uwagi pod adresem Lapończyka.

Ersson, jak wielu z obsługi, obiad odbierał bezpośrednio z kuchni restauracji hotelowej i bardzo gorącymi talerzami parzył sobie po drodze ręce, zanim postawił je u siebie w pokoju na stole. Każdy dzień stawał się podobny do następnego. Napływ gości nie ustawał. Podbiegł kiedyś, zafrasowany, do Gunilda:

— Nie wiedziałem, że tutaj będzie taki ruch. Sami walizkowi. Niosę jednemu, to już następny, albo dwóch z tyłu, też z bagażami. I nie wszystkich mogę naraz obskoczyć.

Gunild uśmiechnął się pobłażliwie.

— Jak już pomagasz jednemu, to cię nie obchodzi inny. Ale patrz zawsze, żebyś się mógł złapać za walizki tego, co wygląda na bardziej bogatego. Czasem taki nie chce, bo jest chytry, myśli, że będzie musiał zaraz płacić, to mu bez słowa chwytasz bagaż i śmiało wnosisz do środka. No....?

Wkrótce nieprzenikniona szarość zaczęła za dnia zstępować na miasto. Padał śnieg, wielki i mokry. W hotelu Gunilda pozapalano światła. I była taka chwila, że nikt nie wchodził ani nie wychodził. Ktoś z obsługi ziewnął i poszedł zamknąć uchylone drzwi.

— Nie zamykaj tych drzwi — powiedział Lapończyk i podbiegł do tamtego. Odsunął go jednym ruchem. — Powietrza — powiedział. — Brakuje go tu — i wyszedł przed hotel. Zdarł czapkę z głowy. Łapczywie wdychał powietrze. Ktoś na moment wychylił się za nim: wzdrygnął się i szybko schował do środka.

Nazajutrz właściciel hotelu podszedł do niego, popatrzył uważnie w oczy i powiedział:

— Tutaj nikt cię nie zrozumie. Mówią, że jesteś dziwny. Ja jeden cię rozumiem. Ale nie wystawaj przed hotelem. Siedź w środku, tu gdzie ci wyznaczyłem miejsce. Bo to jest twoja praca.

Ersson coraz częściej ze smutkiem patrzył w okno. Coś ciągnęło go w stronę wyjściowych drzwi.

Z coraz większym trudem zasypiał. Ciągle go coś drażniło.

Któregoś dnia Erssonowi aż rozszerzyły się ze zdziwienia oczy. Duże wejściowe drzwi otworzyły się i już nie zamykały, bo do środka zaczął wchodzić sznur ludzi. Pojawił się Gunild, podekscytowany tym widokiem. Położył mu rękę na ramieniu:

— To sezon. Sezon się zaczyna — rzekł szybko i wpatrzył się w masę przybyłych. — Musisz trochę z głową. Będziesz miał dużo pracy.

Ersson zawahał się, ale odparł:

— Ja chyba stąd odejdę...

— Tyle ludzi, a ty teraz... Od początku wiedziałem, że będą z tobą kłopoty. Musisz się trochę wysilić teraz. Minie sezon, odpoczniesz. Zostaniesz, będziesz miał na starość wysoką emeryturę. A tam, w Laponii, co? No „urzęduj, urzęduj"! Widzisz, co ludzi się do mnie pcha.

Tego dnia zastał na łóżku nowy garnitur. Cały błyszczący. Od Gunilda — odgadł zaraz. Obejrzał dokładnie. Podobał mu się. „Nie mogę teraz stąd odejść. Muszę jednak zostać".

Wczesnym rankiem poczuł, że zaczyna napływać jakieś ciężkie powietrze i stopniowo staje się ciepło i duszno. To były pierwsze fale wiosny. Zszedł na dół. O tak wczesnej porze było jeszcze pusto. Tylko za szybą jedenastu mężczyzn trwało już na swoich stanowiskach. Wrócił do siebie na górę.

Chwycił swoje narty, zarzucił na ramiona plecak i po chwili już tylko mignął przed oczyma tym za szybą.

I biegł, biegł, co pewien czas oglądając się za siebie. Nad wieczorem, zmęczony, potknął się i upadł, narty wysunęły się z ręki. Przywarł twarzą do ziemi. A wyglądało tak, jakby ją ucałował. I zaczął się modlić:

— Boże nasz, Boże wichrów, Boże piorunów i błyskawic! Dziękuję ci...

■

Bolesław Wojewódzki

Index librorum prohibitorum

(Z poematu „Mikołaj Kopernik")

VIII.

Śpiesz się powoli Mikołaju
czas najeżony jest perfidią
lepki od chuci w aurze piżma
Prawda i postęp płoną w stosach
tortury włóczą czas oślizgły
Więc dźwigaj kanoniku dalej
roje galaktyk jako Atlas
Czaj się w kamieniu Perseusza
Plejady Hiady Hesperydy
strzegą metopę wielkiej wizji

Milczenie droższe jest od złota
Temida czyha w kamuflażach
Dioptry prowadzą już rozważniej
do armiralnej ekliptyki
Najlepsza driakiew w Sfinksa krzyku
Tak astrolabia w dostrzegalniach
nie umieją kłamać Każdy z kątów
napina żagle wiedzie korab
do portu Nike Czujny instynkt
zaszczytne plecie ci dystynkcje

Inkwizytorzy skryby klechy
i pseudo-mędrcy mącą niebo
gwałcą pomniki intelektu
Z śmiercią pod rękę kłaść na szalę
ich wag swe dzieło Czekaj dalej
Przyjdzie rozkwitu laurów pora
Index librorum prohibitorum
miast exlibrisu grozi jeszcze

Śpiesz się powoli Mikołaju
z „De revolutionibus orbium coelestum"

Na marginesach wielkiej sztuki

Wszystkie tkaniny z całego kraju

Tytuł jest trochę bez pokrycia, za to oddaje doskonale zamysł, jaki powzięło Centralne Muzeum Włókiennictwa. Pierwsze słowo zostało już powiedziane, a raczej pokazane: tkanina współczesna w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie. Do 22 maja będziemy mogli oglądać prawie połowę warszawskiej kolekcji, bo 78 ze 162 prac autorstwa od Eleonory Plutyńskiej poczynając.

Twórczość E. Plutyńskiej ma w historii polskiej tkaniny artystycznej znaczenie dosyć szczególne, bowiem stanowi jakby ogniwo pośrednie pomiędzy tym okresem, w którym tkanina przynależała bardziej do sztuki użytkowej a tym, w którym stała się dziedziną artystyczną samą dla siebie, kiedy to poznaliśmy nazwiska takich twórców, jak: Magdalena Abakanowicz, Wojciech Sadley, Jolanta Owidzka, Anna Śledziewska, Władysław Hasior żeby wymienić tylko najbardziej znanych.

Opiekunka warszawskich zbiorów Hanna Kotkowska-Bareja, która była również autorką scenariusza łódzkiej wystawy, przygotowała teoretyczne wprowadzenie do niej. Zostało ono wydrukowane na plakacie, więc każdy zainteresowany ekspozycją może z tym tekstem się zapoznać choćby podczas spaceru po ulicach miasta. Jednemu jednak zdaniu z owego, omówienia warto poświęcić trochę uwagi, a także je uzupełnić.

Hanna Kotkowska-Bareja pisze: *Ostatnie lata charakteryzuje w naszej kolekcji nabywanie pojedyńczych dzieł wielu artystów, co służyć ma z jednej strony dokumentowaniu wielości zjawisk, a z drugiej wyraża niepewność, które z nich okaże się efemerydą, a które wczesnym sygnałem trwałej tendencji".*

Kiedy gościliśmy w Łodzi wystawę współczesnej tkaniny kanadyjskiej, odnotowałam — również na łamach „Odgłosów" — że obecnie w sztuce tkackiej daje się zauważyć silny nurt powrotu do wykształconych przez wieki form wynikających z pracy na krośnie. Trudno dziś przesądzać, czy te przemiany okażą się trwałe, czy może są świadectwem chwilowego odpoczynku po burzliwych dla tkaniny latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Sytuacja ta jednak powoduje, że równie wiele uwagi poświęcamy zarówno tym liczącym niewiele ponad dwadzieścia lat formom przestrzennym, dla których tworzywem są najróżniejsze rodzaje przędz i włókien, jak i nowszym, a przecież w gruncie rzeczy znacznie starszym swojskim kilimom i gobelinom. Stąd właśnie konieczność uważnego i wszechstronnego dokumentowania tego wszystkiego, co dzieje się obecnie w sztuce tkackiej, a o czym jednym zdaniem wspomina tekst na plakacie.

Wszystko to jednak dygresja, ma być przecież o tkaninach z całego kraju. Dyrektor Centralnego Muzeum Włókiennictwa w Łodzi Norbert Zawisza zamierza je pokazać w cyklu wystaw prezentujących zbiory tak świetne jak warszawskie, ale i nie mniej świetne choć może skromniejsze, gromadzone w muzeach regionalnych, a także przez prywatnych kolekcjonerów. Kalendarza planowanych imprez jeszcze nie ma, wiadomo tylko, że jesienią zobaczymy kolekcję projektów i wykonanych według nich tkanin przemysłowych, które zgromadzono w Ośrodku Nowoczesnego Wzornictwa Muzeum Narodowego w Warszawie.

Po raz pierwszy też przy okazji tej właśnie wystawy będziemy mogli obejrzeć tkaniny drukowane według projektów Władysława Strzemińskiego, co dla zainteresowanych tą dziedziną twórczości plastycznej stanie się zapewne atrakcją nie lada.

Koncepcja drugiej w planowanym cyklu wystawy podpowiada również, że jego organizatorzy zamierzają konsekwentnie pokazać nie tylko to, co zwykliśmy zaliczać do tak zwanej sztuki czystej w dziedzinie tkactwa, ale wszystko co zwie się tkaniną, bądź z tkaniny zostało zrobione, a przy tym jest również piękne.

Niecierpliwie oczekując na następne prezentacje zapraszam do poznania tej pierwszej

K. N. ■

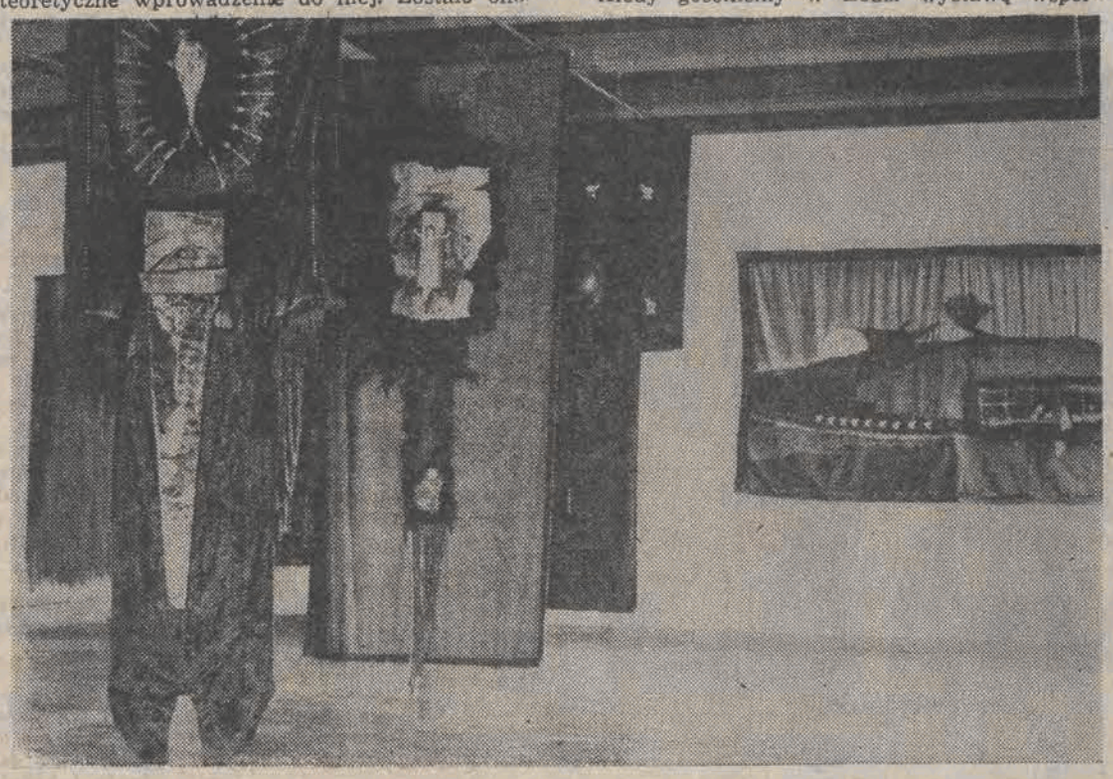

Foto: Teresa Szymonowicz

Dzień powszedni kultury

„A wy, dziady do roboty, na produkcję!”

Kiedy istniały jedynie branżowe związki zawodowe, wiadomo było kto ma finansować zakładowe placówki kultury. Potem, gdy związków przybyło, zastanawiano się, kto, ile ma płacić. Po wprowadzeniu stanu wojennego zawieszono działalność domów kultury, klubów i świetlic. Później, gdy pojawiły się pierwsze wieści o samofinansowaniu, tu i ówdzie zaczęto się zastanawiać nad potrzebą istnienia tych placówek.

W jednym z ubiegłorocznych numerów „BIULETYNU INFORMACYJNEGO” Łódzkiego Domu Kultury przedstawiono odpowiedzi dyrektorów przedsiębiorstw patronackich na trzy pytania dotyczące problemów zakładowych domów kultury, potrzeby ich istnienia i trudności finansowych w dobie reformy. Zdaniem autora sondy, było „...*rzeczą znamienną, że żaden z tych, przecież losowo dobranych szefów wielkich przedsiębiorstw przemysłowych naszego miasta nie zanegował sensu i przydatności pracy kulturalno-wychowawczej w swoim zakładzie.*”.

Równie znamienne było jednak i to, że wszyscy oni mówiąc o problemach domów kultury, w mniej lub bardziej zawoalowany sposób wspominali o małym zainteresowaniu pracowników działalnością tych placówek, sugerowali potrzebę szukania nowych form pracy, które bardziej odpowiadałyby potrzebom robotniczych załóg, a wypowiadając się na temat trudności finansowych zakładowej kultury często nawiązywali do opinii i stanowiska większości zatrudnionych. Jeden z dyrektorów postawił sobie nawet pytanie: „... *czy jeżeli zapotrzebowanie jest jakie jest, to czy warto, czy można, czy trzeba to robić?*” ... i od razu w następnym zdaniu dodał: „*Ale byłbym chyba samobójcą, gdybym powiedział, że zamykamy Dom Kultury!*”.

W ciągu ostatnich dwóch lat zlikwidowano w Łodzi dwadzieścia zakładowych placówek kultury.

ILE TO NAPRAWDĘ KOSZTUJE?

W 1979 roku Zakładowy Dom Kultury przy ZPB „ESKIMO” otrzymał z funduszu socjalnego sto tysięcy złotych na działalność merytoryczną. Później koszty podzielono — stary związek płacił trzydzieści, a „Solidarność” siedemdziesiąt tysięcy. Obecnie na działalność merytoryczną przyznano trzysta tysięcy złotych. Właścicielem budynku, w którym mieści się placówka jest przedsiębiorstwo, ono też ponosi koszty utrzymania obiektu, niezależnie od tego kto jest jego użytkownikiem. Obciążenie finansowe trzytysięcznej załogi zakładu związane z działalnością domu kultury wynosi więc około stu złotych rocznie na osobę.

Za te sto złotych rocznie prowadzi się trzy teatry — jednego aktora, pantomimy i dziecięcy oraz zespół estradowo-kabaretowy, studio piosenki, szkołę tańca, dwa zespoły muzyczne — rockowy i muzyki dawnej, sekcję szachową i kursy języków obcych.

Przy Zakładowym Domu Kultury ŁZPB „UNIONTEX” działa Zespół Pieśni i Tańca Folkloru Łódzkiego, Kapela z Przędzalnianej, orkiestra dęta, grupa teatralna i teatrzyk dziecięcy, Robotniczy DKF, dwa dziecięce zespoły taneczne, grupa wokalna i zespoły instrumentalno-wokalne, grupa literacka, klub młodzieżowy pracownia plastyczna i pracownia tkaniny artystycznej. Oprócz imprez okolicznościowych i prelekcji organizowane są stałe imprezy dla dzieci, dyskoteki, projekcje filmowe, lekcje tańca towarzyskiego, kursy kroju i szycia oraz kursy języków obcych. Przy ZDK działa też Galeria Księży Młyn, biblioteka i kawiarnia.

Rada Pracownicza „UNIONTEXU” przyznała trzy i pół miliona złotych na tegoroczną działalność domu kultury, z tego milion siedemset trzeba będzie przeznaczyć na remont budynku. Część kosztów placówka pokrywa z własnych pieniędzy bowiem rocznie uzyskuje około czterystu tysięcy złotych dochodu. W 1981 roku, kiedy związki zawodowe zaczęły się wycofywać z finansowania zakładowej kultury, dochód ten pozwolił założyć konto w banku sto tysięcy dołożył Urząd Dzielnicowy Łódź-Widzew, a Łódzki Dom Kultury — podobnie jak w wielu innych przypadkach — wziął na jakiś czas instruktorów na swe etaty. Teraz, gdy sytuacja finansowa się unormowała, na koncie jest pół miliona złotych.

— *Tylko pół miliona* — jak mówi dyrektor ZDK „Uniontexu” JÓZEF GAŁECKI — *W 1974 roku mieliśmy na całą działalność milion sto tysięcy i to zupełnie wystarczało, ale teraz na same płace, które jak wszędzie wzrosły, wydajemy dwa miliony rocznie. Staramy się jeszcze o dotację z dzielnicy, jednak każdy może nam dać pieniądze na środki rzeczowe, a na fundusz płac — nie. Na przykład w przedsiębiorstwie pensje instruktorów zwiększają ogólną sumę zarobków pracowników umysłowych. Tymczasem bez instruktorów nie rozwiniemy ruchu artystycznego, chociażby na poziomie z 1980 roku. Wtedy mieliśmy siedmiuset pięćdziesięciu członków zespołów artystycznych, teraz mamy stu osiemdziesięciu.*

KTO TO LUBI?

Teatr Jednego Aktora Zakładowego Domu Kultury „ESKIMO” przygotował monodram „Grossaktion in Warschau” oparty na „Rozmowach z katem” Kazimierza Moczarskiego. Premiera odbyła się w marcu, wystąpił BOGUSŁAW MAKÓWKA. Jest on ślusarzem, pracuje w ZPJ „PIERWSZA”, ale od wielu lat jest związany z domem kultury „ESKIMO”.

— *W 1969 roku, kiedy pracowałem jeszcze w WZPB „Pierwszy Maja”* — mówi — *do organizacji młodzieżowej zwrócił się ówczesny kierownik klubu zakładowego „Prząśniczka” Andrzej Buczkowski, który teraz kieruje domem kultury w „Eskimo”. Szukał ludzi do robienia kabaretu. Przewodniczący organizacji zapytał mnie, czy nie chciałbym się w to pobawić. Powiedziałem „dlaczego nie” i od tego się zaczęło. Było nas cztery czy pięć osób, zrobiliśmy kilka luźnych kabaretowych tekstów, poszło to do załogi, spodobało się, a ja odniosłem wtedy swoje pierwsze sukcesy. Robiłem „za gwiazdę”, to wtedy pociągało, a może nawet częściowo zostało mi do dziś. Tyle, że wtedy zainteresowanie załogi tym, co robiliśmy było jednak większe, ludzie bardziej garnęli się do własnej, zakładowej kultury, która powstawała na zasadzie „my to zrobimy”. Mieliśmy własną rozrywkę — sami ją robiliśmy i sami chętnie oglądali, z tym naszym kabaretem jeździliśmy nawet poza Łódź do ośrodków wczasowych zakładu. Zresztą teraz też kiedy wiadomo, że ktoś z załogi gdzieś występuje, to koledzy z pracy przyjdą żeby obejrzeć co on zrobił i jak zrobił. Z drugiej strony spotykałem się jednak i z czymś takim — przychodzę do zakładu, a niektórzy mówią „ej ty, gwiazda”. Ja się tym nie przejmowałem, ale wielu taka właśnie atmosfera może zniechęcić do pracy w domu kultury.*

— *Nie zauważyłam, żeby w ostatnich latach* — mówi ANNA KACZMAREK kierownik działu administracyjnego Zakładowego Domu Kultury przy ZTK „TEOFILÓW” — *było mniejsze zainteresowanie tym co robimy, jesteśmy jak zwykle zawaleni pracą. Może dzieje się tak dlatego, że nastawiliśmy się na organizowanie imprez dla szerokiego kręgu odbiorców, mamy rozbudowaną działalność sportową, prowadzimy dużo zajęć dla dzieci i młodzieży. Przychodzą do nas nie tylko pracownicy zakładu, lecz także wielu mieszkańców dzielnicy, chociaż w pobliżu są jeszcze dwie podobne placówki — klub zakładowy „ELTY” i dom kultury spółdzielni mieszkaniowej „Teofilów”.*

— *Nasz dom kultury* — mówi JÓZEF GAŁECKI — *to nie tylko miejsce prób i występów zespołów artystycznych. Wiele działających w zakładzie organizacji, na przykład LOK czy TPPR, nawiązało z nami współpracę, od jakiegoś czasu ZSMP organizuje u nas prawie wszystkie swoje zebrania. Tutaj jest po prostu inna, bardziej kameralna atmosfera niż w sali konferencyjnej, a po spotkaniu można posiedzieć w kawiarni, porozmawiać ze znajomymi.*

Widać też duże zainteresowanie młodzieży tym, co tu robimy, może dlatego, że nie ograniczamy się do organizowania dyskotek, lecz staramy się wychodzić naprzeciw innym potrzebom młodych. Studium wiedzy o rodzinie dla uczennic szkoły przyzakładowej, klub młodzieżowy „Odyseja 2000”, czy cykl prelekcji „Białe plamy w historii Polski” cieszą się dużą popularnością i uznaniem młodzieży.

Mogę powiedzieć, że w tej chwili jesteśmy mocno związani zarówno z załogą przedsiębiorstwa, jak i ze środowiskiem dzielnicy, w której pracujemy, ale wymagało to oczywiście pewnych starań z naszej strony. Trzeba było nieraz przyciągać ludzi, chodzić do szkół i do zakładu, żeby poszukać chętnych do pracy w zespołach amatorskich. Z chęciami różnie na początku bywa, nieraz można się spotkać ze stwierdzeniem, że „... może i warto byłoby wstąpić do jakiegoś zespołu, ale to i na próby trzeba by chodzić i nogę czasami podnieść”. Musimy więc często zachęcać, aktywizować, ale przecież na tym polega między innymi nasza rola.

Zakładowy dom kultury jest też szansą dla tych, którzy nie mając nawet wielkich ambicji artystycznych chcą spróbować swych sił na scenie, w zespole muzycznym albo wokalnym. Często są nawet dosyć zdolni, ale żeby zrobić pierwszy krok w ruchu amatorskim muszą najpierw popatrzeć na próbach jak ich koledzy z pracy potrafią wyjść na scenę, przełamać tremę, powiedzieć coś wobec widowni.

— *Pamiętam* — opowiada BOGUSŁAW MAKÓWKA — *jak raz kolega miał zagrać bardzo prostą rolę, musiał tylko głowę wychylić zza sceny, głośno powiedzieć „opluć go” i to wszystko. Na próbach, owszem, we właściwym momencie wystawiał głowę i mówił tę swoją kwestię. Na premierze — chodził za kulisami, wiercił się, wreszcie przychodzi kolej na niego, więc wystawia tę głowę, ale tak przestraszony, że dobre pół minuty nie mógł złapać powietrza i w końcu cieniutkim, piskliwym głosem krzyknął „opluć go”. Takiego ryku na widowni nigdy już potem nie słyszałem... ale ten kolega występował z nami dalej, nawet wtedy, gdy pracował już w innym zakładzie i całkiem nieźle mu to później wychodziło.*

Zakładowa estrada, chór czy zespół instrumentalny przyciągają wielu pracowników mają nawet swych entuzjastów, ale to co dla jednych jest atrakcyjnym hobby, dla innych może być solą w oku.

KOMU WADZI DOM KULTURY?

Na początku ubiegłego roku przeprowadzono wśród pracowników ZPB „ESKIMO” anonimową ankietę na temat: *czego załoga oczekuje po domu kultury, co chciałaby w nim znaleźć.*

— *Wtedy już tutaj nie pracowałem* — mówi BOGUSŁAW MAKÓWKA — *ale jak zwykle przychodziłem do domu kultury. Pewnego razu przychodzę, a Andrzej Buczkowski mówi: „zobacz co niektórzy myślą o tym, co robimy” i pokazuje mi wypełnioną ankietę, którą akurat przyniesiono z przędzalni. Biorę, czytam, a tam jest napisane: „A wy dziady, łobuzy, do roboty na produkcję”. Trochę mnie to zaskoczyło, tym bardziej, że znalazło się jeszcze parę takich wypowiedzi — wymyślania, żadnych propozycji zmian, czy nawet konkretnych zarzutów.*

Niektóre ze zlikwidowanych zakładowych placówek kulturalnych — jak np. CENTRUM KULTURY BUDOWLANYCH — przestały całkowicie istnieć. Innymi — „ENERGETYKIEM”, „PRZĄŚNICZKĄ”, „ARIADNĄ” czy „LODEXEM” — zaopiekowały się Dzielnicowe Domy Kultury. Dawne CENTRUM KULTURY WŁÓKNIARZY jest obecnie placówką jednego zakładu, w „DYWILANIE” i „POLANILU” istnieją kluby bez instruktorów.

TRADYCJE I PERSPEKTYWY

Długie są tradycje robotniczej kultury na Widzewie. W obecnym „UNIONTEXIE” działał przed wojną Klub Sportowo-Kulturalny z biblioteką, chórem, sekcjami — teatralną i odczytową, oraz działem sportowym. Dziś również „UNIONTEX” przoduje — jest jedynym przedsiębiorstwem w dzielnicy, które nie przestało finansować swojej placówki kultury. Pozostałymi, które miały mniej szczęścia zaopiekował się Urząd Dzielnicowy i tak powstał DZIELNICOWY DOM KULTURY — WIDZEW, mający swą siedzibę w dawnej „PRZĄŚNICZCE” — byłym Zakładowym Domu Kultury WZPB „1 Maja”.

— *Na Widzewie nie było dzielnicowego domu kultury* — mówi dyrektor WZPB „1 Maja”, ARKADIUSZ CIUPIŃSKI — *a my jesteśmy zbyt małym zakładem, żeby utrzymywać własną placówkę kultury. Decyzję podjęto przed stanem wojennym, wtedy był jeszcze poprzedni dyrektor, a samorząd bardzo naciskał by podjąć takie rozwiązanie. Obecnie objęliśmy patronat nad jednym z zespołów amatorskich działających przy Dzielnicowym Domu Kultury. Za około pięćdziesiąt procent normalnej opłaty wypożyczamy naszą salę widowiskową na imprezy i próby zespołu „Anilana”.*

— *Lepiej byłoby* — mówi dyrektor DDK-Widzew, KRZYSZTOF BAŚ — *gdyby zamiast naszego nadal istniały zakładowe domy kultury. W sumie bowiem tak zwana baza kultury została w dzielnicy poważnie uszczuplona. Przedsiębiorstwa udostępniają nam swe sale, ale to jednak nie to co własny lokal klubu zakładowego. Tamte placówki były finansowane przez cały rok, my zaś, jak na razie, możemy z zakładu otrzymać tylko jednorazową dotację. W takiej formie dostaliśmy pięćdziesiąt tysięcy od WZPB „Pierwszy Maja”, sto pięćdziesiąt od „Anilany”, po dwieście od „Wifamy” i „Ariadny”. Oczywiście jestem zadowolony z ich pomocy, ale trzeba pamiętać, że poprzednio, na działalność swych domów kultury, przedsiębiorstwa te dawały do dwudziestu razy więcej. Myślę, że zakłady, których placówki musieliśmy przejąć mogłyby objąć stały patronat nad Dzielnicowym Domem Kultury. Obecnie byłoby to chyba najlepsze rozwiązanie.*

W ciągu ostatnich dwóch lat zlikwidowano w Łodzi dwadzieścia zakładowych placówek kultury. Być może nastąpiło to po demokratycznych konsultacjach. Czy jednak pod hasłem oszczędzania każdej złotówki w dobie reformy społeczny interes nie został tu rozmieniony na drobne, z których indywidualnie nikt większych korzyści nie osiągnie, a strata zbiorowa może być trudna do odrobienia. Nie każdy musi być entuzjastą zakładowych domów kultury, ale wiadomo też, iż zdarzają się jednostki, które nie poszłyby do żadnej szkoły, gdyby nie przymus nauczania. Domy kultury nie są zresztą przymusem — są tylko ułatwieniem.

JULIAN CIESONIK

Kronika kulturalna

3 MAJA, w salach Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi otwarto wystawę **„Polski strój ludowy”**.

---

5 MAJA, w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. L. Waryńskiego odbędzie się sesja popularnonaukowa, poświęcona twórczości Cypriana Kamila Norwida. W programie sesji m. in. referaty: Mariana Piechala „Norwid — twórca ciągle współczesny”, Jerzego Poradeckiego „Motyw wzlotu i wędrówki poety w twórczości Norwida” i Sławomira Świontka „Komedia świata Norwida”.

---

29 KWIETNIA, w kawiarni ZSMP „Pałacyk” odbył się wieczór autorski **Marka Błaszkowskiego**. Był to kolejny wieczór z cyklu „Spotkanie z młodą poezją”. Marek Błaszkowski jest studentem Wydziału Prawa Uniwersytetu Łódzkiego. Debiutował w styczniu 1983 r. w „Barwach”.

W OPARCIU o rozporządzenie ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki, dnia 10 grudnia 1982 r. w Uniwersytecie Łódzkim powstała grupa literacka, mająca swoją siedzibę w klubie „Zaścianek” W skład grupy wchodzą studenci UŁ. Ma ona charakter otwarty, członkiem jej może zostać każdy student UŁ, który akceptuje program grupy i zobowiązuje się do aktywnego udziału w jej pracach Program grupy można by najogólniej sformułować jako ułatwianie pierwszych prób literackich oraz rozpowszechnianie wśród studentów UŁ poezji i prozy oraz pomoc wszelkiego rodzaju dla młodych twórców. Młodej grupie życzymy powodzenia.

---

15 KWIETNIA, w Miesiącu Pamięci Narodowej, na Radogoszczu otwarto wystawę rysunków obozowych, wykonanych przez więźniów obozów koncentracyjnych, jenieckich oraz rysunków powstałych pod wpływem przeżyć podczas pobytu w tych miejscach martyrologii. Na wystawę złożyły się rysunki ze zbiorów własnych Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi oraz rysunki ze zbiorów Muzeum Martyrologii Jeńców Wojennych w Łambinowicach. Rysunki z Łambinowic są autorstwa Georgija Iwanowicza Daniłowa, więźnia tego obozu, który od momentu wyzwolenia nie znał losów swoich prac. Dopiero w 1964 roku przypadkowo zobaczył fotografie swoich rysunków w czasopiśmie „Polska”. Na wystawie znajdują się także rysunki z Oświęcimia, których autorem jest Szczepan Andrzejewski, z Majdanka — Radosława Nowakowskiego i z Radogoszcza — rysowane przez Teodora Wileńskiego i Albina Łubniewicza.

---

30 WRZEŚNIA, w łódzkiej Hali Sportowej odbył się koncert Zespołu Pieśni i Tańca Uzbeckiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej „Szodlik” Na koncercie artyści z Uzbekistanu zaprezentowali utwory dawne oraz pieśni i tańce kompozytorów radzieckich oraz zagranicznych. Organizatorem koncertu była redakcja „Głosu Robotniczego”.

TEATR Muzyczny przygotowuje kolejną w tym sezonie premierę. Tym razem będzie to musical **J. Bocka** z librettem na motywach opowiadań **Sz. Alejchema** i **J. Steina „Skrzypek na dachu”**. Spektakl reżyseruje, a także współinscenizuje **Maria Fołtyn**, kierownictwo muzyczne sprawuje **Rajmund Ambroziak**.

---

30 KWIETNIA Teatr Powszechny wystąpił z premierą przedstawienia, tym razem dla najmłodszych. Jest to sztuka **Michała Szopy „Uki-Puki”**. Sztukę reżyseruje **Ryszard Zarewicz**, autorem muzyki jest **Bogdan Pawłowski** (autor muzyki do tak popularnych widowisk, jak „Królewna Śnieżka”, „Piotruś Pan”, „Czarodziej”). Dekoracje i kostiumy zaprojektował **Tadeusz Paul**.

W DNIACH 20—23 kwietnia trwał w Łodzi II Ogólnopolski Przegląd Filmów Przyrodniczych. Nagrodę im. W. Puchalskiego zdobył **Jerzy Bezkowski** z Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi za film pt. „Ośmionożni drapieżcy” Wśród 61 konkursowych tytułów nagrody otrzymały następujące filmy:
I nagroda „Świat Włodzimierza Puchalskiego” w reżyserii **Barbary Bartman-Czecz** (WFO), II nagroda — „Półwysep Helski” reż. **Andrzej Mellina** (WFO-Tv), III nagroda „Zaraza ogniowa” reż **Remigiusz Roniker** (WFO). Nagrodę ufundowaną przez Zarząd Główny Ligi Ochrony Przyrody dla najlepszego filmu pokazującego potrzebę ochrony środowiska otrzymał film „Uchronić Żuławy” w reżyserii **Mariana Ussorowskiego** (WF „Czołówka”). Wyróżnienia rektora UŁ przypadły w udziale filmom: „Kultury tkankowe” w reż. **Zygmunta Skoniecznego** (WFO) — za wybitne walory naukowo-poznawcze i „Miasto zawiedzionych nadziei” w reż. **Jerzego Kadena** (WFD) — za propagowanie ochrony naturalnego środowiska człowieka.
Głównymi fundatorami nagród regulaminowych byli: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, Federacja Stowarzyszeń Kulturalnych woj. miejskiego łódzkiego i Towarzystwo Przyjaciół Łodzi.

OGŁOSZONE zostały wyniki konkursu na najlepszy przekład poezji białoruskiej, organizowanego przez Wydawnictwo Łódzkie. Jury rozpatrzyło 24 prace poetów uczestniczących w konsursie zamkniętym i 31 prac autorów zakwalifikowanych do konkursu otwartego.
Jury pod kierunkiem przewodniczącego Tymczasowej Rady PRON i członka Prezydium Zarządu Głównego TPPR, Igora Sikirzyckiego, przyznało nagrody:
I — **Jerzemu Litwiniukowi** oraz trzy równorzędne
II — **Tadeuszowi Chróścielewskiemu, Leopoldowi Lewinowi** i **Wiktorowi Szwedowi**. Natomiast w konkursie otwartym dwie równorzędne nagrody I otrzymali —
Waldemar Sławomir Gajewski i Krzysztof Rozner
oraz wyróżnienia — **Jan Zygmunt Długołęcki** i **Witold Bańkowski**.

Aktorzy:

• „Krytycy nie mieli czasu i ochoty"
• „W tym mieście nikogo to nie obchodzi"
• „A miasto to dziwne"

Co roku z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru przyznawane są nagrody za najwybitniejsze kreacje sezonu na łódzkich scenach dramatycznych i muzycznych oraz nagroda za najlepszy debiut aktorski w plebiscycie „Głosu Robotniczego".

W tym roku „Srebrne Pierścienie" otrzymali:

— ZYGMUNT ZAJĄC — solista-śpiewak Teatru Wielkiego w Łodzi, za kreację Eleazara w „Żydówce" J. F. E. Halevy'ego.

— HANNA BIELUSZKO — aktorka Teatru im. S. Jaracza w Łodzi, za rolę Beniamina w sztuce „Wielkanoc" A. Strindberga,

— LIDIA DUDA — aktorka Teatru im. S. Jaracza w Łodzi, za cztery znaczące role w spektaklach tego teatru, z wyróżnieniem roli Krzeminy w „Zdziczeniu obyczajów pośmiertnych" B. Leśmiana. „ODGŁOSY" rozmawiają z aktorami o ich satysfakcji artystycznej z zagranych i nagrodzonych ról.

„BYŁEM ZA ZASŁONĄ..."

ZYGMUNT ZAJĄC, tenor bohaterski, solista Teatru Wielkiego w Łodzi (od roku 1969). Odtwórca wielu czołowych partii tenorowych w tym teatrze: Don Jose w „Carmen", Radames w „Aidzie", Stefan w „Strasznym dworze", Jontek w „Halce" czy tytułowych w „Otellu", „Don Carlosie", „Tannhauserze" „Trubadurze" czy ostatniej Eleazara w „Żydówce", za którą otrzymał nagrodę „Srebrnego Pierścienia". Jeden z najpiękniejszych głosów tenorowych w Polsce, a w kategorii tenorów bohaterskich ponoć jedyny o takiej sile — blasku i barwie.

— Czy „Srebrny Pierścień" jest pana pierwszą nagrodą za osiągnięcia w pracy artystycznej?

— Pierwszą.

— Gdzie dowiedział się pan o jej przyznaniu?

— Dowiedziałem się o niej po powrocie do Łodzi z miesięcznego pobytu w sanatorium w Dusznikach Zdroju.

— Jaka była reakcja?

— Ogromne zadowolenie i świadomość, że nareszcie zauważono mnie śpiewającego i grającego oraz tak wysoko oceniono mój kilkunastoletni wkład pracy w Teatrze Wielkim w Łodzi.

— Czy na partię Eleazara w „Żydówce" czekał pan całe lata, czy też odkrył ją dla siebie dopiero teraz?

— O zaśpiewaniu w „Żydówce" marzyłem już w początkach mojego kontaktu z operą, nie przypuszczając wtedy, że będę miał okazję wystąpić w tej tak rzadko wystawianej operze. O tym, że powierzono mi w „Żydówce" partię Eleazara zadecydował zbieg okoliczności, układ repertuaru w teatrze i dyrektor Sławomir Pietras, który zasugerował, że powinienem ją śpiewać.

— Recenzenci piszą o panu tak dobrze jak nie pisali już bardzo dawno o żadnym polskim tenorze. Np. Wojciech Dzieduszycki w „Życiu Literackim": „W roli Eleazara Teatr Wielki odkrył przed nami wielkiego tenora — kto wie, czy nie najlepszego tenora bohaterskiego w Polsce — Zygmunta Zająca". Tylko, że pan na to odkrycie czekał wyjątkowo długo?

— Złożyło się na to szereg przyczyn, spośród których wymieniłbym różne układy teatralne, niekorzystne dla mnie, brak zainteresowania mną ze strony prasy, radia i telewizji. Wyjątek stanowiła red. Maria Hoffman z Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia, która w swoich recenzjach radiowych konsekwentnie zauważała mój rozwój artystyczny, poczynając od mojego Otella. W prasie moją sylwetkę artystyczną na łamach „Expressu Ilustrowanego" pokazał po raz pierwszy właśnie pan. Pamiętam, jak Józef Kański powiedział o mnie: „Rośnie nam wspaniały tenor dramatyczny", to miłe, ale ten tenor już umiera. Wracając do nagrodzonej partii Eleazara, nazywam ją swoją normalną pracą artystyczną, która zaowocowała takim wynikiem. Po prostu.

— Zaśpiewał pan około 15 partii pierwszoplanowych w teatrze. Która z nich dała panu największą satysfakcję?

— Ogromną satysfakcję miałem ze śpiewania dwóch tytułowych partii: Otella i Trubadura. Były one w moim typie głosu, leżały w moim temperamencie, mogłem się dzięki nim otworzyć na scenie, bo czułem je całym sobą.

— Przez długi okres czasu nie śpiewał pan premier i może dlatego pozostawał wciąż trochę „anonimowy"?

— Nie śpiewałem może dlatego, że byłem niemodny, może nie sprzyjało mi szczęście, może brakowało życzliwych mi ludzi.

— Kto odkrył pana głos?

— Ucząc się w liceum im. M. Kopernika w Toruniu, jednocześnie uczęszczałem do średniej szkoły muzycznej (klasa śpiewu), już tam zauważono, że mam dobry głos. Po przenosinach do Łodzi, potwierdził tę opinię prof. Grzegorz Orłow, który wyraził o mnie bardzo pochlebną opinię podczas pierwszego przesłuchania i bezinteresownie rozpoczął pracę ze mną. Po jego śmierci konsultowałem się z prof. Tamarą Samuiłło, z którą przygotowywałem repertuar operowy.

— Dziś wiadomo jakim tenorem pan dysponuje, wypada mi teraz postawić pytanie — dlaczego nie zrobił pan wielkiej, światowej kariery?

— Prof. Orłow mówił, że śpiew to wielka loteria, poza samym materiałem głosowym, na powodzenie składa się szereg bardzo istotnych cech: odporność psychiczna, aparycja, muzykalność. To one w sumie tworzą postać śpiewaka. Profilaktycznie skończyłem studia lekarskie w łódzkiej Akademii Medycznej, które absorbowały mnie w dużym stopniu, później była specjalizacja, doktorat praktyka lekarska. W stosunku do siebie zawsze byłem bardzo krytyczny i wydawało mi się, że być może to, co mam, co umiem nie starczy mi na zrobienie czegoś więcej. Ponadto nie miałem żadnego wsparcia, autorytetu, które utwierdziłyby mnie, że jest lepiej niż myślałem. To, co osiągnąłem zawdzięczam uporowi, bezwzględności, upokorzeniom, bo i tego musiałem doświadczyć w tym teatrze. Ostatnio, wszyscy się do mnie przekonali i przełamali w swych różnych sądach. Dziś twierdzą że jestem wielki, a mogło to być znacznie wcześniej. Owszem powierzano mi najtrudniejsze partie, ale nie pokazywano mnie w sposób tak eksponujący jak innych śpiewaków. Byłem za zasłoną. Krytycy nie mieli czasu i ochoty na oglądanie śpiewaków na drugich lub trzecich premierach.

— Będzie pan teraz podwyższał poprzeczkę wokalnych i aktorskich zadań, czy też zadowoli się tym, co osiągnął?

— Śpiewak i lekarz nigdy nie były zawodami doskonałymi, świadomość tego daje mi impuls do stałej pracy nad sobą i dążenie do pokonywania coraz trudniejszych poprzeczek. Wiem o swoich niedoskonałościach, pracuję nad nimi, choć oficjalnie o nich nie mówię.

— Ile wysiłku kosztuje śpiewaka wykonanie tak wielkiej i trudnej partii, jaką jest np. Eleazar z „Żydówki"?

— W przeliczeniu na pracownika fizycznego, jak twierdzą znawcy i ja po sobie zauważam — równa się to wyładunkowi węgla z dwóch wagonów. Np. normalne tętno wynosi 72, przed przedstawieniem dochodzi do 110 uderzeń na minutę, w czasie śpiewu do 120, a po skończeniu spektaklu spada do 60. Ciągła wirówka i stałe odwirowania.

— To dlatego pojechał pan wkrótce po premierze do sanatorium?

— Nie, do sanatorium pojechałem po przebyciu ciężkiej choroby, jeszcze przed premierą „Żydówki". Chorowałem na żółtaczkę zakaźną z bardzo ciężkim przebiegiem. Choroba trwała ponad rok.

— Teraz zapewne czekają na pana radio, TV, nagrania płytowe?

— W radio udzieliłem krótkiego wywiadu, w nowej premierze teatru, „Norma", zaśpiewam partię Polina, ale wejdę do przedstawienia później, bo niedawno zacząłem nad nią pracować. Maria Fołtyn zaprosiła mnie na Festiwal Moniuszkowski do Kudowy. Ale jeżeli chodzi o nagrania radiowe, płytowe, telewizyjne, to do tej pory ich nie posiadam. Brakuje jakiejkolwiek dokumentacji mojej śpiewaczej pracy.

— Ale miłośnicy opery już zaczynają chodzić do teatru na Zygmunta Zająca. To duża odpowiedzialność być gwiazdorem operowym?

— Przede wszystkim jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy. Bo w naszych układach zawodowych, przy naszych zarobkach to jedyna satysfakcja, że nas zauważają, kochają, że sprawiamy publiczności przyjemność. Jak lekarz zajmuje się ludzkim ciałem, tak artysta — głębią duszy.

Zygmunt Zając
Foto: Ch. Zieliński

„MIAŁAM KRYTYCZNE MOMENTY..."

HANNA BIELUSZKO, absolwentka PWST w Krakowie (z 1979 roku), aktorka Teatru im. S. Jaracza w Łodzi (od 1979 roku). Odtwórczyni m. in. takich ról jak: Józek w „Tato, tato, sprawa się rypła", Dziecko w „Grenadierze Królu", Febe w „Jak Wam się podoba", tytułowa „Panna Lili i jej dwaj mężowie", Beniamin w „Wielkanocy", za tę ostatnią rolę aktorka otrzymała „Srebrny Pierścień" — nagrodę za najciekawszą kreację w teatrach dramatycznych.

Mimo młodego wieku i stażu, Bieluszko demonstruje wysoki stopień wtajemniczenia w uprawianej sztuce, a nagrodzona rola chłopca Beniamina w tak aktorskim spektaklu, jakim jest „Wielkanoc", podwaja jej sukces w konfrontacji z rolami innych aktorów.

— Nagroda „Srebrnego Pierścienia", czym przede wszystkim była i jest dla pani?

— Początkowo nie uświadamiałam sobie wagi tej znaczącej w środowisku aktorskim nagrody, ale powiedzieli mi o tym koledzy. Na pewno jest dużym obciążeniem, bo jeżeli np. okazałoby się, że poza nagrodzoną rolą, nic równie dobrego nie zagram, to mogłoby oznaczać, że o moim wyróżnieniu zadecydował przypadek. Jestem więc zobligowana, aby udowodnić sobie, że to nie była pomyłka jury Ponadto ta nagroda jest zauważeniem mojej pracy i w ogóle aktorów w Łodzi, bo czasami wydaje mi się, że to w tym mieście nikogo nie obchodzi.

— W jakich okolicznościach dowiedziała się pani o przyznaniu tej nagrody?

— Jako pierwsza zawiadomiła mnie pani Grażyna Wasilewska z Wydziału Kultury Urzędu Miasta.

— I jaka była pani reakcja?

— Ogromne zaskoczenie. Początkowo nie mogłam skojarzyć o co chodzi, możliwość otrzymania „Srebrnego Pierścienia" w ogóle nie przyszła mi do głowy. Na szczęście pani Wasilewska delikatnie przygotowała mnie na przyjęcie takiej wiadomości.

— Zawsze chciała pani być aktorką?

— O ile dobrze pamiętam, to tak. Do szkoły teatralnej zdawałam dwukrotnie, w Warszawie odpadłam już na pierwszych eliminacjach i postanowiłam, że już nigdy więcej. Pracowałam, zdawałam na teatrologię na Uniwersytecie Poznańskim, po roku studiów zdawałam jednak do krakowskiej PWST. Zdałam.

— Tym razem bez kontrowersji na temat pani talentu?

— Komisji wydawało się, że mam jedno oko większe i wymyśliła jako dodatkowe zadanie wygłoszenie w sposób intymny tekstu skierowanego do rektora uczelni, którego to wprawiło w małe zakłopotanie. Ale w ten sposób obejrzano mnie z bliska.

— Kto kształtował pani aktorskie oblicze?

— Przede wszystkim prof. Jerzy Goliński, człowiek o niesamowitej osobowości, uczący studentów patrzenia na życie, odczuwania, uświadomienia sobie tego, co w nas tkwi. Wrzucał nas od razu na głęboką wodę, ucząc jak prowadzić rolę przez całą sztukę, a nie grać małymi scenkami, wszystko poprzez samodzielne dochodzenie do postaci. Nauczył mnie samodzielności w pracy.

Hanna Bieluszko
Foto: Witold Górka

— Obecnie to oblicze kształtuje nie tylko teatr, bo gra pani w filmie, TV. Z jakimi doświadczeniami do tej pory?

— Bardzo lubię grać w filmie i TV, do tej pory miałam różne w nim zadania. I tak w „Próbie ciśnienia", „Nocy czerwcowej", „Nauce latania", „Zielonej miłości", „Księciu", „Lekarzach", ostatnio w serialu TV „Życie Kamila Kuranta". Obecnie przygotowuję się do dużej roli o interesującym materiale aktorskim w filmie TV „Psychoterapia".

— Mówi się o pani, że w zawodzie ma szczęście, czy tylko?

— Szczęściem nazywam to, że pracuję w Teatrze im. S. Jaracza, że gram dużo i zróżnicowane role, pracuję z ciekawymi ludźmi. Wiem, że wiele moich koleżanek, które na studiach miały lepsze stopnie nic nie gra w teatrach a w tym zawodzie, szczególnie kobiety nie mogą czekać. Ale na szczęście nie można przewidzieć jak dalej będzie to przebiegało. Po nagrodzie moje samopoczucie poprawiło się, bo miałam momenty krytyczne jak każdy.

— Teraz odniosła pani sukces!

— Sukces tkwi w istocie tego zawodu, każdy z nas na to pracuje. Sukces jest ukoronowaniem tej pracy. Co wyniknie praktycznie z przyznanej nagrody? Nie wiem. Na razie jestem bardzo zajęta do końca sezonu.

— Młody aktor na początku potrzebuje przede wszystkim mądrej opieki. Pani ją znalazła, u kogo?

— Główną zasługę w tej opiece ponosi dyr. Bogdan Hussakowski, który wymyślił, że to właśnie ja będę grała Beniamina w reżyserowanej przez niego „Wielkanocy". Pracowałam z nim przy 5 sztukach, co też jest istotne, bo reżyserzy w teatrach często się zmieniają, zanim poznają aktora.

— Jak narodził się Beniamin?

— Byłam zła, gdy dowiedziałam się, że mam grać trzeciego chłopca. Reżyser zaufał mi, dał wolną drogę w budowaniu postaci, np. w pierwszej wersji miałam grać bezczelnego smarkacza, ale później interpretacja poszła w przeciwną stronę. Szalenie pomógł mi kostium atmosfera jaka towarzyszyła próbom i kolejnym spektaklom. Granie tej roli zawsze kosztuje mnie wiele wysiłku psychicznego i fizycznego. Trzeba grać całą sobą.

— Lubi pani uciekać od siebie, od własnych, dość specyficznych warunków psychofizycznych?

— Tak, przykładem rola wspomnianego Beniamina, Józka w „Tato, tato, sprawa się rypła", czy pięknej hrabiny Eweliny w telewizyjnej „Nocy czerwcowej".

— A kiedy jest pani zmęczona i chce uciec od teatru, aktorstwa?

— Nie mam takich możliwości. Cały czas przebywam w teatrze, mieszkam w domu aktora, a wszystkie rozmowy poza teatrem skupiają się... wokół teatru.

„DAĆ Z SIEBIE JAK NAJWIĘCEJ.."

LIDIA DUDA, absolwentka PWST w Krakowie z 1981 roku, aktorka Teatru im. S. Jaracza w Łodzi (od 1981 roku). Grała na tej scenie: Muzę w „Historii, czyli tu wcale nie chodzi o Mozarta", Kathlen w „Jednorożcu z gwiazd", tytułowego „Króla Maciusia I", Krzeminę w „Zdziczeniu obyczajów pośmiertnych". Nagrodzona w szkole teatralnej za najlepszy dyplom. W Łodzi nagroda w plebiscycie „Głosu Robotniczego" na najlepszy debiut. Interesująca osobowość i możliwości aktorskie wcale nie zsynchronizowane z nią, raczej nieodgadnione gdzie się kończą...

Lidia Duda
Foto: Witold Górka

— Czym dla młodej, wchodzącej dopiero w zawód aktorki jest tak wyróżniająca ją nagroda jak „Nagroda aktorska GR za najlepszy debiut"?

— Jest szalonym dopingiem do dalszej pracy i mobilizacją. Sztuka aktorska jest tak ulotna, a nagroda jest zauważeniem naszej pracy, jej docenieniem, daje poczucie wartości, że to co robię zostaje w ludzkiej pamięci.

— Gdzie dowiedziała się pani o jej przyznaniu?

— Zawiadomiła mnie o niej red. Małgorzata Karbowiak z „Głosu Robotniczego", później telefonowali koledzy z teatru.

— I jaka była pani reakcja?

— Ogromne zaskoczenie. Później silny zastrzyk radości.

— Koleżanki i koledzy z teatru też pewnie o niej myśleli?

— Wśród młodych aktorów w Teatrze im. S. Jaracza panuje zdrowa atmosfera, a składane mi gratulacje były szczere.

— Jak ważna dla młodej aktorki jest atmosfera pracy w teatrze?

— Bardzo ważna, bo nasza właściwa praca zaczyna się przecież w teatrze. Abym mogła uwierzyć we własne siły, otworzyć się, obnażyć, sprzedać najintymniejsze uczucia, muszę mieć ku temu sprzyjającą atmosferę. Mogę wtedy pokonać siebie.

— Jak czuje się krakowianka w Łodzi?

— Na początku bardzo źle, bo właściwie przedtem nigdy z Krakowa nie wyjeżdżałam. W Łodzi poznałam pierwszą pracę, nowe środowisko, nowe miasto. A miasto to dziwne, ludzie — widownia, inni niż w Krakowie, trudniejsi do przyciągnięcia w sprawy dziejące się na scenie. Musiałam się tu jakoś poczuć, znaleźć. Ponieważ bardzo dużo pracuję, nie odczuwam tego aż tak bardzo jak na początku.

— Otrzymała pani nagrodę za cały swój dwuszczonowy dorobek aktorski, ze szczególnym uwzględnieniem roli Krzeminy w „Zdziczeniu obyczajów pośmiertnych". I jak sama ocenia pani swoje zadania sceniczne?

— Krzemina była najtrudniejszym z moich dotychczasowych zadań. Do tej pracy podeszłam z ogromnym sercem, zresztą bardzo lubię poezję Bolesława Leśmiana. Początkowo wydawało mi się, że niemożliwym do zagrania jest byle życie i refleksje o nim. W końcu poczułam Krzeminę blisko mnie. Kathlen w „Jednorożcu z gwiazd" była moją pierwszą rolą w teatrze, wiele się nauczyłam, szczególnie pomógł mi reżyser Andrzej Maj. Rola Maciusia w bajce dla dzieci też była trudna. Dwie godziny na scenie i wielka trema jak przyjmą mnie dziecięcy widzowie. Wszystkie smutki rozproszyły się, gdy spotkałam się z ich reakcjami, które często mnie wzruszają.

— Co czeka panią teraz?

— Pracuję nad rolą Wandy w „Oziminie" Berenta, zagram jedną z głównych ról w operetce „Micado".

— Co wieczór może pani być kimś innym, a jaka pani jest poza teatrem?

— Zawsze pozostaję sobą. W każdym z nas jest mnogość różnych cech, często przeciwstawnych. Jestem osobą spokojną, ale noszę też w sobie drapieżność i lubię role charakterystyczne i ostre.

— Doświadczenia z życia codziennego przenosi pani na scenę?

— Tak, czerpię z życia, dużo podróżuję, spotykam różnych ludzi, jestem bacznym obserwatorem. Uczę się poprzez te obserwacje, rozmowy, wzbogacam...

— A czego uczy się pani w teatrze?

— Pokory. Zawsze startuję od zera, rozpoczynając pracę nad nową rolą.

— „Wszystko jest jeszcze przede mną", powiedziała pani w wywiadzie dla „GR", a uzupełniając dla „Odgłosów"?

— Chciałabym jak najwięcej dać z siebie, zarówno rzetelną, uczciwą pracą, jak i takim samym życiem.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Polemiki • Poglądy • Opinie • Listy

Grabarze własnego sumienia

Są sprawy, których, niestety, nie można pominąć milczeniem, przymrużeniem oka, wzruszeniem ramion. Dotyczą one głównie ludzkiego nieszczęścia, rodzinnej tragedii po utracie najbliższego członka rodziny, krewnego, znajomego. Człowieka, który opuścił nas na zawsze.

Rodzina jest jakby pogrążona w transie. Stara się jak może załatwić wszelkie formalności, związane z pogrzebem w przeciągu zaledwie kilku dni, w zależności od zaistniałej sytuacji. Na tę okazję czyhają ludzie — hieny, żerujące tam wszędzie, gdzie tylko się uda uzyskać pewien haracz, związany z drobnymi nieraz usługami, daleko odbiegającymi od powszechnie przyjętych świadczeń.

Za wykonywanie formalności związanych z pogrzebem zmarłego członka rodziny — żądają wprost w sposób nachalny astronomicznych sum, pogłębiających jeszcze bardziej rodzinę zmarłego w danej chwili. Nie liczą się, czy stać ich na to.

W zależności od wierzeń religijnych zmarłego, jego ostatniej woli, przyjętych obyczajów, zajmowanego stanowiska w hierarchii państwowej, społecznej, sam pogrzeb odbywa się mniej lub więcej okazały. To może jedynie odróżniać zwykłego, szarego człowieka, od bardziej zamożnego. Jedni zawczasu kupują place na cmentarzu, stawiają grobowce. Inni, mniej zamożni, są chowani w kwaterach, gdzie jeszcze znajdują się wolne miejsca. Jedni i drudzy przechodzą tę samą ostatnią drogę na cmentarz, aby spocząć na zawsze we wspólnej ziemi. Ziemi, na której się urodzili, wychowali, spędzili dzieciństwo, młodość i starość. Są równi wobec siebie.

Pozostają ludzie żyjący, borykający się z własnymi, zwyczajnymi, przyziemnymi sprawami na co dzień. Wśród nich są tacy, którzy na ludzkim nieszczęściu starają się budować własne szczęście. Grzebią osobowość uczciwego człowieka, zagłuszają sumienie, odczucie, w pogoni za pieniądzem, szybkim wzbogaceniem się, nawet za cenę własnej postawy moralnej, obyczajowej.

Czym właściwie jest sumienie? Dla jednych staje się ono pojęciem abstrakcyjnym, nie znaczącym absolutnie nic lub prawie nic. Dla drugich — znaczy wszystko, co jest związane z ludzkim życiem. Kierują się nim przez całe swoje doczesne życie. Nie są to przypadki rzadko występujące w naszym społeczeństwie.

Stanowczo za mało poświęcamy uwagi tym jakże nabrzmiałym problemom w dobie powszechnego kryzysu, w jakimś stopniu — moralnego również. Trzeba i należy zawsze i wszędzie ujawniać, napiętnować powyższe sprawy, nie możemy pobłażać tym ludziom bez względu na to, jakie piastują stanowiska w różnych dziedzinach naszego życia społecznego, gospodarczego, a także politycznego. Niektórzy z nas zamknęli się w sobie, bezradnie opuścili ręce, poddając się złym nawykom, zwyczajom panującym od dawien dawna.

Walka z powszechnie rozrastającą się patologią życia społecznego nie jest walką łatwą ani prostą. Różne są tego powody, przyczyny, chociaż skutki prowadzą w zasadzie do jednego celu: wzbogacenia się możliwie szybko, najtańszym kosztem, bodaj po trupach. Jakże obrzydliwe, wprost odrażające poczynania niektórych osób w dobie ludzkiej cywilizacji, kultury, obyczajów.

O wiele łatwiej zburzyć stare rudery, na ich miejsce wybudować nowe bloki mieszkalne, niż zmienić ludzką mentalność, nawyki.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

Sprawa: notatka prasowa

W odpowiedzi na notatkę prasową p.t. „Przerwa na posiłek" zamieszczoną dnia 19.02.1983 r. w „Odgłosach", Wojewódzki Urząd Poczty w Łodzi wyjaśnia:

W celu zapewnienia mieszkańcom naszego miasta terminowego doręczania przesyłek, została wprowadzona z dniem 1.01.1983 r. praca służby doręczeń w wolne soboty.

Na skutek zwiększonego zapotrzebowania na usługi pocztowe, w wolne soboty czynnych jest 7 urzędów p.t. w godzinach 8—15, w pełnym zakresie usług. (Zgodnie z wytycznymi ministra łączności z dnia 14.01.1983 r. w sprawie czasu pracy i zasad wprowadzania dodatkowych dni wolnych od pracy w PPTiT w 1983 r.).

W związku z powyższym urzędy p.t. pełniące dyżur w wolne soboty czynne są w poniedziałki po wolnych sobotach w godzinach popołudniowych. O pracy urzędów oddawczych w wolne soboty i poniedziałki po wolnych sobotach informują wywieszki, na których podane są również adresy i godziny pracy najbliższych urzędów p.t.

Ponadto informacja o pracy placówek p.t. w wolne soboty i poniedziałki po wolnych sobotach zamieszczana jest w łódzkiej prasie („Głos Robotniczy" i „Dziennik Łódzki").

Wobec powyższego klienci nie powinni mieć w chwili obecnej większych kłopotów w korzystaniu z naszych usług.

Niemniej jednak Kierownictwo Wojewódzkiego Urzędu Poczty czyni starania o zapewnienie pełnej obsady etatowej placówek p.t., która pozwoliłaby na uruchomienie w dyżurujących w wolne soboty placówkach p.t. pracy dwuzmianowej również w poniedziałki.

Z-ca dyrektora
Wojewódzkiego Urzędu Poczty
K. SĘCZEK

Zawał w obronie własnej

Czytając reportaż Andrzeja Makowieckiego pt. „Zawał w obronie własnej", zamieszczony w nr 9 „Odgłosów" z 26.02.1983 r., ktoś nie znający bliżej sprawy mógłby sobie wyrobić pogląd, że w kraju panuje bezprawie, a władza na bazie tego, jako strona silniejsza, stosuje nacisk i terror w stosunku do uczciwego obywatela PRL.

Jako przykład opisał „nieszczęśliwą" rodzinę ob. K. Plocka, zamieszkałą w Łodzi, ul. Babickiego 8 m. 76 (dom przy ul. Hufcowej 23 ob. K. Plocek zajmuje jako dziki lokator), którego „gehenna" trwa od wywłaszczenia go z gospodarstwa rolnego pod budownictwo mieszkaniowe na Retkini. Jako czyn niegodny poczytuje A. Makowiecki żądanie władz miejskich, by ob. K. Plocek opuścił były własny domek jednorodzinny przy ul. Hufcowej 23, że grożą mu eksmisją, że to powoduje w jego rodzinie zawały serca. Na domiar złego do jego „nieszczęść" zostały w artykule wymienione członkinie Komitetu Osiedlowego ponoć przykładające ręce, by mu zaszkodzić.

Nasza działalność w tym przedmiocie została uznana za wyjątkowo niehumanitarną i niesprawiedliwą, skoro umieszczono nazwiska przedstawicieli Samorządu Mieszkańców do publicznej wiadomości. Gorzej, że nie podano na czym mogłaby ta nieludzka nasza działalność polegać?

Jeżeli się kogoś oskarża, to chyba należy podać o co, czyżby ta generalna zasada nie była znana A. Makowieckiemu? Czy trudno było zwrócić się do Komitetu Osiedlowego o przynajmniej krótkie wyjaśnienie w tej sprawie.

Nasz pogląd na sprawę państwa Plocków jest poglądem całego kolektywu Komitetu, gdyż wspomniane panie nie działają w oderwaniu. Faktem natomiast niezaprzeczalnym jest, że „konflikt" ob. Plocka z władzami miasta zrodził się w połowie 1979 r., a Komitet Osiedlowy powstał w roku 1981, nie mógł więc przyczynić się do niego na niekorzyść rzekomo pokrzywdzonej rodziny, a gdyby nawet istniał w tym czasie, to nie ma on żadnego wpływu na decyzję władz administracyjnych miasta w przytoczonej sprawie. Komitet Osiedlowy wyraża jedynie swoją opinię w sprawie w oparciu o odgłosy i życzenia mieszkańców (członków spółdzielni). W świetle przytoczonych wyjaśnień nie poczuwamy się do żadnej winy, a postawienie nas wśród ciemiężycieli rodziny Plocków uważamy za krzywdzące, tym bardziej, że publicznie zostało zniesławione nasze dobre imię.

Dziwi nas też, jak A. Makowiecki, oglądając państwowy dom przy ul. Hufcowej 23, stwierdził, że jest on piętrowy i malowany, skoro jest parterowy i nie malowany. Czyżby ta „mnogość" jadła w kryzysie oraz koniak, który by się znalazł, a którego A. Makowiecki nie pija, tak podziałały?

Teraz nieco faktów:

1. Państwo Plockowie za wywłaszczoną nieruchomość rolną wraz z budynkami otrzymali od Skarbu Państwa stosowne odszkodowanie ca 600.000 zł (jak podają). Czy to dużo, czy mało, ocena nie do nas należy.

2. Według wyrysu z mapy ewidencji gruntów działki przy ul. Hufcowej 23 miały kl. III a, b; IV a i V — w artykule podano kl. II i III — i wynosiły 12.565 m kw. plus 1.128 m kw. terenu zabudowań, łącznie 13.693 m kw., a nie jak podano w reportażu 4 ha, tj. 40.000 m kw.

3. Na podstawie decyzji o wywłaszczeniu i odszkodowaniu z 7.08.1979 r. posesja przy ul. Hufcowej jest własnością Skarbu Państwa, a nie p. Plocków (protokół zdawczo-odbiorczy z 29.08.1979 r.).

4. Ob. K. Plocek wraz z żoną i dwojgiem dzieci został skierowany do zasiedlenia w zasobach S-pni „Polesie" przez Wydział Spraw Lokalowych Urzędu Miasta Łodzi (wykaz 9/4 z 1979 r.) w ramach wyburzeń inwestycyjnych. Do wspólnego mieszkania zostały zgłoszone wszystkie wymienione 4 osoby, tzn. p. K. Plocek, żona L. Plocek, niezamężne córki — Mariola i Beata. Ob. K. Plocek uzyskał 19.11.1979 r. wstępny przydział mieszkania w strukturze M-4 (3 pokoje z kuchnią) przy ul. Babickiego 8 m. 76 (ok. 100 m od budynku przy ul. Hufcowej 23) i 4.12.1979 r. przedłożył w S-pni „Polesie" zaświadczenie nr III-I-8185/1164/79 z 3.12.1979, wystawione przez Urząd Dzielnicowy Łódź—Polesie, Wydział Spraw Lokalowych informujące, iż zdał zajmowane dotychczas mieszkanie przy ul. Hufcowej 23. Na tej podstawie wystawiona została decyzja o przydziale mieszkania na nazwisko p. L. Plocek, p. K. Plocek i niezamężne córki — Mariolę i Beatę, którą pobrano w dniu 4.12.1979 r. Wyżej wymienione 4 osoby posiadają spółdzielcze prawo do lokalu przy ul. Babickiego 8 m. 76 przyznane przez Zarząd Sp-ni „Polesie" na podstawie skierowania Urzędu Miasta Łodzi i obowiązane są wspólnie zamieszkiwać w przydzielonym lokalu.

Pozostaje wobec tego pytanie, jaką drogą uzyskali pp. Plockowie z Urzędu Dzielnicowego zaświadczenie, że dotychczas zajmowane mieszkanie (domek) przekazali komu należy? Na postawione pytanie może być tylko jedna odpowiedź: drogą nieuczciwą, sprzeczną z przepisami prawa, drogą tzw. cwaniactwa.

Czy w świetle przytoczonych faktów uzasadniony jest reportaż opatrzony szumnie tytułem „Zawał w obronie własnej"? Czy można popierać cwaniactwo kogoś, kto łamie przepisy prawa lokalowego i prawa spółdzielczego? Domek, którego tak dzielnie broni p. Plocek od 1979 r. stanowi własność Skarbu Państwa, użytkowany jest przez niego (jako dzikiego lokatora) bezprawnie już czwarty rok. Czy płaci czynsz za użytkowanie? — a to jest niebagatelna rzecz, to dało mu korzyść kilkudziesięciu tysięcy złotych. Tak wygląda druga strona medalu, o której zapomniał Andrzej Makowiecki.

Przewodniczący Komitetu Osiedlowego
Retkinia Śródmieście
IRENA KIERZKOWSKA
Łódź, dnia 6.04.1983 r.

Na express, czy na „wydrę"

Rzemiosło. Usługi dla ludności. O tych sprawach dużo się mówi i pisze w ostatnim okresie. Nic dziwnego, bowiem spotykamy się z powyższym problemem na co dzień. Staje się on jednym z ważkich czynników wychodzenia z obecnego kryzysu. A jak to widzą, odczuwają potencjalni klienci prywatnych, spółdzielczych zakładów specjalistycznych rzemiosła, warsztatów naprawczych?

Mój sąsiad po okresie zimowym chciał uruchomić samochód. W porę spostrzegł, że nie ma hamulca nożnego. Z duszą na ramieniu objechał w pobliżu swego miejsca zamieszkania aż pięć zakładów naprawy samochodów i mógł odpowietrzyć hamulce dopiero 10 km za miastem. Stracił trzy godziny, przejechał 40 km, uzyskując w końcu tak drobną usługę. A to tylko dlatego, że drobną. Większość fachowców nie chce się imać roboty, gdzie może zarobić 100—300 zł. Taka drobna usługa, zdaniem fachowców, staje się nieopłacalna, zajmuje sporo czasu, zachodu. Klienci są odsyłani, byle dalej od siebie. Motywacje są różne, a to brak czasu, większej liczby pracowników, ograniczona specjalizacja.

Istnieje jeszcze inna grupa fachowców od naprawy. Ci przyjmują bodaj najdrobniejsze naprawy wyspecjalizowanego sprzętu, jak: zegarki, kalkulatory, magnetofony, maszyny do pisania, stosunkowo za niską opłatą na poczekaniu, od ręki. W tej grupie zdarzają się również nieuczciwi usługodawcy traktując całą tę troskliwość o klienta, jako swego rodzaju „przynętę", zdobycie zaufania do firmy. Oczekuje się cierpliwie na nieco większą okazję, aby następnie „oskubać" stałego już klienta. Nie każdy klient zna się na skomplikowanej naprawie przedmiotów, będących w jego użytkowaniu. Nie musi się znać. Od tego są fachowcy, rzemieślnicy. Mniej więcej jednak się orientuje, ile może kosztować taka czy inna naprawa, zgodnie z jego odczuciem.

Jeżeli zaistnieją poważne różnice — zaczyna się buntować, traktować całą sprawę jako nabijanie w butelkę klienta. Wprawdzie może odwołać się do rzeczoznawców, zażądać przeprowadzenia ekspertyzy, lecz taki fachowiec potrafi wystawić odpowiednią specyfikację, zabezpieczając się na ewentualność przykrych dla niego następstw.

Taką właśnie specyfikację otrzymałem. Dowiedziałem się z niej rzeczy wprost nieprawdopodobnych. Specyfikacja nr 1/81, wystawiona za naprawę maszyny do pisania, opiewa na łączną sumę 880 zł, w tym za robociznę 528 zł, ekspres — 50 proc. czyni 264 zł. Części zamienne — 88 zł. Razem — 880 zł.

Na pierwszy rzut oka niby wszystko w porządku, gdyby nie pewne zasadnicze rozbieżności między zleceniem klienta, a wystawioną specyfikacją. W zasadzie cała sprawa zaczęła się od wypadnięcia sprężynki, uniemożliwiając działanie odstępnika. Nie mogąc sam założyć tej sprężynki, udałem się do warsztatu naprawy i wówczas dowiedziałem się o rzekomym skrzywieniu blaszki, którą trzeba było wyprostować. Nie podejrzewając niczego złego, pozostawiłem maszynę wraz ze sprężynką godząc się na odbiór w późniejszym terminie. Nie było wówczas w ogóle mowy o żadnym zleceniu na ekspres, co zresztą nie było również uwidocznione w otrzymanym zleceniu (oryginał) z adnotacją: „Łucznik" walizkowy maszyna spadła" Koszt naprawy ustalono na sumę — po naprawie. Nic też dziwnego, że byłem zaskoczony, zdziwiony otrzymaniem specyfikacji na czynności, nie zlecane przeze mnie.

Niestety, żadne moje wyjaśnienia nie odniosły pożądanego skutku. Musiałem uiścić wspomnianą należność; za co właściwie, sam tego nie jestem w stanie zrozumieć do dnia dzisiejszego.

Jeżeli podaję do wiadomości publicznej powyższe zdarzenie, to jedynie dlatego, aby odsłonić niektóre kulisy panujących zwyczajów, metod, nie zawsze zgodnych z uczciwością wykonywanych usług na rzecz klienta. Stracić go nietrudno, gorzej pozyskać.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

Jeszcze raz „Szał"

Kierownik artystyczny „Rezerwatu" — Jarosław Kawecki poddaje w wątpliwość prawdziwość relacji z koncertu, jaki odbył się w Hali Sportowej, 18 marca 1983 roku. Jarosław Kawecki poczuł się dotknięty, że autor reportażu pominął z „imienia i nazwiska" występ poprzednika „Perfectu" — zespół „Rezerwat".

Istotnie, w reportażu „Szał" nie sugeruję nawet, że taki zespół występował, ponadto wskutek pomyłki można domniemywać, że piosenkę „Paryż" śpiewał „Perfect". J. Kawecki sprawę prostuje, ja natomiast czuję się w obowiązku przeprosić Czytelników i zespół „Rezerwat" za nie zamierzone pominięcie ich występu.

Reportaż „Szał" nie był recenzją z koncertu, ani też próbą oceny występujących zespołów, li tylko relacją z koncertowej atmosfery. „Bohaterem" tej relacji nie był ani zespół „Perfect" ani „Rezerwat", tylko publiczność. W związku z tym istotą sprawy były reakcje i zachowanie publiczności.

Koncerty współczesnej muzyki rockowej przestały być nagle li tylko muzyką, a stały się zjawiskiem społecznym. Atmosferą, jaka na nich panuje, zaczęli się zajmować psychologowie, socjologowie i dziennikarze. Interesuje ona reporterów zajmujących się problematyką społeczną. Ich wszystkich bardziej interesuje publiczność niż estrada.

Życzę zespołowi „Rezerwat" samych sukcesów i jeszcze raz serdecznie przepraszam za pominięcie w relacji z koncertu.

JACEK BINKOWSKI

OD REDAKCJI: To, że dziennikarzy bardziej interesuje atmosfera od estrady nie zwalnia ich od rzetelnej obserwacji i relacji.

Jak powstawały „Bałuty nowe"?

Nie mając śmiałości stawać w szranki z historykami, tym bardziej ze znawcami łódzkiej przeszłości — ośmielam się jednak zrelacjonować, jak to w drugiej połowie dziewiętnastego wieku działaniami prawnymi, w imieniu Aleksandra II, Cesarza Wszech-Rosji, Króla Polskiego etc., etc., etc. doszło do powstania Osady Fabrycznej „Bałuty Nowe", poza granicami miasta Łodzi, miasta Zgierza.

We wsi Łagiewniki, w domu nr 4, 22 października (trzeciego listopada) 1857 roku Kajetan Szczawiński, rejent Kancelarii Okręgu Zgierskiego w Mieście Łodzi, zamieszkały tamże pod numerem 429, przyjął w obecności świadków — A. Górskiego i I. Tyrka następujące oświadczenie woli od: 1. — Macieja Jarmolińskiego, działającego w imieniu Augusta Zawiszy, dziedzica dóbr Sobota i Łagiewniki, oraz 2. — Starozakonnych — Icka Bławat i Icka Birenzweig, kupców z m. Łodzi:

1. „Maciej Jarmoliński, imieniem Augusta Zawiszy, do którego dobra Bałuty należą, przeznacza z dóbr tych... czy to w gruntach ornych lub łąkach... i w lesie Żubardź... poczynając od granic miasta Łodzi między kolonią Żubardź, granicami dóbr Radogoszcz — tyle, ile potrzeba będzie na mórg czterysta ośm, do założenia Osady Fabrycznej... z tego mórg 72 w różnych częściach oddaje się... starozakonnym z obowiązkiem, iż pozostałe mórg 336 podejmują się wymienieni skolonizować prawem wieczysto-dzierżawnym...".

* * *

Z innych dokumentów wynika, że August Zawisza Czarny (jak sądzę — przydomek ten sobie dodał) — otrzymał dobra Łagiewniki i tereny nazwane później „Bałutami" w spadku po swojej matce Marii, z domu Karnkowskiej.

Ustalone z akt imię jego ojca brzmi: Cyprian. Jako miejsce zamieszkania wymienia się do roku 1885 — Sobotę w pow. łowickim, zaś później — (dokumenty z 1886 r.) — Warszawę, Al. Ujazdowskie nr 33.

2. „W possesyą naturalną odbiorą Nowe Bałuty pod swoją administrację Icek Bławat i Icek Birenzweig w czerwcu 1858 roku... zaś do dnia dzisiejszego, wolno im nadawać i wydzielać place do budowli i na ogrody, wg. ich upodobania — prócz miejsc zasianych...
3. Czynsz z każdej morgi wynosi rocznie złotych siedemnaście, czyli rubli srebrem — dwa i kopiejek pięćdziesiąt pięć...".

* * *

Dalej ustanawia się szczegółowe warunki działania mieszkańców, sposób zbierania czynszu, zobowiązania podatkowe itp.

Dla utrzymania porządku w Osadzie — dziedzic ustanowił wójta, jak również postarał się o pozwolenie odbywania targów, jarmarków — słowem — o prawa miejskie!

Propinacja w tej Osadzie wyłącznie należy do dziedzica, jednakże dozwala się mieszkańcom sprowadzać miód, piwa bawarskie i angielskie oraz wszelkie krajowe za odpowiednią odpłatnością (na rzecz dziedzica). Można także wypiekać chleb i bułki oraz prowadzić handel wszelkimi wiktuałami i rękodziełami — za zezwoleniem rządu.

Dla zachęcenia kapitalistów do przeniesienia się do Osady — w rynku nie wolno stawiać innych domów jak tylko massiw murowane. Rynek i ulice mają być wybrukowane, w środku rynku dziedzic wystawi jedną studnię z pompą. Mniej domów w tej Osadzie nad sto trzydzieści sześć być nie może.

Dalsze postanowienia — to zastrzeżenie korzystania wyłącznie przez dziedzica z kopalin (wapno, margiel, wszelkie minerały i węgiel kamienny, jeśliby tam wykryły się). Zabroniono zakładać cegielnie lecz wolno stawiać wiatraki. Również ustanowiono, że oprócz wspomnianych 408 mórg — dziedzic wyznaczy mórg sześć na ogród spacerowy...

* * *

Zapewniając, iż wszystkie przytoczone (z zachowaniem niekiedy pisowni i składni) informacje pochodzą z posiadanych przez niżej podpisanego dokumentów — podaję jednocześnie, że między Augustem Zawiszą Czarnym a dzierżawcami doszło do sporów na temat prawidłowości wymierzenia gruntów.

Sąd Piotrkowskiej, a później Warszawskiej Guberni niemało trudził się, aby obszar pomierzył właściwy jeometra...

* * *

Ale to już zupełnie inna historia. Ważne, że Osada Fabryczna „Bałuty Nowe" powstała...

WITOLD AFELT

W kręgu fantastyki

STAN CLUB

ACINDAS MONDES

Itinerarium Anonima z Terry

W rezultacie licznych moich zabiegów oraz znajomych autorytetów ze świata nauki, otrzymałem zezwolenie na pobyt i studiowanie dokumentów dotyczących najstarszej przeszłości naszej cywilizacji. Siedzę teraz wygodnie w idealnie dopasowanym do ciała fotelu w jednym z pomieszczeń Instytutu Historii Cywilizacji. Niezbyt jaskrawe światło padało na rząd półek i pojemników, w których znajdowały się nadgryzione przez ząb czasu zabytki piśmiennictwa z początków tzw. Wielkiej Ery. Powietrze pomieszczenia mimo starannej wentylacji przesycone było zapachem trudnym do określenia. Mieszała się ze sobą woń butwiejących substancji organicznych i wietrzejących polimerów, a nozdrza drażnił kurz, który delikatną warstwą pokrywał szacowne inkunabuły. Wystarczyło lekko dmuchnąć, aby wirujące drobiny uniosły się wywołując to nieprzyjemne łaskotanie zmuszające każdego do głośnego kichnięcia. Tu w obliczu historii, wobec wokół panującej ciszy byłoby to naruszeniem odwiecznego spokoju, w jakim pogrążone były te pomieszczenia.

Okres, którym się zajmowałem obejmował koniec Wczesnej Ery Kosmicznej i początek wieków średnich tzw. Middle Age, faza I i II. Ocalało niewiele zabytków kultury materialnej z tamtych czasów, a jeszcze mniej zabytków piśmiennictwa. Instytut chlubił się posiadaniem najbogatszych zbiorów piśmiennictwa Wczesnej i Średniej Ery Kosmicznej. Wyraz najbogatszych należałoby umieścić w cudzysłowie, bowiem na podstawie tych kilkunastu manuskryptów i starodruków, którym udało się przetrwać do naszych czasów, nie można w pełni zrekonstruować tamtej epoki. Najstarszy zabytek znajdujący się w zbiorach Instytutu zakatalogowany jako starodruk A/125/980, datowany na okres Ery Prekosmicznej zachował się tylko we fragmentach i to w wielu miejscach nieczytelnych. Obejmował on alfabetycznie uporządkowany ciąg nazw własnych oraz system zakodowanych cyfr. Starodruk ten znany pod inną nazwą, jako Telephone Book z Terry, oddał nieocenione usługi badaczom starożytności, którzy na podstawie tego zabytku zrekonstruowali alfabet i język zaginionej cywilizacji. Najbardziej wzięta hipoteza głosi, że Telephone Book jest alfabetycznym spisem władców imperium Terry oraz okresów ich panowania. W świetle najnowszych badań hipoteza ta wydaje się mało przekonywająca. Obecnie nie ulega wątpliwości, że starodruk ten jest spisem obywateli jednego z grodów Terry sporządzonym dla celów administracyjnych.

Poważna część zbiorów zapisana jest w języku, którego alfabet nie został dokładnie rozszyfrowany, w związku z czym trudno jest mówić o rzetelnej interpretacji tekstu. Przykładem może być starodruk C/187/79 datowany na środkowy okres Ery Prekosmicznej, o odczytanym, ale ciągle kontrowersyjnym tekście zaczynającym się od słów: "Skazka o Rybaku i Rybce"...

Przy pomocy techniki komputerowej oraz grupy specjalistów paleografów i lingwistów ustalono, że tekst dotyczy techniki połowu pewnego rodzaju organizmów płynnego środowiska naturalnego Terry, a także stosunków własności i zależności w rozwarstwionym społeczeństwie tego globu.

Z punktu widzenia prehistoryka cywilizacji najbardziej interesujące teksty w zbiorach instytutu dotyczą mitologii i życia codziennego Wczesnej Ery Kosmicznej. Manuskrypty i starodruki kryjące się za numerami katalogowymi B/246/57, B/472/63, F/736/91 i G/661/87 rzucają nieco światła na ten ciekawy i pogrążony w mrokach zapomnienia okres historyczny. Studiując wyżej wymienione teksty mozolnie fragment po fragmencie wyłania się barwny fresk zrekonstruowanej przeszłości. Ale wiele jest jeszcze białych plam i miejsc niejasnych, które dają się dowolnie interpretować.

Nadal nie jest przez naukę wyjaśniony problem PIERWSZEGO. Stare teksty (a jest ich niewiele) wymieniają dwie postacie. Najczęściej pojawiające się nazwiska herosów mitologii Terrańskiej, a niewykluczone, że postaci historycznych, to Gil-ga-mesh oraz Ga-ga-rin. Środowisko naukowe podzieliło się na dwa obozy, obóz zwolenników Gil-ga-mesha i obóz tych, którzy za PIERWSZEGO uznają Ga-ga-rina. Żadna ze stron nie potrafi jednak przedstawić przekonywających dowodów na poparcie swojej tezy. Bardziej umiarkowani badacze są zdania, że Gil-ga-mesh i Ga-ga-rin są postaciami z mitologii terrańskiej, a jej radykalniejszy odłam twierdzi nawet, że jest to jedna i ta sama osoba, powołując się na pewne zbieżności w pisowni. Są oni zdania, że późniejsi kopiści błędnie przepisali nazwiska herosów, stąd ta rozbieżność.

Mniej niejasności wnosi przekaz o Trzech Wyprawach na Lunę zorganizowanych przez Terrańczyków. Starodruki CR/26/79, L/578/14 i G/2/1 uzupełniają się i pozwalają wysunąć tezę, że okres Wypraw stanowi początek Wczesnej Ery Kosmicznej. Niemało kłopotów natomiast sprawił badaczom starożytności starodruk VS/81/14, z którego ocalałych fragmentów wynika, że na Lunie pierwszym Terrańczykiem był Twar-dow-ski. Szczegółowe badania specjalistów od podróży kosmicznych oraz badania lingwistyczne tekstu obaliły ten pogląd, niemniej jednak z braku innych źródeł, potwierdzających względnie zaprzeczających obecności Twar-dowskiego na Lunie, kwestia ta pozostaje otwarta.

Będąc specjalistą średniowiecza Ery Kosmicznej zainteresowałem się manuskryptem nr katalogowy XB/149/200 datowanym na Middle Age faza II.

Manuskrypt napisany w języku staroanglijskim pochodził ze zbioru Bibliotequa Cosmica Vaticana jak udało się odczytać z niewyraźnej pieczęci na jednej ze stron. Leży on teraz przede mną sczerniały od starości, w wielu miejscach nieczytelny, pozbawiony szeregu kart i naznaczony śladami licznych uszkodzeń mechanicznych. Materiał, z jakiego sporządzono karty, jest pochodzenia organicznego, w związku z czym znajduje się w stanie daleko posuniętego zwęglenia. Metodami fizykochemicznymi ustalono, że jest on niezbicie pochodzenia terrańskiego. Nieorganiczny składnik tuszu, znajdujący się w substancji służącej do nanoszenie tekstu na stronice, ułatwił rozpoznawanie zarysu liter.

Znając dobrze, jak sądziłem, język staroanglijski nie przeczuwałem trudności, jakie napotkam przy odczytywaniu tekstu XB/149/200 lub inaczej Pilgrims Route w brzmieniu języka staroanglijskiego. Żywię nadzieję, że właściwa interpretacja treści manuskryptu ułatwi rozwiązanie wielu nie wyjaśnionych zagadnień tego okresu historycznego.

Oto przykład obszernych fragmentów wspomnianego tekstu:

„... i nie przeocz zacny pątniku planety Hydrii w układzie Aquariusa, gdzie świątobliwy ojciec Leubazy spędził 30 okrążeń tego globu wokół macieżystej gwiazdy na pobożnych medytacjach i gorących modlitwach. Miejsce pobytu Błogosławionego Leubazego upamiętniono później małą kapliczką nie opodal źródła, z którego Leubazy czerpał wodę, aby ugasić pragnienie. Dziś kapliczka pochylona i opleciona wszelaką roślinnością nie jest tak tłumnie odwiedzana jak dawniej. Wszelako szczególnie pobożny pielgrzym nie ominie w swej pielgrzymce planety Hydrii, która leży na uboczu tradycyjnej drogi pątniczej, a to ze względu na pamięć o Błogosławionym Leubazym i źródle znanym ze swoich niezwykłych właściwości, szczególnie jeśli chodzi o cudowne wyleczenia artretyzmu.

Toć i ja otrząsnąłem pył ze swoich sandałów i mocząc nogi w cudownym źródle pogrążyłem się w pobożnych rozmyślaniach, związanych z działalnością o. Leubazego na tej planecie. Nie opodal kapliczki i źródła stoją budynki skromnej misji nielicznego obecnie zakonu oo.Leubazjanów, którego przeor skromnie, aczkolwiek szczerze zaopatrzył mnie na dalszą drogę oraz udzielił błogosławieństwa.

Opuszczając układ Aquariusa skieruj dziob swojej nawy pobożny wędrowcze między gwiazdy X 4596 a G 8949, po trzech tygodniach podróży zauważysz małą radiolatarnię, którą w swoich poprzednich wędrówkach zostawili pielgrzymi gwoli wskazania drogi błądzącym w bezmiarze Kosmosu. Po dalszych dwóch tygodniach znajdziesz się pątniku na skraju Wielkiego Wiru, gdzie nawy miotane szalejącymi siłami Kosmosu..."

Dalszy tekst nieczytelny w związku z licznymi uszkodzeniami mechanicznymi.

„...oddając swego ducha Panu w opiekę. Ze strzaskanymi sterami i uszkodzonymi przyrządami błąkałem się wiele tygodni w czarnej pustce tracąc nadzieję na uratowanie. Znalazł mnie wycieńczonego do ostatnich granic patrolowiec zakonu Maltańczyków Arkturyjskich. Kilkutygodniowy pobyt u braci szpitalników przywrócił mi siły, wobec czego mogłem kontynuować pielgrzymkę.

Bracia szpitalnicy wstawili się za mną u będącego u nich przejazdem Helbarta Cymbryjskiego, jednego z władców Terry, który odbywał pielgrzymkę na planety Infernę i Paradisję. Przyjęty gościnnie przez władcę odbyłem tę część podróży na pokładzie jego triery. Wiedz pobożny pielgrzymie, że planety Inferna i Paradisja odkryte zostały przez misjonarzy z zakonu Barnardynów (nie mylić z zakonem Bernardynów) założonego przez Erwina z Tawerny na jednej z planet gwiazdy Barnarda, w siedemnastym roku pontyfikatu papieża Hadriana XXXVII. Na Infernie oo.Barnardyni wznieśli klasztor. Mnisi z klasztoru przestrzegali bardzo surowej reguły, którą dodatkowo utrudniały warunki planety. Gryząca, rozpalona atmosfera, jeziora płynnej lawy i siarki oraz wyziewy trujących gazów, oto warunki w jakich pędzili swój kontemplacyjny żywot pobożni bracia. Wielu z umartwiających się zakonników miało widzenia i objawienia, w związku z czym klasztor na Infernie stał się znanym w całej galaktyce. Zaprawdę skłonić należy głowę przed pełnymi powagi, odzianymi w białe azbestowe habity zakonnikami. Wiele osób odbywa tu dobrowolną pokutę, tak osoby świeckie, jak i zakonne. Nawet kilkudniowa pokuta na Infernie zbawiennie wpływa na ciało i duszę pragnącego ukorzyć się przed Panem. O ileż lżejszy na duszy i ciele wraca pielgrzym z Inferny, tego doświadczyć może każdy sam na własnej skórze jako ja to odczułem tracąc w niezwykle krótkim czasie czternaście funtów na wadze.

Dobroczyńca mój Helbart Cymbryjski wolał oddawać się modłom z pokładu swojej triery, atoli nie zapomniał o szczodrych darach dla opiekunów świątyni przekazanych na ręce przeora zakonu oo.Barnardynów tuż przed udaniem się w dalszą drogę. Droga z Inferny na Paradisję jest dobrze znana i licznie uczęszczana przez pielgrzymów, nie wymaga więc szczegółowego opisu. Wspomnę jedynie, że już po kilku dniach podróży przecięliśmy orbitę dużej planetoidy dobrze oznakowanej i opasanej szeregiem świetlnych napisów wotywnych. Dalej znacznie skromniejsze radiolatarnie wytyczały szlak. Ruch dość znaczny, ale podróż spokojna. Udałem się do celi udostępnionej mi przez dobrego władcę, aby przez resztę drogi oddać się zbożnym rozmyślaniom i lekturze żywotów świętych mężów. Bogobojny Helbart Cymbryjski wolał w tym czasie korzystać z uciech życia świeckiego, które dostarczał pielgrzymującemu władcy liczny towarzyszący mu orszak dworzan.

Anim się spostrzegł jak wylądowaliśmy na Paradisji. Planeta ta odkryta jak już wspomniałem przez oo.Barnardynów, którzy założyli tam misję stała się wkrótce jedną z najliczniej odwiedzanych przez pielgrzymów. Łagodny klimat, bogaty świat flory i fauny sprzyjał zakładaniu klasztorów o łagodniejszej regule. Cieszyły się więc oczy zmęczonych pielgrzymów pięknymi widokami krajobrazów ukraszonymi bryłami smukłych świątyń wzniesionych rękami pracowitych braciszków z białego, różowego i innych barw miejscowego surowca. Balsamiczna woń powietrza, czyste i pełne dźwięki dzwonów wzywające pielgrzymów do uczestnictwa w nabożeństwach, uroczyste procesje i echa chóralnie śpiewanych psalmów stwarzają nastrój błogiego uniesienia tak bardzo sprzyjającego pobożnym kontemplacjom. Nie należy się więc dziwić, że planeta ta jest równie tłumnie odwiedzana przez pielgrzymów zakonnych, jak i świeckich.

Z żalem pożegnałem się z Helbartem Cymbryjskim, którego szczerze polubiłem i nabrawszy sił wyruszyłem w dalszą pielgrzymkę do miejsc, w których spędzili swój pełen umartwień żywot święci pustelnicy. Bracia zakonni z Paradisji zapoznawszy się z celem mojej misji podarowali mi mały, ale sprawny stateczek. Dzięki ich dobroci mogłem kontynuować swoją podróż po stracie własnego statku w okolicach Wielkiego Wiru. Miejsca, do których się udaję są rzadko odwiedzane, leżą na uboczu tradycyjnych szlaków i niewiele jest o nich informacji w przewodnikach i folderach dostępnych pielgrzymom. Godząc ze sobą cele pobożnej pielgrzymki wraz ze zbieraniem informacji o miejscach świętych spełnię mam nadzieję ciche życzenie Kurii, która skrzętnie gromadzi wszelkie informacje o gwiazdach i planetach naszej galaktyki.

Cierpliwy pątniku dowiedz się zatem, że droga jaką podążałem była wielce niebezpieczna. Zaopatrzony w niedokładne mapy tej części Kosmosu, w którą skierowałem dziób mojego stateczku, polecając się opiece Pana, zdałem się na łaskę i niełaskę nieznanego. Korzystając z map zabranych ze sobą oraz ustnych wskazówek zasłyszanych jeszcze na Paradisji wybrałem grupę dość odległych gwiazd, z których jedna posiadała układ planetarny. Skolonizowana była jedna planeta tego układu — Lemonia. Po długiej i nie pozbawionej niebezpiecznych przygód podróży amortyzatory mojej nawy zagłębiły się w grunt Lemonii.

Zaraz po wylądowaniu odszukałem małą misję, w której starzy, ale bardzo uczynni bracia arenici okazali mi jako przedstawicielowi Watykanu wiele dobrodziejstw i pomocy. Mieszkańcy Lemonii trudniący się głównie rolnictwem są potomkami jednej z pierwszych wypraw kolonizacyjnych z okresu zatwardziałego materializmu Terry. Niemniej jednak i tu z czasem założono misję, a patronem planety został St. Lem. Stąd też i nazwa tego globu. Kult Lema trąci nieco schizmą, lecz trudno zaradzić temu stanowi rzeczy skoro znaczna odległość od centrum życia gospodarczego, religijnego i politycznego nie sprzyja wymianie towarowej i kulturalnej. Dodać warto również, że podupadłe rolnictwo Lemonii nie potrafi nic godnego uwagi zaoferować na wymianę.

Po krótkim pobycie zaopatrzony dostatnio na drogę ruszyłem dalej. Mapy które posiadałem nie były już do niczego przydatne z uwagi na ich zbyt schematyczny zarys tej części przestrzeni, w którą zdecydowałem się udać. Nie byłem jednak zupełnie bezradny. Tuż przed odlotem przybył do mnie jeden z braciszków misji, ściskając pod pachą niepozorne zawiniątko. Nic nie mówiąc wręczył mi pakiecik, po czym szybko oddalił się. Już po starcie spokojnie rozwinąłem nieco już zetlałą tkaninę, w którą zawinięty był jedyny na Lemonii egzemplarz „Dzienników gwiazdowych Ijona Tichego" zebranych i opatrzonych komentarzem przez St. Lema. Zrozumiałem teraz, dlaczego wręczający mi zawiniątko brat z misji zachowywał taką ostrożność. Była to największa relikwia Lemonii. Od tej chwili stary zniszczony egzemplarz „Dzienników..." był moim jedynym przewodnikiem. Przyznać muszę, że z mieszanymi uczuciami studiowałem szacowny wolumen. Nie chcąc podważać prawdomówności Ijona Tichego, a tym bardziej autorytetu St. Lema, w którego dziele oprócz rzetelnych relacji, takich jak Podróż 22, opisująca dzieje wysłannika stolicy Apostolskiej, ojca Orybazego oraz jego męczeńskiej śmierci, czy relacji z wyprawy Ijona Tichego na Amaropię, planety z gwiazdozbioru Cyklopa (Podróż 12) znajduje się też szereg wiadomości bałamutnych, dalekich od rzeczywistego stanu rzeczy. Na przykład na Enterapii nigdy nie było kurdli ani ośmiołów. Zupełnie bez wiary przyjąłem relacje z podróży jedenastej, ósmej, dwudziestej i wielu, wielu innych, których nie będę nawet przytaczał.

Przeświadczony o historycznym znaczeniu mojej misji, kierując się wskazówkami z „Dzienników"., miotałem się z gwiazdy na gwiazdę, z Galaktyki na Galaktykę i wszędzie osobiście porównywałem relacje Tichego ze stanem aktualnym. Z zażenowaniem stwierdziłem zasadność moich podejrzeń. Ijon Tichy nie odwiedził nawet piątej części planet, o których tak barwnie pisał. Był niewybrednym łgarzem. Wiadomości czerpał z drugiej, a nawet z trzeciej ręki, najczęściej od zwykłych prostych majtków galaktycznych naw, którzy za kieliszek księżycówki gotowi byli opowiadać różne brednie. Dziwię się, że St. Lem, komentator i wydawca tego paszkwilanckiego dzieła nie ustosunkował się z większą rezerwą do przedstawionych mu relacji. Częściowo rehabilituje St. Lema fakt, że będąc bogobojnym terrańskim mnichem komentarz do dzieła pisał w celi zakonnej którą, notabene, nader niechętnie opuszczał.

Niemniej jednak w relacji do Kurii Watykańskiej oprócz sporządzonego itinerarium pragnąłbym dołączyć sprawozdanie, które pozwoli Jego Świątobliwości na ustosunkowanie się do kultu oraz postaci St. Lema w świetle zebranych dowodów.

Cierpliwy pielgrzymie, skoro przebrnąłeś przez te nieco przydługie dygresje (wybacz to skromnemu słudze bożemu), bądź cierpliwy albowiem jeszcze wiele razy Terra dokona obrotu wokół swojej gwiazdy nim dane mi będzie wrócić.

Powrót z okolic kwazara Ostatniej Mgławicy ułatwia mi własnoręcznie sporządzona na pergaminie mapa, na której nie zabrakło żadnego z odwiedzanych przeze mnie układów gwiezdnych. Dzierżąc w ręku to oto itinerarium pątnika i misjonarza znajdziesz tam jeszcze wiele cudów, dla których Słowo Pańskie nie utorowało drogi do wiecznego zbawienia. A zatem..."

Na tym urywa się tekst itinerarium sporządzonego przez pątnika Anonima, wysłannika Kurii Watykańskiej z planety Terry. Dalsze fragmenty tekstu XB/149/200 są prawie nieczytelne, inne bardzo fragmentaryczne i oderwane od kontekstu przytoczonego powyżej fragmentu. Nie zachowała się również mapa sporządzona przez Anonima, która byłaby bezcennym źródłem do studiów nad kartografią przestrzenną średniowiecza Ery Kosmicznej. Analiza tekstu XB/149/200 pozwala na sformułowanie kilku tez o przełomowym znaczeniu dla badanego przeze mnie okresu. Przezwyciężone zostały trudności z prawidłową składnią i interpretacją tekstu zapisanego jak już wspomniałem w języku staroanglijskim, głównie dzięki pomocy lingwistów specjalizujących się w badaniu języków martwych, takich jak starolatyński i sarmatycki.

Ważniejsze wnioski i tezy wyciągnięte ze studiów nad tekstem XB/149/200.

1) Potwierdzona zostaje hipoteza o tzw. Okresie Panteistycznym w średniowieczu Ery Kosmicznej.

2) W pełniejszym świetle ukazana jest postać St. Lema. Nie jest to postać legendarna jak dotychczas mniemano, lecz historyczna. Udało się nawet stwierdzić pewne dane osobowe. Wiemy, że był mnichem w jednym z eremów na planecie Terra. Wnikliwe badania porównawcze dokonane przez lingwistów dowodzą o wyjątkowości czci, jaką tę osobę otaczano na Terze. Występujące przed imieniem rodowym litery St. lub S. są skrótem starolatyńskiego słowa sanctus lub staroanglijskiego saint. Przedrostek ten stosowany był przy imionach innych wybitnych dostojników wspomnianych w tekstach z czasów średniowiecza Ery Kosmicznej, np. St. Johannes, St. Mathias, St. Paulus, St. Jacobus i innych.

Bez wątpienia wnioski przedstawione przez lingwistów są nie do podważenia. Inne badania jeszcze bardziej przybliżają nam osobę St. Lema. Mianowicie pierwsi koloniści z planety Lemonii wyemigrowali z Sarmatii, jednej z krain Terry. St. Lem jak udało się to zbadać mediewistom był Sarmatyjczykiem. W Sarmatii zatem powstał komentarz do „Dzienników gwiazdowych". Koloniści bowiem zabrali ze sobą pewną ilość dzieł St. Lema na Novą Sarmatię, bo tak nazywała się początkowo Lemonia, a później w okresie rozluźnienia związków Novej Sarmatii z Terrą zrodził się kult St. Lema, a w konsekwencji tego i zmiana nazwy planety. Niewielki fragment niestety bardzo źle zachowanego starodruku XB/149/200 wymienia tytuły niektórych dzieł St. Lema „Cyberiada", „Summa Technologiae", „Dialogi", „Głos Pana", niestety treść wspomnianych dzieł jest dla nauki stracona. Nie zachował się żaden z cytowanych wyżej tytułów.

3) Pierwszoplanowa początkowo postać Anonima autora itinerarium (tekstu XB/149/200) została zaćmiona rewelacyjnymi wynikami badań związanymi z osobą St. Lema. Niemniej uwagi i spostrzeżenie Anonima spowodowały istotne przewartościowania w kwestii historyczność osób Ijona Tichego i St. Lema. Obecnie wiemy, że Ijon Tichy, jeśli nawet był postacią historyczną, nie odegrał tak ważnej roli w dziejach jak St. Lem. Sądzić należy, że tylko dzięki St. Lemowi postać ta stała się tak dobrze znana późniejszym pokoleniom. Nie jest ważne dla historyka, czy Ijon Tichy rzeczywiście podróżował do wspomnianych przez Anonima miejsc, lecz istotne jest dla badacza dzieło St. Lema oraz zawarte w nim poglądy filozoficzne, które wywarły tak wielkie piętno na potomnych do powstania kultu włącznie. Zbadanie jakiegokolwiek z dzieł St. Lema rozstrzygnęłoby tą niejasna jeszcze kwestię ostatecznie. Ze znanych powodów jest to już niemożliwe. Być może przyszłe pokolenia badaczy uporają się z tą zagadką.

Do druku podał:
JACEK WÓJCIAK

Hipotezy

JEAN BERNARD

Krew i historia

1. HEMOGLOBINA E POMAGA ARCHEOLOGOM

Podróżnicy chińscy, którzy w wiekach średnich żeglowali w górę rzeki Mekong, zostawili po sobie dokładne opisy domów wiejskich, a przede wszystkim samych chłopów khmerskich. Stwierdzili, że ci bardzo różnią się od chińskich. Odnotowali: krępe sylwetki, kwadratowe twarze, oczy prawie zupełnie nie skośne, ciemny kolor skóry. Dzisiejsi hematolodzy potwierdzili odrębność Khmerów, znajdując we krwi wielu z nich szczególną hemoglobię, a mianowicie **hemoglobinę E.**

W XII i XIII wieku monarchowie khmerscy uważali się za władców świata. Ich imperium było wtedy bardzo rozległe. Obejmowało dolinę i deltę Mekongu, Laos aż do Vientiane, wschodnie prowincje Tajlandii, część Malezji i dzisiejszego Wietnamu. Panowanie Khmerów wsławiło się wzniesieniem licznych monumentów, jak np. kompleks świątyń w Angkor Wat. (...)

Od 1957 r., poczynając od prac Luciena Brumpta, szereg badań naukowych ustaliło częstotliwość pojawiania się nietypowej **hemoglobiny E** u ludów południowo-wschodniej Azji. Spotykani przez badaczy chłopi — na polu, w domu, na wiejskim placu targowym — są niewątpliwymi potomkami wieśniaków, których widzimy na płaskorzeźbach świątyń, jak zajmują się swoją pracą. (...)

Badania nad częstotliwością występowania hemoglobiny E wyodrębniły 3 strefy. Obszar centralny, gdzie ta częstotliwość jest bardzo duża (od 30 do 40 proc.), pokrywa się z dzisiejszą Kampuczą. Obszar pośredni, gdzie odnotowuje się jeszcze od 15 do 30 proc., obejmuje: dużą część wschodnich i środkowych terenów obecnej Tajlandii, 2/3 południa Laosu, zachodnie prowincje Wietnamu, północne terytorium Malezji. Obszar peryferyjny gdzie częstotliwość występowania hemoglobiny E jest niewielka (od 1 do 5 proc.), rozciąga się na pozostałe prowincje Tajlandii, Wietnamu, Laosu, Malezji oraz pewne wyspy indonezyjskie i kilka okręgów Birmy.

Geografia hemoglobiny E i geografia pomników sztuki khmerskiej są niemal identyczne. Jest to fakt bardzo godny uwagi. Dotychczas granice dawnego imperium Khmerów były ustalone przez archeologię. Dzisiaj może je kreślić hematologia. Istnienie świątyń, wież, wielkich budowli w dżungli (zaprojektowanych przez architektów khmerskich) oraz obecność niezwykłej, dziedzicznie przekazywanej, molekularnej struktury hemoglobiny — stanowią, po 9 stuleciach, równie dokładne świadectwa pewnej konkretnej cywilizacj i pewnego konkretnego ludu.

2. SKĄD POCHODZĄ INDIANIE AMERYKAŃSCY?

Długo polemizowano na temat pochodzenia rdzennych Amerykanów, a więc Indian. W ożywionych dyskusjach rzecznicy ich pochodzenia pozaamerykańskiego, którzy wywodzili ich od Egipcjan, Trojan, Fenicjan, Greków, Australijczyków, Malajów, Żydów, Hiszpanów, Skandynawów ścierali się ze zwolennikami homo americanus, odrzucającymi wszelką migrację. Faktów bezspornie ustalonych jest niewiele. Dokumenty — pisane czy wyryte — są albo stosunkowo niedawnej daty, jak w przypadku Majów i Meksyku, albo zgoła nie występują, jeśli mówimy o Peru i pozostałych rejonach andyjskich. Informacje dostarczone przez archeologię i paleontologię są też nieliczne. Badacze, zajmujący się Ameryką z czasów przed Kolumbem, zwracali często uwagę na dwa przeciwieństwa, a mianowicie między małą liczbą wykopalisk i ogromem kontynentu amerykańskiego oraz między niewielką ilością potwierdzonych faktów i namiętnością polemik. Dodajmy też, że mnogość typów fizycznych i różnorakość języków Indian długo sprawiały i nadal sprawiają kłopot antropologom i filologom.

Indianie przyszli z Azji. Ich azjatyckie pochodzenie wykazały długie, cierpliwe badania porównawcze. Pierwsi Azjaci przybyli prawdopodobnie podczas ostatnich epok lodowcowych, jakieś 50.000 lat temu. W owej epoce pokrywa lodowa na obszarze podbiegunowym oraz lodowce rozpościerające się wokół masywów górskich zajmowały bardzo dużą powierzchnię i zawierały w sobie wielką ilość zamarzniętej wody. Toteż poziom oceanów obniżył się. Był on o 200 do 300 metrów poniżej dzisiejszego. Dlatego tereny dzisiaj zalane, występowały ponad lustro wody. W szczególności tam, gdzie dziś jest **Cieśnina Beringa,** był bardzo rozległy przesmyk — **Beringia,** o szerokości (z północy na południe) 1.000 km. W ciągu tysiącleci — z wyjątkiem przejściowo cieplejszych okresów — Beringia stanowiła pomost pomiędzy wschodnią Syberią i Alaską; i prawdopodobnie sama była też zamieszkana. To właśnie przez ten — dziś zatopiony — obszar ludzie przychodzący z Dalekiego Wschodu przedostali się do Ameryki. Jeśli uwzględnić dane archeologiczne, to bardzo prawdopodobne jest, że migracja dokonywała się małymi grupami i że w sumie ciągnęła się przez dziesiątki tysięcy lat. Później inni Azjaci mogli przedostać się przez Cieśninę Beringa. Trudności nie były nieprzezwyciężone. Od Przylądku Dieżniewa w Azji do Przylądku Księcia Walii w Ameryce jest tylko 60 km, a w poprzek leżą dwie Wyspy Diomida.

Mimo wszystko wiele rzeczy pozostaje niepewnych. I wyłaniają się doniosłe pytania. Kiedy miały miejsce największe migracje? Czy — jak długo sądzono — drogą morską, z wyspy na wyspę? Czy — jak raczej mniema się dziś — po lądzie, przez Beringię? Z jakich regionów Azji wywodziły się migrujące ludy? Czy należy przyjąć, że były jednego pochodzenia, czy wielu? Jak owe wędrujące ludy rozmieściły się na wielkich przestrzeniach Ameryki? Czy można doszukać się związku między konkretnym regionem zasiedlenia w Ameryce i pochodzenim z konkretnego regionu Azji? Czy te ludy pochodziły wyłącznie z Azji? Jaka była rola i jaki był wpływ przybyszów, być może, z Oceanii?

Badania krwi nie pozwoliły odpowiedzieć na wszystkie postawione pytania. Ale pozwoliły na nowe podejście i na dokonanie poważnego postępu. Dane, które zebrano, są zarówno bardzo dokładne, potwierdzone przez wszystkich badaczy, jak i bardzo specyficzne.

Wszystkie badania określają dokładnie krew Indian. Jej cechami są: bardzo duża częstotliwość grupy 0, bardzo duża częstotliwość RH+, wyraźna częstotliwość grupy Diego, jednorodność i niewielka ilość występujących podgrup układu HLA, częste występowanie podgrup HLA2 i HLA9, brak hemoglobin niezwykłych — afrykańskich, śródziemnomorskich, azjatyckich. Te dane rzucają światło na historię migracji. (...)

Pierwsze migracje dokonały się bardzo dawno. Musiały zacząć się 50.000 lat temu. Odbyły się zanim doszło do mutacji, którym należy przypisać obecność nietypowych hemoglobin we krwi Azjatów. Tych hemoglobin nie znaleziono bowiem nigdy u czystej krwi Indian.

Ludy azjatyckie, które jeszcze dziś żyją i które są najbliższe Indianom, spotykamy we wschodniej Syberii i na północy Japonii (na wyspie Hokkaido). Cechy i morfologia krwi Indian (w szczególności rozrzut podgrup Rh) upodabniają ich do najstarszych ludów Azji.

Ale u Indian — **od Alaski do Ziemi Ognistej** — mamy do czynienia z jednorodnością krwi i z różnorakością wyglądu, języków, obyczajów. Jacques Soustelle pisał:

„Cóż ma wspólnego Siuks z Ameryki Północnej, wysoki, długogłowy, o prostym nosie, z członkiem ludu Majów, małym, przysadzistym, krótkogłowym, o dużym, prawie semickim nosie? Równie wyraźna jest różnorodność językowa. Ameryka była klasycznym krajem mnogości języków. Nie Wieżą Babel, ale zaiste Kontynentem Babel".

Należy to tłumaczyć czasem i odosobnieniem. **Najpierw czasem.** Do zróżnicowania typów fizycznych i językowego potrzeba było wiele czasu. Okres 20.000 lat — przyjmowany przez klasyczną antropologię — wydaje się za krótki. Okres 50.000 lat — jak przyjmują hematolodzy — od czasu pierwszych migracji przez Beringię, to okres, który mógł pozwolić na powolne wędrówki po kontynencie obu Ameryk, na osiedlenie się małych grup w poszczególnych regionach tego kontynentu, na dostosowanie się do odpowiedniego trybu życia, na zróżnicowanie typów fizycznych i zróżnicowanie językowe.

Drugi czynnik to odosobnienie. Dwojakie odosobnienie. Primo, każda wspólnota była bez więzi z innymi; przez długie okresy bytowały jednocześnie w Ameryce bardzo wzajemnie różne społeczności. Secundo, pierwsi Amerykanie, którzy emigrowali, gdy (w miejscach skąd wywędrowali) panowała jeszcze kultura paleolitu, rozwijali swoją cywilizację na nowych terenach, nie mając kontaktów z resztą świata. To odosobnienie tłumaczy jedną z najosobliwszych cech krwi Indian. Tę, że grupa 0 jest prawie jedyną, jaka występuje u Indian. I jak się zdaje, jest ona jedyną u Indian czystej krwi. Grup A i B nie ma lub występują wyjątkowo. We wschodniej Azji są wszystkie grupy: 0, A, B. Występują z nierówną częstotliwością. Ale występują. W Azji radzieckiej częstotliwość występowania grup A i B jest różna u różnych ludów. Jest ona duża, jeśli bierze się pod uwagę ogół ludów syberyjskich. Ale niknie — jakkolwiek nie do zera — u Czukczów, zamieszkałych we wschodniej Syberii. Wyjaśnienie faktu, że u Indian grupa 0 jest prawie jedyną, zdołały dać studia hematologiczne. (...)

Pierwsi Azjaci, którzy przed 40.000 czy 50.000 laty przybyli do Nowego Świata, zastali bezludny kontynent, gdzie nie było ani wirusów, ani zarazków, które powodowałyby choroby epidemiczne i endemiczne. W Ameryce nie było zupełnie tego bogactwa chorób zakaźnych, jakie od niepamiętnych czasów występowało w Starym Świecie. O fakcie, że przez tysiąclecia w Ameryce nie było poważnych chorób zakaźnych, świadczy tragiczna podatność Indian na silne lub łagodne infekcje, których nosicielami byli najeźdźcy europejscy, a które często są przedmiotem wzmianek i aluzji w pamiętnikach, jakie pisali wicekrólowie hiszpańscy. Nie było infekcji. Nie było przeto tej selekcji, która dokonuje się wskutek infekcji, wskutek nierównej podatności na infekcje, przejawianej przez ludzi mających tę lub inną grupę krwi. Nastąpiła tylko selekcja immunologiczna, mianowicie: w braku jakiegokolwiek dopływu krwi grup A i B z zewnątrz, obie te grupy zanikły. Cała ludność uzyskała grupę 0. I tak oto otrzymaliśmy rozsądne — przy obecnym stanie wiedzy — wyjaśnienie, zdumiewająco jednakiej, przynależności Indian do grupy 0. Historia migracji, a szczególnie historia hematologiczna migracji, ukazuje, że ludy Ameryki przybyły z Azji. Ludność indiańska jest zasadniczo pochodzenia azjatyckiego.

3. TAJEMNICE WYSPY WIELKANOCNEJ

Norweski zoolog, **Thor Heyerdahl,** badał faunę na małej wyspie Fatuhira w Archipelagu Markizów. Rozmawiał ze starcami. Notował tradycje i legendy. Zwłaszcza te o olbrzymich białoskórych ludziach, których bóg Tiki przywiódł z odległego lądu do Polinezji. Heyerdahl studiował historię Polinezji. Zorientował się, że jako miejsce pochodzenia Polinezyjczyków sugerowano po kolei: Malaje, Indie, Chiny, Japonię, Arabię, Egipt, Kaukaz Atlantydę, Niemcy i Norwegię.

Myślał o posągach **na Wyspie Wielkanocnej,** o przedmiotach na niej znalezionych, a podobnych do niektórych reliktów tej czy innej prehistorycznej cywilizacji w Ameryce Południowej, Pomyślał też o zdumieniu pierwszych odkrywców europejskich, zaskoczonych wyglądem niektórych Polinezyjczyków — ich białą skórą, ich brodami. Pojechał do Indian na północnym zachodzie Ameryki, do Kolumbii Brytyjskiej, żeby szukać tam kamieni, rytych według dawnego polinezyjskiego stylu. Potem cofnął się na południe. W legendach peruwiańskich odnalazł opowieść o Kon-Tiki. Od tej chwili był przekonany: pierwsi mieszkańcy Polinezji przybyli z Peru. Porzucił zoologię, robaki, ryby. Został antropologiem i żeglarzem. Poświęcił się obronie swoich teorii, udowodnieniu wędrówki, która przywiodła Peruwiańczyków do Oceanii.

Uznane autorytety mają na ten temat liczne i poważne zastrzeżenia. Przede wszystkim i nade wszystko zastrzeżenie natury geograficznej. Ocean Spokojny jest — wbrew jego nazwie — oceanem burz, straszliwych burz. Peru od Oceanii dzielą tysiące mil morskich. Jakże można sobie wyobrazić, żeby w tej zamierzchłej przeszłości takim niebezpieczeństwom mogli stawić czoło i żeby takie odległości mogli pokonać żeglarze na kruchych łodziach, z trudem orientujący się gdzie są i w jakim kierunku płyną?

Heyerdahl chciał sprawdzić hipotezę **migracji transoceanicznych,** udowadniając ich możliwość. Cierpliwie studiował łodzie, metody, wiedzę morską prehistorycznych żeglarzy peruwiańskich. Zamówił w Peru: wykonanie tratwy z żaglem, podobnej do tratw peruwiańskich. Załadowano na nią żywność taką samą, jak tą, którą mieli Peruwiańczycy. Załadowano narzędzia podobne do tych, jakie były w dawnej przeszłości. Podróż Heyerdahla i jego towarzyszy na tratwie Kon-Tiki trwała 100 dni. Z odwagą swoich przodków — Wikingów, norwescy żeglarze na Kon-Tiki stawili czoło huraganom i — na przemian — ciszy na morzu, wielkiej fali i prądom oceanicznym. Wypłynęli 28 kwietnia 1947 r. z peruwiańskiego stołecznego portu Callao. Z daleka od północnej strony minęli Wyspę Wielkanocną i 7 sierpnia dotarli do Markizów. W ten sposób wykazali, **że w odległej przeszłości można było — przy pomocy ówczesnego sprzętu i ówczesnych narzędzi — przepłynąć południowy Pacyfik.**

W 24 lata później, w roku 1971, Jean Dausset decyduje się na podróż na Wyspę Wielkanocną, żeby badać tamtejsze grupy krwi, a szczególnie układ HLA. Na naszym globie owa wyspa jest, być może, tym lądem, który leży najdalej od wszystkich innych lądów. Od Wyspy Wielkanocnej na wschód do brzegu Ameryki jest 3.700 km. Od Wyspy Wielkanocnej na zachód do Wyspy Pitcairn jest 2.000. Wyspa Wielkanocna jest mała — 22 km długości i 11 km szerokości, naga, bezdrzewna, jej powierzchnia to skamieniała lawa lub kępki trawy i popioły. Sława wyspy bierze się z 600 olbrzymich posągów, wzniesionych w epoce kamienia. Każdy posąg ważył przeszło 80 ton.

Większość obecnych mieszkańców wyspy żyje w małej wsi — **Honga Roa.** Przeważnie są to ludzie mieszanej krwi: polinezyjsko-chilijsko-europejskiej. Nieliczni, jest ich najwyżej setka, należą do kilku rodzin (w każdym przypadku do tych samych kilku, czyli jak gdyby niemal od jednej rodziny) i nie są mieszanej krwi. Toteż zdają się być przedstawicielami rdzennej ludności wyspy. Właśnie tę rdzenną ludność badał Jean Dausset. Miał dwojaką nadzieję. Po pierwsze — dość mglistą — że znajdzie coś, co uchyli rąbka tajemnicy, jaka otacza olbrzymie posągi. Po drugie, nadzieję — bardziej sprecyzowaną — na lepsze poznanie dawnych kontaktów między Oceanią i Ameryką Południową. Cierpliwie, wytrwale Jean Dausset dochodzi po kilku tygodniach do uwieńczenia swej misji sukcesem.

Wyniki są następujące:

Krew rdzennych mieszkańców wyspy przypomina krew Polinezyjczyków i — w pewnej mierze — krew niektórych południowoamerykańskich ludów indiańskich.

Krew rdzennych mieszkańców wyspy różni się od krwi Melanezyjczyków i od krwi tych licznych Indian, którzy są bardzo bliscy Mongołom północnego wschodu Azji.

Dane hematologiczne nie upoważniają do ostatecznych wniosków. Można jednak wysnuć kilka hipotez. Od czasów prehistorycznych żeglarze najprawdopodobniej przepływali Pacyfik, mimo że jest on tak rozległy. Migracje następowały zapewne w różnych kierunkach: raz z zachodu na wschód, raz ze wschodu na zachód. **Wyniki badań krwi uwypuklają rolę i przewagę migracji z zachodu na wschód, tzn. z Oceanii do Ameryki Południowej.** Przygoda tratwy Kon-Tiki to wyczyn godny podziwu. Ale wnioski, na jakie ona pozwala, zdają się przemawiać słabiej od danych hematologicznych.

Nie można poddawać w wątpliwość azjatyckiego pochodzenia dużej większości Indian. Polinezyjskie pochodzenie części ludów na zachodnim wybrzeżu Ameryki Południowej może być brane zasadnie pod rozwagę. Ale można też wysnuć hipotezę bardziej ogólną wybiegającą w odleglejszą przeszłość: badania krwi — zwłaszcza układu HLA — ludów rozproszonych na wszystkich kontynentach wydobywają na jaw istnienie 2 wielkich grup, oczywiście wewnętrznie zróżnicowanych, ale mimo to zespolonych pewnymi wspólnymi cechami. Są to: z jednej strony mieszkańcy Europy, Afryki, Bliskiego Wschodu, a z drugiej — mieszkańcy Azji Wschodniej, Indianie w Ameryce, ludność Oceanii. Tak — **Azjaci, Indianie, Polinezyjczycy wydają się pochodzić ze wspólnego, staroazjatyckiego pnia,** gdzie istniał wspólny, pierwotny zasób genów, który później rozdzielił się pomiędzy wywodzącymi się z niego ludami. I stąd biorą się te podobieństwa i te różnice.

Owe staroazjatyckie ludy składały się z białoskórych brodaczy. To właśnie o nich — zarówno na północ od Japonii, jak na wyspach Polinezji — mówią opowieści odkrywców i żeglarzy. Te zawsze podobne opowieści odkrywców i żeglarzy, którym wydaje się, że spotkali prawdziwych białych, i którzy zadają sobie pytanie, jak ci biali dotarli do Japonii czy na Polinezję. To zapewne o tych białych wspominają legendy, których trwałość i wzajemną zgodność słusznie podkreślał Heyerdahl. Najdawniejsze legendy i najnowocześniejsza hematologia są ze sobą **zgodne w dostrzeganiu: odległego wspólnego pochodzenia, migracji i pokrewieństwa ludów Azji, Ameryki i Oceanii.**

4. KREW I CYWILIZACJA

W nowoczesnych miastach powietrze jest zanieczyszczone dymami z kominów fabryk i domów oraz spalinami samochodowymi. Tlenek węgla i pochodne benzenu dochodzą niekiedy — w pewnych dzielnicach, w bezwietrzną pogodę — do groźnego stężenia. W powietrzu jest dużo pyłów (na Birmingham spada rocznie 100 kg pyłów na 1 m kw.), które zmniejszają nasłonecznienie powierzchni ziemi. Przemysł chemiczny, a nade wszystko synteza wielkich cząsteczek, rozbudowuje się w szybkim tempie (weźmy np. produkcję kauczuku, tworzyw sztucznych, tekstylii, leków).

Zagrożenie chemiczne jest — w obecnej sytuacji, w czasie, gdy panuje pokój — dużo większe niż niebezpieczeństwo napromieniowania. Zagrożenie związane z rozwojem energii jądrowej i napromieniowaniem jest dobrze znane. Umiemy się przed nim skutecznie chronić. Niechaj o tym świadczy przykład lekarzy radiologów. Umierali oni często na białaczkę w początkach bieżącego wieku, kiedy nie znano ani tego niebezpieczeństwa, ani sposobów ochrony. Dziś już tak nie jest, kiedy są oni świadomi ryzyka i kiedy rygorystycznie przestrzegają sposobów zabezpieczenia się. Natomiast zagrożenia chemiczne są wprawdzie dość dobrze rozpoznane, ale sposoby obrony przed nimi nie są wystarczające.

I tak oto wyłoniła się hematologia społeczeństw uprzemysłowionych. Rozpoznano zjawiska patologiczne, które stanowią jej przedmiot.

Substancje trujące pochodzenia przemysłowego oraz promieniowanie jonizujące wpływają na zmiany w szpiku kostnym, zakłócają wytwarzanie się i rozwój wszystkich krwinek — czerwonych, białych i płytek. Ogólnie biorąc, u mieszkańców krajów uprzemysłowionych ilość krwinek nieco zmniejszyła się. Przede wszystkim krwinek białych, a w szczególności niektórych z nich, zwanych wielojądrzastymi. Od 50 lat obserwujemy u mieszkańców krajów uprzemysłowionych zmniejszanie się ilości wielojądrzastych krwinek białych. Jest ono tak wyraźne, że w przepisach prawnych odnoszących się do chorób zawodowych, trzeba było wziąć to pod uwagę, gdy ustalano, jaką ilość owych krwinek można jeszcze uważać za normalną. W ciągu 50 lat przeciętna ich liczba w 1 mm kw. krwi zmniejszyła się z 4.000 do 2.500. (...)

Spory odsetek chorób szpiku kostnego — na szczęście nie tak częstych — przypada na kraje uprzemysłowione. Przyczyny są różnorakie: wrodzone skłonności, wirusy, ale najczęstsza przyczyną są trucizny pochodzenia przemysłowego: benzen szeroko stosowany w przemyśle; różne leki zażywane bez potrzeby; pewne substancje stosowane jako środki owadobójcze na wsi. Być może to właśnie tłumaczy, dlaczego w naszych czasach obserwujemy zaburzenia w składzie krwi, nie tylko w mieście, lecz również na wsi.

Benzen i promieniowanie należą też do przyczyn białaczki. Jej przypadki nie są następstwem jakiejś pojedyńczej przyczyny, lecz łącznego oddziaływania szeregu czynników. Stosunek, w jakim białaczka pozostaje do trybu życia, do form bytowania społecznego jest z pewnością złożony i nie został jeszcze dokładnie rozpoznany. Jak bardzo jest on złożony, świadczą o tym dwa ustalenia, które poczyniono w ciągu kilku ostatnich lat:

Częstokrotność zachorowań na białaczkę zmienia się w zależności od położenia geograficznego — jest na ogół większa w krajach północnych i zamożnych niż w krajach południowych i biednych; w Szwecji białaczka występuje prawie dwa razy częściej, niż we Włoszech.

Częstokrotność zachorowań na białaczkę zmienia się z upływem czasu — znacznie wzrosła od 1930 do 1960 roku, potem ustabilizowała się, obecnie nawet lekko spada.

I tak oto:

Krew społeczeństw pierwotnych wykazywała eozynofilię, była odzwierciedleniem chorób pasożytniczych, które trapiły człowieka paleolitu.

Krew społeczeństw rolniczych, szczególnie zajmujących się uprawianiem jakiegoś jedynego rodzaju roślin, przeznaczonego na eksport, jest krwią anemiczną, ofiarą złego odżywiania się i głodu. Taka krew może być przyczyną zgonu rolnika.

Krew mieszkańców krajów uprzemysłowionych jest krwią uboga, jest świadectwem zmian w szpiku kostnym, spowodowanych truciznami pochodzenia przemysłowego.

(„L'EXPRESS")

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

Dramatyczny lot nad Azją

Rodzące się i rozwijające po pierwszej wojnie światowej polskie lotnictwo wojskowe, początkowo wyposażono w samoloty produkcji zagranicznej, przeważnie francuskie. W roku 1925 zakupiono we Francji świetne na owe czasy jednosilnikowe półtorapłaty (górne skrzydło dłuższe od dolnego) typu Breguet XIX A2 i B2 — przeznaczone dla polskich eskadr wywiadowczych, bombowych i treningowych. Samoloty te sprowadzano do Polski drogą powietrzną. Nadarzającą się okazję wykorzystał płk pil. **Ludomił Rayski**, wykonując na Breguecie XIX A2, 16—21 września 1925 roku — wraz z sierżantem-mechanikiem **Leonardem Kubiakiem** — długodystansowy przelot na trasie: Paryż — Madryt — Casablanca — Tunis — Ateny — Konstantynopol — Warszawa, pokonując odległość 7.850 kilometrów. Przelot ten traktował jako sprawdzian przed planowanym lotem z Warszawy do Tokio, jaki wkrótce zamierzał zrealizować. Toteż po wylądowaniu w Warszawie, samolot przekazano warsztatom lotniczym, aby dokonały licznych przeróbek i przygotowały Bregueta do gigantycznego lotu. Wprowadzono wiele innowacji, a m. in. wmontowano dodatkowy zbiornik benzyny i oleju, zwiększając pojemność obu zbiorników do ośmiuset litrów.

ŚMIAŁY POMYSŁ

Niestety, powołanie płk pil. Rayskiego **na szefa** Departamentu Aeronautyki przekreśliło plany lotu do Tokio. Polecił więc wykonanie tego przelotu 25-letniemu por. pil. **Bolesławowi Orlińskiemu** z 11 pułku myśliwskiego w Lidzie, odstępując mu swojego Bregueta XIX A2, nr 1240. Jako towarzysza lotu przydzielił doświadczonego mechanika sierżanta **Leonarda Kubiaka.**

Młody porucznik doskonale zdawał sobie sprawę z trudności, jakie będzie musiał przezwyciężyć na gigantycznej ponad dziesięciotysięcznokilometrowej trasie, wiodącej nad rozległymi terenami radzieckiej Syberii, nad Mandżurią, Koreą i Morzem Japońskim. Wiedział również, że większość lotnisk, na których będą lądować jest bardzo prymitywna, często nie posiadająca hangarów ani warsztatów naprawczych lub osłony meteorologicznej. Po starcie z Warszawy należało wykonać lot etapowy przez **Moskwę — Kazań — Omsk — Krasnojarsk — Czytę — Harbin — Heidżio do Tokio.**

Także samolot pozostawiał wiele do życzenia, pomijając, że był już dobrze nadwerężony niedawnym lotem płk pil. Rayskiego. Jego kabiny pilota i obserwatora — jedna za drugą — były bardzo niewygodne — co było bardzo istotne przy tak dalekim locie — a przede wszystkim pozbawione najpotrzebniejszych instrumentów pokładowo-nawigacyjnych, nie mówiąc już o braku radia i telefonu pokładowego. Chociaż dwunastocylindrowy silnik Lorraine Dietrich 14 o mocy 450 KM preferował Bregueta do lotów długodystansowych, to pilotowanie tej maszyny wymagało siły fizycznej i nie byle jakich umiejętności.

Start wyznaczono na **27 sierpnia 1926 roku.** Orliński zamierzał startować z Paryża, lecz już w maju 1926 roku otrzymał z Poselstwa Cesarsta Japońskiego w Warszawie pismo polecające do władz japońskich. Należało więc startować z Warszawy.

START Z WARSZAWY

Nadszedł wreszcie dzień 27 sierpnia 1926 roku. Od wczesnych godzin porannych padał ulewny deszcz, a niskie chmury przewalały się na wschód. Na lotnisku mokotowskim zebrała się tylko nieliczna grupka przyjaciół i kolegów por. Orlińskiego i sierż. Kubiaka. Przyszli, aby ich pożegnać, uścisnąć im ręce i towarzyszyć startowi. Dziwnie wyglądał nieduży Breguet XIX, którego rozpiętość nie przekraczała 15 metrów, a długość 11 metrów. Przednia część kadłuba pokryta blachą falistą, a reszta kadłuba, skrzydła i stateczniki kryte były płótnem.

Mechanicy 1 pułku lotniczego jeszcze raz przejrzeli maszynę, sprawdzili silnik, po czym załoga zajęła miejsca w swoich kabinach. Jeden z mechaników zakręcił śmigłem, zaskoczył silnik, potężnie zawarczał i po nagrzaniu się pracował rytmicznie, wypełniając swoim rykiem przestrzeń. Breguet przeciążony paliwem leniwie potoczył się na start, a następnie z trudem oderwał się od ziemi. Pilot wykonał jeszcze rundę pożegnalną nad lotniskiem i wziąwszy kurs na wschód, leciał nisko pod chmurami w kierunku Moskwy.

LOT NAD ZWIĄZKIEM RADZIECKIM

Po niespełna sześciu godzinach lotu Orliński osiągnął stolicę radziecką, gdzie po wylądowaniu załogę Bregueta owacyjnie witali lotnicy radzieccy ze sławnym **Michałem Gromowem** na czele, przedstawiciele Ambasady Polskiej i przewodniczący radzieckiego „Awiachimu". Po krótkim postoju i przeglądzie samolotu przez Kubiaka, tego samego dnia nastąpił start do Kazania. W miarę oddalania się od Moskwy, zaczęły się psuć warunki atmosferyczne. Ulewny deszcz i niskie chmury zmuszały pilota do niemal koszącego lotu, tuż nad drzewami. Widoczność była tak słaba, że o zmierzchu z trudem odnaleźli rozświetlone ogniskiem lotnisko kazańskie, na którym wylądowali. Fatalna pogoda zatrzymała ich w Kazaniu cały następny dzień, a po dwóch dniach start do Omska odbywał się w takich samych złych warunkach. Dopiero po przeleceniu wschodniego Uralu zajaśniało słońce i wypogodziło się.

Następnymi etapami z Omska były: Krasnojarsk, Czita i Harbin. Załoga polska pokonywała tysiąckilometrowe przestrzenie dziennie w różnych warunkach atmosferycznych, raz lepszych, innym razem fatalnych, ale wszędzie witano Polaków serdecznie i po przyjacielsku. Najserdeczniej i najbardziej po koleżeńsku witali Orlińskiego i Kubiaka lotnicy radzieccy w Czycie. Natomiast w Harbinie poza władzami i lotnikami radzieckimi serdeczne przyjęcie załodze Bregueta zgotowała miejscowa Polonia. Nazajutrz, przy starcie tak zarzucono samolot kwiatami, że załoga nie mogła znaleźć miejsca dla siebie. Start z Harbina odbył się przy pięknej pogodzie, utrzymującej się na całej trasie, aż do Heidżio.

Około trzysta kilometrów przed Heidżio zaczęły się pierwsze niepowodzenia lotników polskich. Z niewiadomych przyczyn silnik strzelał bez przerwy, wprowadzając w zakłopotanie załogę samolotu. Wreszcie domyślili się, że benzyna zakupiona w Harbinie od przedstawiciela firmy angielskiej zawierała zbyt dużo wody, powodującej to strzelanie. Uspokojeni kontynuowali lot.

Po przeleceniu granicy koreańskiej zaczął padać ulewny deszcz, a niskie chmury ograniczyły widoczność do tego stopnia, że pilot chwilami nic nie widział wokół siebie, co stwarzało duże niebezpieczeństwo, ponieważ zbliżali się do masywu górskiego, gdzie trzeba było przelecieć między szczytami. Raptem około stu metrów przed samolotem wyrosły zarysy masywu górskiego i tylko dzięki szybkiemu refleksowi Orlińskiego, wykonującego natychmiast zakręt o 180 st. uniknięto zderzenia ze skałami. Kolejne próby przelotu nad górami nie powiodły się, więc pilot zdecydował się na zawrócenie z trasy i lądowanie w Mukdenie. Silnik nadal bez przerwy strzelał.

NAD MORZEM JAPOŃSKIM

Nazajutrz Orliński wystartował do odległego o czterysta kilometrów Heidżio, gdzie po wylądowaniu załoga witana była serdecznie przez lotników japońskich, a przed hangarem stał namiot, przed którym na wysokich masztach powiewały dwie flagi: polska i japońska. Pozostał ostatni etap rajdu: Heidżio — Tokio. Niesamowicie zmęczeni Polacy układali się do snu, nie mając pewności, czy następnego dnia wystartują do ostatniego etapu ich rajdu, ponieważ prognozy meteorologiczne były bardzo niepomyślne — nad wyspami japońskimi szalał tajfun. I znów jeden dzień stracony.

Dopiero 5 września 1926 roku wystartowali do 1600-kilometrowego lotu nad Morzem Japońskim. Lecieli bez spadochronów, bez kamizelek ratunkowych i bez łodzi ratunkowej. Nad Morzem Japońskim w jego najszerszym miejscu por. Orliński przeleciał przestrzeń 1.600 kilometrów w 9 godzin i 10 minut, wylatując nad wyspy Japonii dokładnie w miejscu, gdzie zaplanował — czterdzieści kilometrów na północ od Hiroszimy. Nad wzgórzami Hakome załoga Bregueta spotkała w powietrzu dwa samoloty japońskie, wysłane na powitanie Polaków przez redakcję jednego z dzienników tokijskich. O godzinie 16.10 Orliński dostrzegł lotnisko wypełnione tłumami publiczności. Przypuszczając, że jest to lotnisko docelowe, wylądował na nim. Na ziemi okazało się, że to nieporozumienie. Natychmiast więc wystartował, aby o godzinie 16.30 lądować na tokijskim lotnisku Tokorozawa, kończąc pomyślnie pierwszą część gigantycznego rajdu.

Tutaj powitanie przekroczyło wyobraźnię Polaków. Tłumy Japończyków wiwatujących na cześć polskich lotników i Polski, okrzyki, przemówienia, polskie flagi, transparenty, jednym słowem wspaniała oprawa zakończenia trudnego lotu. Zarzucano załogę Bregueta chryzantemami — kwiatami przyjaźni, a potem napływały liczne telegramy gratulacyjne z Polski i niemal całej Europy, nawet konstruktor samolotu Louis Breguet przysłał telegram gratulacyjny z Francji.

Sukces por. pil. Bolesława Orlińskiego i sierż. -mech. Leonarda Kubiaka był niewątpliwy. Mimo uszkodzonego śmigła przelecieli trasę 10.300 kilometrów w 60 godzin i 17 minut, gdy tymczasem lotnicy japońscy: Abe i Kawachi, lecący tą samą trasą, też na Breguecie XIX, pokonali ją w 71 godzin i 33 minut, a znany z rekordowych przelotów lotnik francuski Pelletier d'Oisy nie ukończył lotu, powracając do Paryża pociągiem. Jednak największy podziw Japończyków wzbudziło przelecenie przez Orlińskiego Morza Japońskiego w najszerszym miejscu, bez lądowania, czego dotychczas nie udało się uczynić żadnemu pilotowi japońskiemu i europejskiemu.

Z JAPONII

Największym wyróżnieniem lotników polskich, było przyjęcie ich na audiencji u cesarza Japonii Mikado-Joshi-Hirohito, który odznaczył por. pil. Orlińskiego Orderem Wschodzącego Słońca IV klasy, a sierż. Kubiaka takimże orderem VII klasy. Ponadto nadano por. Orlińskiemu Złoty Medal Cesarskiego Towarzystwa Lotniczego.

Por. Orliński wystąpił też w audycji radia tokijskiego, czyniąc dobrą propagandę dla Polski i polskiego lotnictwa. Wzruszony gorącym przyjęciem i okazywaną sympatią dla Polski, tak zakończył swoje przemówienie radiowe:

„Jeszcze kilka lat temu Polska nie istniała na mapach Europy. Dzisiaj wysyła swoich lotników do dalekiej Japonii. Niech ten fakt świadczy o coraz większym rozkwicie mojej Ojczyzny, a to przyświeca nam, jako cel naszego lotu do Japonii. Raz jeszcze pozdrawiam od narodu polskiego wielki naród japoński, któremu życzymy najwspanialszego rozkwitu. Banzaj".

Pięć dni trwały spotkania, przyjęcia i uroczystości na cześć lotników polskich. Nadszedł wreszcie dzień powrotu do kraju. 10 września 1926 r. Kubiak wraz z mechanikami japońskimi przygotowywał maszynę do lotu, który miał nastąpić następnego dnia.

11 września na lotnisku Tokorozawa zebrały się tłumy Japończyków, przedstawiciele władz japońskich i lotnictwa japońskiego oraz przedstawiciele ambasady polskiej w Tokio, aby pożegnać bohaterską załogę Bregueta. Wśród okrzyków i wiwatów samolot wystartował, biorąc kurs na Heidżio. Fatalne warunki atmosferyczne sprawiły, że po jedenastu godzinach lotu Polacy musieli lądować w odległej zaledwie pięćset kilometrów od Tokio, Osace. Przez cały następny dzień lotnicy oczekiwali na poprawę pogody, ale prognozy meteorologiczne na 13 września nie były zachęcające. Mimo to por. Orliński postanowił lecieć.

POWRÓT Z PRZESZKODAMI

Gdy samolot znalazł się nad morzem, rozszalał się huraganowy wicher połączony z ulewnym deszczem, a ciemne, niskie chmury zmuszały pilota do lotu nad wzburzonymi falami. Orliński, trzymając oburącz drążek sterowy walczył z żywiołem, odparowując nagłe, silne uderzenia wiatru o samolot, to wzbijał się w górę albo zniżał lot, ale wszędzie napotykał warunki burzowe niesamowicie rzucające maszyną. Walcząc z rozszalałym żywiołem mylnie określił swoje położenie i zamiast lecieć ku lądowi, coraz wyraźniej oddalał się nad pełne morze. Trudno wyobrazić sobie pilota nad pełnym morzem z ograniczonym zapasem paliwa, który nie wie, w jakim kierunku szukać lądu. Wreszcie pośród rozrzedzonych chmur dostrzegł w dole małą, skalistą wysepkę. Bezskutecznie szukał jej na swojej mapie, która nie obejmowała tego rejonu.

Kubiak widząc zakłopotanie pilota, wychylającego się z kabiny na wszystkie strony, zrozumiał, że Orliński zgubił kurs i zbłądził. Uderzył ręką po sterze, dając pilotowi znak, że chce pomóc. Podał Orlińskiemu małą mapkę, wydartą z jakiegoś atlasu geograficznego, którą przezornie zabrał z domu. W normalnych warunkach żaden z pilotów nie potraktowałby tej mapki poważnie, ale w obliczu niebezpieczeństwa Orliński chętnie z niej skorzystał. Mechanik pokazał na mapce mały czarny punkcik, na który nikt by nie zwrócił uwagi. Okazało się, że ta mała kropeczka była właśnie wysepką, nad którą przed chwilą przelecieli. Orliński natychmiast zawrócił pod wiatr i po godzinie lotu z ulgą dostrzegł wąski pasek lądu.

Pogoda nadal była fatalna, ale po dziesięciu godzinach lotu pełnego grozy, Orliński szczęśliwie wylądował w pobliżu stacji kolejowej Heiko.

Po wylądowaniu w Heiko sierż. Kubiak przystąpił do przeglądu silnika, stwierdzając uszkodzenie rurki doprowadzającej oliwę ze zbiornika. Domyślał się, że uszkodzenie to spowodował któryś z japońskich mechaników przez nadgorliwość przy przeglądzie silnika w Tokio. Niemożność naprawienia rurki przez Kubiaka w warunkach polowych stała się utrapieniem załogi aż do samej Warszawy. Oliwa nieprzerwanie wyciekała.

SPADA CIŚNIENIE OLEJU

Następnego dnia, po uzupełnieniu paliwa, por. Orliński wystartował o godzinie 15 do Heidżio, lecąc w towarzystwie dwóch samolotów japońskich. Lot trwał zaledwie czterdzieści minut. Mimo kłopotów z silnikiem, gubiącym olej, por. Orliński zaryzykował przelot do Czity. W czasie lotu pilot z niepokojem obserwował ciśnieniomierz oleju, którego wskazówka powoli, ale intensywnie spadała do zera. Dostrzegł w dole małą stacyjkę kolejową, położoną na rozległym stepie, a przy niej około trzydziestu domków. Nie miał trudności z lądowaniem, po którym dokołował do jednego z domków. Kubiak natychmiast zabrał się do naprawienia uszkodzonego przewodu olejowego i wkrótce naprawił go prowizorycznie. Samolot był gotowy do lotu, ale miał pusty zbiornik oleju, więc por. Orliński poszedł na stację kolejową nadać depeszę do Czity, prosząc o dostarczenie oleju. Dopiero wieczorem otrzymał odpowiedź, że mechanicy z materiałami pędnymi wyjadą do Byrki, w której znajdował się Orliński, drezyną. Polacy ułożyli się do snu, wiedząc, że drezyna nie przyjedzie wcześniej, jak nazajutrz, ponieważ odległość między Czitą, a Byrką wynosiła około 260 kilometrów.

TRĄBA POWIETRZNA NAD BYRKĄ

Po przespanej nocy Orliński wybrał się na spacer w okolice Byrki, idąc wzdłuż toru kolejowego. Kiedy na stepie panowała cisza, nad Byrką przeszła trąba powietrzna. To, co pilot zobaczył po powrocie ze spaceru, przekraczało ludzką wyobraźnię, a relację z przebiegu katastrofy zdawał porucznikowi Kubiak. Breguet był ustawiony pod wiatr i nie zakotwiczony. Najpierw porywisty wicher podniósł do góry ogon samolotu i tocząc go do tyłu rzucił go na płot, na którym zawisł. Lewe dolne skrzydło było strzaskane, pęknięte śmigło i poważnie zdeformowana osłona silnika. Polacy byli zrozpaczeni i nie chcieli uwierzyć, aby tutaj w Byrce zakończył się ich wspaniały rajd. Postanowili za wszelką cenę naprawić samolot i kontynuować lot do Polski, od której dzieliło ich jeszcze sześć tysięcy kilometrów.

Kubiak zabrał się do pracy. Najpierw amputował zniszczoną część skrzydła, tuż przy rozpórkach, a kobiety tubylczego plemienia Buriatów zeszyły płótno na skróconym płacie. Potem, dla równowagi, mechanik zdarł płótno prawego dolnego płata na takiej samej długości, tak, że żebra i dźwigary sterczały na zewnątrz. Z trudem udało się wyprostować pogniecione blachy osłony silnika. Natomiast w szczelinę pękniętego śmigła nalał kleju stolarskiego i odrutował pękniętą łopatę śmigła, wzmacniając ją w ten sposób, choć nie był pewien, czy wskutek obciążenia tej łopaty drutem, podczas lotu śmigło nie urwie się wraz z piastą wału korbowego, bo 450 koni mechanicznych w silniku, to nie żarty! Breguet utracił 4 m kw. powierzchni nośnej. Załogę niepokoiło jeszcze, czy przy uderzeniu w płot nie skrzywił się wał korbowy albo czy nie ma ukrytego uszkodzenia w górnym skrzydle, które w czasie lotu mogłoby się rozsypać. Na dobitek wszystkiego Kubiak znalazł w filtrze olejowym garść metalowych opiłków, co bardzo zmartwiło Orlińskiego.

Po naprawieniu widocznych uszkodzeń załoga zajęła miejsca w samolocie, aby dokonać próbnego oblotu nad Byrką. Por. Orliński ujął ster w ręce z mieszanymi uczuciami. Zastanawiał się czy samolot ze skróconymi skrzydłami w ogóle oderwie się od ziemi? Podczas próby silnik dawał tylko 1.300 obrotów zamiast 1.400. Z podobnym silnikiem nie wystartowałby z Warszawy, ale tutaj nie miał wyboru. Ostrożnie wystartował przy porywistym przeciwnym wietrze i wzbił się nad Byrkę, wykonał rundę nad osadą, a widząc, że maszyna leci, wziął kurs do Czity, gdzie wylądował po półtorej godzinie lotu. Tam otrzymał depeszę z Polski o awansowaniu na kapitana. Do Polski jeszcze daleko: Irkuck — Krasnojarsk — Omsk — Kazań — Moskwa — Warszawa.

LOT NA ZDEZELOWANYM SAMOLOCIE

Wbrew zdrowemu rozsądkowi załoga Bregueta kontynuowała lot z rozregulowanymi linkami nośnymi i obluzowanymi okuciami skrzydłowymi. Zaś silnik dławił się i krztusił przerywając pracę w burzliwym powietrzu Zdawało się, że silna wibracja silnika wyłamie go z ramy. **Lądowanie w stolicy Polski nastąpiło 25 września 1926 r.** *Przy podchodzeniu do lądowania* silnik odmówił posłuszeństwa i zgasł zupełnie. Tłumy mieszkańców stolicy wiwatowały na cześć bohaterskiej załogi: kpt. pil. Bolesława Orlińskiego i sierż. mech. Leonarda Kubiaka, która w warunkach budzących podziw całego świata przeleciała 22.600 kilometrów w 121 godzin, kończąc pomyślnie wspaniały **rajd Warszawa — Tokio — Warszawa.** Władze francuskie nadały kpt. pil. Bolesławowi Orlińskiemu Order Legii Honorowej. Wyczyn Orlińskiego i Kubiaka odbił się głośnym echem na całym świecie i do dnia dzisiejszego budzi podziw wśród braci lotniczej całego świata.

PO RAJDZIE

. **Kpt. pil. Bolesław Orliński** był najlepszym polskim akrobatą lotniczym, jeszcze jako porucznik 11 pułku myśliwskiego zademonstrował swoją wytrzymałość wykonaniem w powietrzu 242 pętli pod rząd, czego nie dokonał żaden lotnik świata do dnia dzisiejszego. W 1929 roku zwolnił się z czynnej służby wojskowej, przechodząc jako pilot komunikacyjny w linii lotniczej Franco — Romaine CIDNA oraz w „Aerolocie". **Jesienią 1929 roku** został głównym pilotem oblatywaczem w Państwowych Zakładach Lotniczych (PZL) w Warszawie, oblatując do 1 września 1939 roku niemal wszystkie polskie konstrukcje samolotów wojskowych, od myśliwców do bombowców i samolotów rozpoznawczych. Występował w licznych zawodach i mityngach lotniczych, ale największym jego osiągnięciem było zwycięstwo w mityngu akrobacyjnym zorganizowanym w roku 1931 w Cleveland (USA), gdzie zmierzył się z najlepszymi asami akrobacji lotniczej, takimi, jak Udet, Bernardi i Wiliams. Nie tylko, że im dorównał, lecz znacznie przewyższał swoimi umiejętnościami. To, co zaprezentował w Cleveland na samolocie polskiej konstrukcji PZL P-6 określono jako wyczyn przekraczający ludzkie możliwości. Mimo wielkiej popularności akrobaty, najbardziej sławnym był z przelotu Warszawa — Tokio, dokonanego w 1926 roku.

Mimo poważnego wieku **brał udział w II wojnie światowej.** Wraz z innymi lotnikami przez Rumunię i Francję dostał się do Anglii, gdzie początkowo latał jako zwykły pilot w 305 Dywizjonie Lekkim Bombowym Ziemi Wielkopolskiej, a potem był dowódcą eskadry słynnych „Mosquito", biorąc udział we wszystkich ryzykownych akcjach tego dywizjonu. Jego samolot wielokrotnie był uszkodzony przez niemiecką artylerię przeciwlotniczą, ale płk pil. Bolesław Orliński zawsze szczęśliwie powracał do bazy na wyspach brytyjskich Od 1 sierpnia 1944 roku do 31 stycznia 1945 roku był dowódcą tegoż dywizjonu, nie rezygnując z lotów bojowych, w których zawsze służył przykładem jako wspaniały lotnik i dowódca. Do posiadanych już orderów i odznaczeń, w II wojnie światowej zdobył jeszcze Srebrny Krzyż Orderu Virtuti Militari. Po zakończeniu wojny i demobilizacji osiedlił się na stałe w Toronto (Kanada).

Posąg Bogini Miłosierdzia w Nara (Japonia)

1 Zdarzenia i zwierzenia

Poeta w sutannie

Antoni Szandlerowski. Nie znajdziemy tego nazwiska w ogólnie dostępnych encyklopediach i słownikach pisarzy. Wierszy Szandlerowskiego nie znajdziemy w licznych antologiach poetów polskich XX wieku... Jedynie Mieczysław Jastrun — może przez sentyment do rodzinnej Łodzi — umieścił dwa wiersze łódzkiego księdza w swoim zbiorze poetów Młodej Polski. Ale nawet Jastrun w eseju o Młodej Polsce pomija twórczość Szandlerowskiego — nie chwaląc jej, ani nie ganiąc — po prostu przemilczając.

Trzeba dopiero sięgnąć do studium Wilhelma Feldmana z początków stulecia, aby znaleźć nazwisko Szandlerowskiego i przeczytać entuzjastyczną ocenę jego wierszy. Oczywiście i ocena, i wiersze były typowe dla epoki.

Edward Kozikowski, przypominając po latach w swojej książce „Łódź i pióro" sylwetkę Szandlerowskiego, przytacza ową feldmanową recenzję. „Erotyki ze zbioru «Confiteor» — czytamy — należą do najbezpośredniejszych wyrazów ekstaz w języku polskim. W ich rytmie niezwykłym jest pulsacja żywej krwi, jest prężność, lotność; jest człowiek, który dopiero po ciężkim pasowaniu się z sobą — dochodzi do syntezy, że ziemska miłość jest objawieniem wszystkiej piękności, co tkwi we wszechświecie...".

Taka pochwała miłości ziemskiej byłaby rzeczą normalną, gdyby autorem owych erotyków nie był ksiądz. I zważmy, że był to zaledwie początek XX wieku.

Dziś wiersze Antoniego Szandlerowskiego przysypał Czas, jego dzieło zostało zapomniane, tak jak dzieła wielu poetów tamtej epoki — bardzo pięknej, ale też bardzo szybko umarłej epoki.

Władze kościelne nie pozostały obojętne na zdecydowanie świecką i grzeszną twórczość księdza Szandlerowskiego. Zwłaszcza, że Beatrycze łódzkiego Petrarki nie była wytworem poetyckiej wyobraźni, lecz żywą kobietą, nazwiskiem Helena Beatus. Miłość do niej była wielką, osobistą tragedią Szandlerowskiego. Nie dawała się pogodzić z kanonicznym obowiązkiem celibatu, a wyrzec się jej nie chciał Szandlerowski, ani jako ksiądz, ani jako poeta.

W poetyckich listach do ukochanej, opublikowanych w zbiorze „Confiteor", czytamy: „Zawsze czekałem tej chwili, tej tylko, bo odtąd już wiem wszystko, czuję wszystko i przeżyłem wszystko. Zdobyłem, jestem. Już jesteśmy u celu — reszta to tylko przypadek, bo w tej chwili najwyższy triumf naszej woli, naszej miłości, która złamała wszystko, przemogła — stanęła wielka i dumna".

Literacka plotka głosi, że po wydaniu zbioru „Confiteor" władze kościelne wykupiły cały nakład i zniszczyły większość egzemplarzy. Dziś są one rzadkością bibliofilską.

No i zaczęła się dla księdza Szandlerowskiego wędrówka z miejsca na miejsce. Najpierw karnie opuścił Łódź w 1905 roku — przeniesiony do Goszczyna koło Grójca. Zniósł tę zsyłkę ze stoicyzmem. Potem, z Goszczyna przeniesiono go do Mąkolic koło Piotrkowa, potem do Kampinosu, potem do wsi Pustelnik, wreszcie do Grochowa, gdzie zmarł w roku 1911. Jego grób znajduje się na warszawskich Powązkach, jego wiersze przysypał Czas.

JERZY WILMAŃSKI

2 Lewym okiem

Kto wytłumaczy?

Nigdy tego nie zrozumiem. W „Polityce" z 16 kwietnia pisze Stanisław Grużewski, że „gwałtowne zmniejszenie importu z krajów kapitalistycznych doprowadziło do zamrożenia potencjału produkcyjnego, szacowanego dziś na około 40 proc. mocy przemysłu przetwórczego".

Czterdzieści procent potencjału leży martwym bykiem. No to jak zrozumieć podnoszone ze wszystkich stron alarmy o braku ludzi do pracy? Jeżeli prawie połowa przemysłu nie pracuje, to czy koło jednej maszyny tańcuje dwóch pracowników i wielkim głosem wołają o trzeciego? Jeżeli w sklepach z artykułami przemysłowymi naprawdę nie ma nic, jeżeli pytam o pidżamę dla siebie we wszystkich województwach po kolei i od roku śmiertelnie znudzone sprzedawczynie odpowiadają mi wymownym uśmiechem, jeżeli nie ma ubrań, koszul, rajstop, kalesonów, gwoździ, zawiasów, tapet, nici, firanek, mebli i miliona innych rzeczy — to co u Boga ojca robią ci ludzie, którzy przedtem to wszystko produkowali? Niechże jakiś uczony ekonomista wyjaśni, dlaczego do nierobienia niczego z braku surowców potrzeba więcej ludzi, niż do ciągłej produkcji na trzy zmiany!

Czytaliśmy prawdziwy horror o kradzieżach na kolei i o tym, że zapijaczonych złodziei nie można zwolnić, bo nie ma ludzi do pracy. Czytamy o poczcie, że nie ma kto doręczać przesyłek, i o szpitalach, że nie ma kto zamiatać. Połowa autobusów i wozów tramwajowych stoi nieczynna z braku części, a wciąż nie ma kto obsłużyć pozostałej czynnej połowy. Jak to zrozumieć?

Kryzys taki jak u nas: brak surowców, brak kapitałów, brak wymiany międzynarodowej — w każdym innym kraju spowodowałby przede wszystkim katastrofalne bezrobocie. Prawda, przesunięto na emerytury i renty wielką liczbę pracowników, którzy mogli jeszcze pracować. Ale nieprawda, że renty spowodowały brak rąk do pracy. Docent doktor habilitowany Michał Wiśniewski, kierownik Zakładu Warunków Bytu w Instytucie Pracy i Spraw Socjalnych, stwierdził („Polityka" z 19 lutego br.): „Wskaźnik ilustrujący stosunek liczby emerytów do liczby aktywnych zawodowo mamy **jeden z najniższych w Europie**". Proszę bardzo! Francja ma więcej emerytów, ma pracujący pełną parą przemysł, a oprócz tego ma jeszcze bezrobotnych. Więc jeszcze raz: jak zrozumieć naszą sytuację?

Emerytki stanowią większość w sklepowych kolejkach. Emeryci siadują grupkami po łódzkich kawiarniach i to jest normalka. Sam też siaduję. Ale oprócz emerytów kawiarnie od samego rana pełne są młodych rozwrzeszczanych ludzi. Nie młodzieży, nie. To są ludzie pod trzydziestkę. Cała kawiarnia jest ich. Przechodzą od stolika do stolika, sami znajomi, całe gangi. Rozmowa na całą salę — a jakie słowa! Już nie ma gdzie iść, żeby od tego uciec. Nie ma gdzie. Jeden lokal po drugim przeradza się w jakiś dworcowy westybul, w miejsce spotkań — czyje? Kto to jest, te rzucające pieniędzmi brodate a łyse typy w połatanych dżinsach i skórzanych kurtkach? Kto to jest — margines? To my — normalni, spokojni ludzie jesteśmy zepchnięci na margines i przepraszamy, że żyjemy.

A niedawno przeczytałem jeszcze jeden horror — w „Przeglądzie Tygodniowym" z 10 kwietnia. Jerzy Sławomir Mac pisze tam o naukowej obsłudze problematyki dróg i mostów w naszym kraju. Kto chce się zdenerwować, niech to przeczyta. Tu wyliczę tylko za redaktorem Macem kto prowadzi prace badawcze w zakresie dróg:

1. Zarząd Autostrad (ponieważ nie miał czym zarządzać, więc właśnie nadano mu 1. V. 1982 r. charakter jednostki studialno-planistycznej i istnieje sobie nadal),

2. Biuro Programu Autostrady Północ-Południe (tej autostrady też jeszcze nie ma, a dlaczego studiami nad nią zajmuje się osobne Biuro, a nie to z punktu pierwszego — nie wiadomo),

3. Instytut Badawczy Dróg i Mostów,

4. Centralne Biuro Projektowo-Badawcze Dróg i Mostów,

5. Trzy rejonowe Biura Projektowo-Badawcze Dróg i Mostów w Poznaniu, Gdańsku i Krakowie,

6. Siedemnaście okręgowych pracowni projektowo-studialnych przy Dyrekcjach Okręgowych Dróg Publicznych,

7. Zespół Rozwoju Sieci Drogowej przy Centralnym Zarządzie Dróg Publicznych.

8. Zakład Studiów i Programowania przy Centralnym Ośrodku Informatyki Drogownictwa,

9. Trzy Instytuty Budowy Dróg i Mostów przy trzech politechnikach... — ojejej, dosyć, dosyć! Razem **dwadzieścia dziewięć** jednostek badawczych, **dwadzieścia dziewięć** — a w każdej doktorzy, docenci i asystenci. Tego by Lejzorek Rojtszwaniec nie wymyślił, nie mówiąc o Parkinsonie.

I znów nie rozumiem: jeśli w każdej branży „infrastruktura" naukowa była i jest nadal tak niesłychanie rozdęta, to dlaczego na wszystko kupowaliśmy licencję za dolary? Kto mi to wytłumaczy?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Spojrzenie znad szachownicy

Co by tu sobie zmienić?

Od dłuższego już czasu zastanawiam się całkiem poważnie, co by tu sobie — bądź w sobie — zmienić. Zmiana żony jest kłopotliwa i nie zawsze przynosi pozytywne efekty, łatwo, jak to się mówi, trafić z deszczu pod rynnę.

Zmiany redakcji próbowałem w roku minionym aż trzykrotnie i nie dało mi to, prawdę powiedziawszy, pełni szczęścia. W każdej kłopoty, choć nie w każdej, rzecz zrozumiała, dokładnie takie same.

W rezultacie wyszło mi, że najrozsądniej byłoby zmienić sobie charakter. Oczywiście na gorszy, bo ludziom ze złym charakterem jakby trochę łatwiej w życiu. Mamy zresztą kryzys, nawis inflacyjny i nie wiadomo, czy dobre charaktery nie zostaną koniec końców progresywnie opodatkowane. Z moim poszedłbym natychmiast z torbami, choć małżonka — którą zaszczytnie wymieniłem w pierwszym już akapicie — nie jest tego aż tak zupełnie pewna.

Człowiek jednak trochę czyta, co prawda wyłącznie w chwilach wolnych od poważniejszych zadań, no i wyczytałem gdzieś tam, może i w „Odgłosach" nawet, że na Zachodzie okropnie modna jest zmiana płci. Idziemy do chirurga, płacimy co należy i wychodzimy, dajmy na to, jako kobieta. A jeżeli stać nas do tego na operację plastyczną — nawet jako piękna kobieta.

2.

Być piękną kobietą to przesada, nie mam forsy na figielki, nadto absolutnie nie jestem przyzwyczajony do męskich hołdów. Czy jednak jako brzydka kobieta nie byłbym mimo wszystko szczęśliwszy?

Przede wszystkim: szachy. Z braku treningu dawno już wyszedłem z obiegu jako tak zwany senior, ale jako seniorka mógłbym sobie jeszcze trochę powalczyć. Przepraszam: mogłabym sobie jeszcze trochę powalczyć; wprowadzam tę drobną poprawkę po prostu po to, iżby się do stosownej formy gramatycznej powolutku przyzwyczajać.

Co do funkcji w redakcji, to nie wiem, czy spełniałabym ją akurat lepiej, ale jako jedyna baba we wszystkich kierownictwach wszystkich łódzkich gazet miałabym jednak jakąś uprzywilejowaną pozycję.

No a recenzentką byłabym z pewnością surowszą — więc w rezultacie wyżej cenioną — niż recenzentem.

Kiedy człowiek patrzy na ładną artystkę mającą najwyraźniej dwie lewe nogi i tak zwane kluski w gębie, robi mu się biduli żal. Mogłaby dziewczyna korzystnie wyjść za mąż, a męczy się tu oto dla nas na scenie, choć co prawda my męczymy się razem z nią. W rezultacie recenzent w portkach pisze ni sio, ni owo, o urodzie, albo o pogodzie nawet. Tymczasem każdy, kto wie, jak ogromnie kobiety uwielbiają ładniejsze od siebie koleżanki, nie będzie chyba miał wątpliwości, że jako recenzentka nie miałabym ani litości, ani wyrzutów sumienia.

Z aktorami, powiedzmy to otwarcie, bywa podobnie. Jeden z drugim nie umie tekstu, mamroce więc coś pod nosem, iżby suflera nie zagłuszyć, ale może mieć przecież, nieszczęśnik, kaca, a czy my — mężczyźni — nie wiemy, co to kac?

Żona nie ma takich oporów i nigdy niemal nie odmówi sobie przyjemności, iżby skacowanego małżonka zatłamsić i wdeptać — że się tak szumnie wyrażę — w błoto wstydu, wypominając mu nie tylko miniony wieczór, ale skrupulatnie omawiając całokształt działalności.

Czy jako recenzentka miałabym być łagodniejsza? Oczywiście, że nie dołożyłabym takiemu skacowanemu do wiwatu.

Domyślam się i innych korzyści, których tu nie wymienię, pozostaje jednak kłopotliwy problem podpisu.

3.

P. to „P" duże, z tym najmniejsza sprawa, ale co zrobić z imieniem, do którego już się przez te wszystkie lata przyzwyczaiłem?

Zwracam się tu z prośbą o łaskawą pomoc do PT Ortografów i Lingwistów, ponieważ problem przerasta poziom mojego wykształcenia i za całe Chiny (ani nawet za ogródek działkowy, którego mimo zapalenia całego mnóstwa zielonych świateł, ani ja, ani inni koledzy dziennikarze nie możemy dostać, mimo iż Wydawca szczodrze chce sypnąć gotówką); otóż za całe Chiny z ich wszystkimi ogródkami sam sobie z tą kwestią nie poradzę.

„JERZY", a więc jak?

„JERZA" jakby trochę głupio, wygląda na zwykły błąd korektorski. Więc może „JERZYNA"? Trochę jak „jarzyna", co gorsza — o ile mnie pamięć nie myli — prawdziwa „jeżyna" pisze się przez „ż".

„JERZOWA"? Znów to samo. „Jerzowa' to żona jeża, wypadałoby to przeto także przez „ż" pisać. Nie chcę być przez „ż", chcę zmienić charakter i pozycję towarzyską poprzez banalną zmianę płci, ale nie chcę zmieniać sobie pisowni.

Ludzie, pomóżcie! Sfrustrowany, zniechęcony, z głową w chmurach (a nogami — najprawdopodobniej — rynsztoku), podpisuję się więc tylko samymi już literkami.

J. P.

4 Telewizja

Dziura

Bez okularów można dostrzec, przypatrując się obszarom naszej kultury, że — jak mówi poeta — „pomiędzy możnością a istnieniem, pomiędzy zamiarem a czynem kładzie się cień". Czyli — pozostawiając na boku ów cytat — pomiędzy supermeczem łódzko-turyńskim, któremu tylko na stadionie przyglądało się 50 tysięcy widzów, a spektaklem „Umarłej klasy" Tadeusza Kantora, oglądanym przez stu wtajemniczonych (mnożenie przez ilość przedstawień nie zmienia postaci rzeczy) rozciąga się bardzo rozległy teren, zaledwie po części zagospodarowany, jałowiejący bądź doglądany od przypadku do przypadku.

Szczycimy się międzynarodowymi sukcesami Pendereckiego i Zimmermana, Grotowskiego i Tomaszewskiego; Gombrowicza i Różewicza, a tu w kraju borykamy się z pustką księgarń, repertuarowymi niedostatkami kin i teatrów. Model kultury budowany przez lata całe, który miał godzić i równoważyć proporcję między egalitaryzmem a elitaryzmem, między potrzebami konsumpcyjno-rozrywkowymi (każdemu wedle potrzeb) a dyrektywami edukacyjnymi, a więc model ten, choć wciąż w polityce kulturalnej obowiązuje, to w praktyce, w realizacjach zaczyna się chwiać. Pogłębiają się przedziały między różnymi poziomami kultury, a niektóre z nich — zwłaszcza te średnie — utrzymują się z widocznym trudem lub wręcz zanikają.

Główną przyczynę takiej bessy upatrywać można w kryzysowych determinantach gospodarczo-ekonomicznych, choć niepoślednią a negatywną rolę odegrały tu — by tak rzec — świadomościowe imponderabilia, charakterystyczne nie tylko — co podkreślam — dla pogrudniowego ładu. Minowały one ów model już poprzednio, żeby wspomnieć tylko tzw. kongres kultury polskiej, pomijając już wcześniejsze erozyjne hasła i działania ideologów „samorządności" i późniejsze bojkoty. Krytyka mecenatu państwa, związków zawodowych i innych instytucji, mrzonki o samofinansowaniu kultury bywały koniunkturalną gadaniną o destrukcyjnych skutkach, aby posłużyć się tylko ówczesną sytuacją domów kultury.

Takie — całkiem niefelietonowe — konsultacje zainspirował — tu się czytelniku zdziwisz! — jubileusz telewizyjnego „Studia 2". Jakkolwiek by przecież nie traktować telewizji, jest ten środek przekazu najpotężniejszym, bo dostępnym dla każdego, wehikułem kultury, umożliwiającym — pośrednio lub bezpośrednio — prawdziwie demokratyczne w niej uczestnictwo. I na nic się zdadzą wzgardliwe wzruszenia ramion kulturowych snobów, ani powiedzonka o „gumie do żucia dla oczu", ani wezwania do wieczornych spacerów. W sytuacji utrudnionego dostępu do innych form kultury — przyczyny i skutki są na ogół znane — telewizja może i powinna starać się, aby w sposób kompetentny, atrakcyjny i godziwy wypełnić ów obszar „pomiędzy", o którym pisałem na początku. Nie może tak być, aby codzienne uczestnictwo w w kulturze wypełniały z jednej strony widowiska z kontratakującymi imperiami i bruce'ami lee, rockowiska i mecze, na których trepanuje się czaszkę sędziemu, a z drugiej strony spotkania baletowe, dostępne dla tych, których stać na karnet za tysiąc złotych. I nie idzie tu rzecz o prymitywną homogenizację — zresztą żeby homogenizować, trzeba mieć odpowiednie składniki — ale o takie założenia programów, w których prezentowano by możliwie wszechstronny zakres współczesnej kultury i sztuki, bez dziur, dzikich pól z byle jakimi harcownikami, miejsc wypełnianych wciąż tymi samymi teledyskami.

Niegdysiejsze „Studio-2" było bliskie ideału: starania o, w miarę wysoki, poziom tak artystyczny, jak i warsztatowy poszczególnych audycji szły w parze z rozmaitością i atrakcyjnością ich prezentacji. Ten blok programowy, emitowany rzadziej, ale za to w jedynce, nie tylko odtwarzał to, co dobre w kinie, teatrze i muzyce, ale i sam tworzył. Stał się swoistą instytucją upowszechniającą wzorce z rozmaitych poziomów kultury: od kultury języka po kulturę prawa, od popularnych programów oświatowo-edukacyjnych po rejony publicystyki politycznej, od atrakcyjnego serialu po kino o artystycznych ambicjach. A muzyka? Też zakres wypełniony programami, w których było miejsce i dla ABBY, i dla muzyki symfonicznej w najlepszym wykonaniu, dla muzykującego amatora i dla wybitnego profesjonalisty.

Dlatego też bez specjalnego zainteresowania przypatrywałem się wysiłkom Aldony Dmochowskiej, gospodyni jubileuszowej uroczystości. Dziś z tamtego „Studia 2" pozostało opakowanie. Nie o tę audycję tylko chodzi. „Studio-2" traktuję jako pretekst, tym poręczniejszy, iż na jego przykładzie najwyraźniej ujawniają się programowe perturbacje TvP.

W zespole wysiłków, które tu i ówdzie są widoczne, na rzecz rekonstrukcji i rewaloryzacji powszechnie dostępnych wartości kulturowych i instytucji, które je wytwarzają sprawa telewizji winna zająć poczesne miejsce.

GRZEGORZ GAZDA

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (z-ca sekretarza redakcji), **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański Glanc** (grafik), **Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99 publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch". Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90-103, Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1125 L-2.

ABBA w oazie seksu

ANDRZEJ JÓŹWIAK

1.

Hamburg. Jedenasta wieczorem. Sankt-Pauli — popularna w całej Europie dzielnica rozrywki i seksu. Niektórzy uważają ją wyłącznie za oazę rozpusty, chociaż wydaje mi się, że ta dzielnica czerwonych świateł — a w zasadzie agresywnych, atakujących różnokolorowych neonów — jest wyłącznie atrakcją dla turystów.

Główna ulica to Reeperbahn biegnąca od stacji U-bahnu (metra) i sięgająca odchodzącymi od niej — jak macki wielokolorowej ośmiornicy — uliczkami aż do nadbrzeża portowego położonego nad północną Łabą i zwanego St. Pauli Hafenstrasse. Ulica ta naszpikowana jest kabaretami, kinami porno, lokalami z damską obsługą, night-clubami, tingel-tanglami, jak również i zwykłymi burdelami, gdzie mocno obnażone, a częstokroć zupełnie nagie dziewczęta wystawiają swe wdzięki na publiczny widok.

— ..a ja byłam na ślubie Bobby Farrela z Boney M. Specjalnie pojechałam z Sandrą do Skopje. To jest w Jugosławii, wiesz?

Oczywiście wiedziałem, ale nic nie było mnie w stanie zdziwić, od czasu gdy jeden z moich francuskich znajomych przysłał mi kasety z nagraniami „Duran Duran", „Madness" oraz Elkie Brooks i dołączył krótki liścik „... i nie będzie mnie w Paryżu przez dwa miesiące. Jadę do San Francisco (to jest miasto w USA)...".

— ...Bobby Farrel miał jugosłowiańską narzeczoną Jasmin. Poznał ją w Wiedniu, ale wesele było w Skopje. Na ulicach tłumy. Nie mogliśmy dojechać do meczetu. Chyba było ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi...

— Eee... chyba więcej... a ta Jasmin była cała zawoalowana aż po oczy, bo to był ślub według mahometańskiej tradycji...

Sandra, Gloria i Klaus-Werner. Młodzi. Ufni. Rozkrzyczani. Przed nimi trzy dni Wochenende. Piątkowy wieczór na prośbę kolegi z hamburskiego „Tourneeleitungen und Management Veranstaltungen" poświęcają mnie. Przekraczamy żelazną bramę, gdyż na Reeperbahn podobno mają kręcić film z ABBĄ.

I rzeczywiście między umieszczonymi po przeciwnych stronach ulicy klubami „Mehrer" i „Regina", aż do „Moulin Rouge" (tak, tak) są już ustawiane urządzenia dźwiękowe, kamery, reflektory, wózki, szyny. Tłumy pracowników technicznych rozwijają kable, ustawiają dźwig, podłączają agregaty, no a przede wszystkim tarasują ruch i zakłócają normalne życie ulicy.

— Słuchajcie, a w którym meczecie był ślub Farrela? Mustafa Paszy, czy też w tym z pierwszej połowy piętnastego wieku z fundacji tureckiego sułtana Murata II? A może w cerkwi św. Spasa? — pytam i jest to mój mały rewanż za informację, że Skopje leży w Jugosławii. A może jest to przede wszystkim rewanż dla Michela za jego geograficzną ciekawostkę o San Francisco?

Młodzi ludzie wybuchają śmiechem. Po chwili śmiejemy się wszyscy...

2.

Film z Abbą — wieść błyskawicznie roznosi się po Reeperbahn. Wiadomość elektryzuje ulicę. Po kilkunastu minutach gęstnieje tłum, który chce obejrzeć popularnych Szwedów: Agnethę, Annafrid, Björna i Benny'ego. I nie ma się co dziwić, bo przecież czwórka Szwedów podbiła świat. Był moment w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy, używając terminologii sportowej, ABBA mogła grać przeciw reszcie świata.

ABBA miała nawet własny program w amerykańskiej telewizji, a film o światowym tournee z roku 1979 pokazała też... chińska TV. ABBA była pierwszą grupą pop-music demonstrowaną w Chinach. Zresztą znam krytyków, którzy do tej pory uważają, że The Beatles, Bee Gees i ABBA — to trzy szczyty powodzenia na rynku płytowym, szczyty, których dotąd nikt nie zdobył..

— O jadą, jadą — zrywa się okrzyk.

Jest to jednak próbny alarm. Ożywiony ociężkliwy tłum stale powiększa się. Oprócz statecznych, choć spragnionych wrażeń turystów, bogobojnych par małżeńskich z wypiekami na twarzy, obcokrajowców i wycieczek, które jeśli dziś piątek to właśnie, droga Betty, jesteśmy w Hamburgu, ściągają Książęta Nocy.

Naćpani narkomani, frustraci i kopulanci, teoretycy z kin porno, psychopatyczni mutanci, bubki eleganciki z szerokimi bioderkami — niektórzy w sukienkach i damskich bucikach na wysokich obcasach — posuwacze amatorzy, nocni kowboje, lesbijki, klozetowi podglądacze, ekshibicjoniści, kurwy cichodajki i te „niezależne" znad portowych kanałów. Książęta Nocy to mieszkańcy Nuttenmarkt (potoczna nazwa dzielnicy czerwonych latarni, lokali z pełną damską obsługą).

— O jadą, już jadą!!

Tym razem jest to samochód z ABBĄ, drugi wóz z jakimiś bardzo ważnymi facetami z niezłymi dziewczynami, a trzecie auto zapełniają młodzieńcy chyba o profesji Bruce'a Lee, którzy spełniają tu najprawdopodobniej rolę goryli z obstawy.

Gorączka piątkowej nocy. Cud zdarza się raz. Jeden wieczór szczęścia. ABBA na hamburskiej ulicy. I już policjanci usiłują zagonić tłum z powrotem na chodnik...

3.

Jak czwórka Szwedów podbiła świat? Kiedy?

Kwiecień 1974, angielskie kąpielisko morskie Brighton. Tutaj najwybitniejsi artyści całej Europy rywalizują o Grand Prix Eurowizji. Stuprocentową faworytką jest Angielka Olivia Newton-John. Otaczają ją setki fotografów i reporterów. Dla Olivii turniej Eurowizji okazał się jej Waterloo. Przegrała. Natomiast nieoczekiwanym zwycięzcą okazała się nikomu nie znana, no prawie nikomu nie znana szwedzka grupa wokalna ABBA. Piosenka „Waterloo" przynosi zespołowi ABBA szczęście, zwycięstwo i międzynarodową karierę.

Był to szósty kwietnia 1974 roku.

We wrześniu tego roku ABBA wyjeżdża na pierwsze występy do USA, w listopadzie odbywa się jej pierwsze tournee po Europie, no a oczywiście miesiąc po zwycięstwie w Brighton nagrany zostaje longplay pt. „Waterloo". Należy dodać, że jest to już druga płyta ABBY, bowiem pierwsza ukazała się w kwietniu 1973 roku pt. „Ring" (bez echa).

No a dzisiaj? Któż nie zna takich szlagierów jak np. „Honey, Honey", „So long", „S.O.S.", „Mamma Mia", „Fernando", „Dancing Queen", „Money Money" „Knowing me, Knowing you", „Summer Night City" „Chiquita", „I have a Dream", „Super Trouper" i wiele innych.

Największa popularność grupy to lata 1974—1980. Wówczas to czwórka sympatycznych, uzdolnionych Szwedów walczyła z resztą muzycznego świata.

W roku 1982 popularność ABBY spada. W kategorii albumów płytowych według pisma „Melody Maker" ABBA znajduje się na 25 miejscu, a na 14 miejscu w kategorii najpopularniejszych wykonawców. Ale należy dodać, że mogą być to notowania niepełne, bowiem album „ABBY" — The Visitors — ma ciągle jeszcze tendencje zwyżkujące. Również i w Polsce ABBA straciła trochę na popularności, chociaż jej wielki przebój „The Day Before You Came" długi czas utrzymywał się w czołówce

Björn, Annefrid, Agnetha i Benny w towarzystwie znanego dziennikarza amerykańskiej TV, Dicka Cavetta podczas nagrywania programu.

listy przebojów programu I PR, a w podsumowaniu roku 1982 znalazł się w drugiej dziesiątce zostawiając za sobą szlagiery takich wykonawców jak Paul McCartney i Stevie Wonder (Ebony and Ivory), Elton John, oraz Daryl Hall i John Qates.

Jeśli chodzi o moje aktualne upodobania muzyczne, to ABBA nie mieści się w nich. Ale niestety taka jest kolej rzeczy i rzadko zdarzają się muzyczni tytani tacy jak Ray Charles, Janis Joplin, Aretha Franklin, Jimi Hendrix czy Beatlesi, do których nagrań wraca się często, chętnie i ze wzruszeniem tak jak do ulubionych książek. Toż samo dotyczy Wielkich Ludzi Jazzu: Elli Fitzgerald, Louis Armstronga, Dinah Washington, Bassie Smith, Wild Bill Davisona, Billie Holiday.

No chyba nie może być nic lepszego niż mały koniak i słuchawki na uszach z muzyką wielkiego muzyka, śpiewaka i showmana Louis Armstronga (no lepszym może być tylko duży koniak i ta muzyka). Satchmo i jego All Stars z klarnecistą Barney Bigardem, puzonistą Trummy Youngiem, bądź Jackiem Teagardenem, pianistą Billy Kyle, basistą Arvel Shawem i perkusistą Barretem Deemsem lub Sid Catlettem i to cudowne bostońskie nagranie koncertu na płycie „Decca" z 1947 roku, za które oddam każdy album ABBY dokładając do tego jeszcze kilka singli Boney M i skrzypce tej ostatniej z Pro-Contry.

Zresztą, jeśli chodzi o pop-music to obecnie zwracam uwagę na nowe interesujące nagrania takich zespołów jak „Madness", „Duran Duran", „Human League", „Yazoo", „Soft Cell". Otrzymałem album tego ostatniego zespołu pt. „Non Stop Erotic Cabaret" oraz płytę zatytułowaną „Tropical Gangsters" w wykonaniu Kid Creole and the Coconuts. Jest to porcja znakomitej muzyki. Sądzę, że zarówno Soft Cell jak i ten drugi zespół zdobędą w najbliższym czasie uznanie polskich melomanów.

Karatecy otaczają błyszczący niebieski wóz. To Jetta D Formel E z motorem diesla. W mieście zużywa zaledwie 6 litrów na 100 km, na trasie 4,6 litra, natomiast prędkość 139 km/godz. osiąga w czasie dziesięciu sekund od startu. Benzynowce tego typu zużywają trochę więcej benzyny, natomiast są bardziej zrywne i szybsze.

Pierwsza wysiada z samochodu Agnetha, następnie Björn, Benny. Annefrid, jak się okazuje, siedzi w drugim samochodzie.

Agnetha ma na sobie niebieską sukienkę w podłużne, wąskie nieregularne czarne ciapki, Annefrid takąż samą suknię, ale w kolorze brązowym, Benny ubrany jest w czarny sportowy dres z czerwonymi lampasami na spodniach i z białymi napisami na bluzie. Björn jest w dżinsach i niebieskiej koszuli z krótkimi rękawami z wymalowanymi palmami, jakimiś egzotycznymi liśćmi. Są uśmiechnięci, sympatyczni, pozdrawiają tłum, a Benny asekurowany przez kopię Bruce'a Lee ściska kilka wyciągniętych dłoni, rozdaje kolorowe foldery z autografami. Urlop w Hamburgu.

Przypominam, że nie jest to łatwy okres dla popularności ABBY. Dociera już do nich fakt, że nie zestarzeją się razem. W styczniu 1979 roku rozwiedli się Agnetha i Björn, natomiast w styczniu 1981 roku Annefrid i Benny oznajmili publicznie, że postanowili się rozwieść. W tym czasie zresztą Björn ożenił się drugi raz z Leną Kallersjo. Syn Agnethy i Björna rozpoczynał dopiero czwarty rok życia.

4.

Tak więc w roku 1981 nieskalany dotąd świat ABBY zaczął się rysować i rozpadać i dlatego członkowie grupy zaczęli szczególnie zabiegać o względy publiczności. Lata 1981—82 wykazały, że publiczność zaakceptowała zmiany ABBY, bowiem zespół składał się z ludzi, którym nieobce były wszystkie ludzkie wady, błędy i uczucia. Przyszłość grupy nie mogła być zagrożona, bowiem członkowie ABBY nauczyli się rozdzielać swoje życie prywatne od zawodowego.

Na planie zaczyna się wielki ruch. Sandra i Gloria bledną z wrażenia. Otrzymały folder wraz z małą reklamową płytką. Wydaje się to wręcz nieprawdopodobne, ale ludzi wciąż przybywa.

ABBA obaliła zasadę, że dobra współczesna muzyka może powstać wyłącznie w Anglii i Ameryce. Ta czwórka ze Szwecji w ciągu kilku lat staje się milionerami i najpopularniejszymi ludźmi na świecie. Przedmiotami (właśnie tak) kultu.

I znów po raz nie wiem już który powiela się ekranowy mit Kopciuszka oparty na umiejętności odnalezienia społecznego i psychologicznego image podbudowanego muzyką, której w danym momencie oczekiwało ówczesne pokolenie młodych. Jest to ten sam klucz do wielkości, ten sam sekret, zjawisko podobnej miary jak kult filmowych gwiazd.

Kluby wielbicieli Jamesa Deana przekraczały w swoim czasie kilkanaście milionów członków. Rozbity na kalifornijskiej szosie Porsche, w którym zginął Dean, staje się relikwią. Samotny buntownik bez powodu, romantyczny kontestator był wytworem połowy lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku, podobnie jak Marylin Monroe wielki erotyczny mit stworzony przez określone mechanizmy społeczno-psychologiczne. Portrety takich gwiazd jak Rudolf Valentino, Humphrey Bogart, Rita Hayworth, Clara Bow, czy też nawet Brigitte Bardot, której życie prywatne i łóżkowe skandaliki były w okresie jej największych triumfów, szeroko opisywane na łamach gazet całego świata — podkreślają sens i strukturę mitu, jego socjologiczne i psychologiczne tło.

Francuski socjolog Edgar Morin określa owe mechanizmy jako „projekcja-identyfikacja" W muzyce pop mamy dobitny tego wyraz w kulcie Beatlesów. Młodzież świata nie tylko zaakceptowała muzykę Beatlesów, mit stworzony wokół nich, ale identyfikowała się z nimi, i razem z nimi przeżywała przeróżne historie i sytuacje odpowiadające ich potrzebom i tęsknotom, razem z nimi buntowała się, chociaż niestety był to niekiedy bunt w plastykowym opakowaniu, tworzony przez reklamowych speców show-bussinesu, gotowy i dostarczany prosto pod drzwi domów. Gwiazdy estrady zastąpiły gwiazdy kina.

Podobna sytuacja jest z polskim rockiem i jego nagłą eksplozją. Ośmielam się zaryzykować twierdzenie, że gdyby nie kryzys oraz próba bojkotu telewizji i radia po wprowadzeniu stanu wojennego, to nigdy nie zdobyłaby tak szalonej popularności „nowa fala" krajowej muzyki rockowej reprezentowanej przez Perfect, Korę i Maanam, TSA, Republikę, Turbo, Lombard itd. itp., która wtedy właśnie wtargnęła do telewizji i radia.

Z pewnością najbardziej dojrzałą grupą jest PERFECT. Jeszcze w maju 1979 roku grali w polonijnych klubach USA jako „Super Show and Disco Band Perfect". Zbigniew Hołdys potrafi zagrać każdą muzykę. Cenię również Marka Jackowskiego z Maanamu, którego pamiętam jeszcze z końca lat sześćdziesiątych jako utalentowanego muzyka z łódzkiej studenckiej grupy „Vox Gentis", ale reszta...

Weźcie dużo tupetu, cztery akordy, dwa pomysły z Joy Division lub „Jam" ewentualnie „Clash" dołóżcie do tego trochę energii rytmicznej Iron Maiden AC/DC, wymieszajcie to dorzucając szczyptę polskiego „jakoś to będzie" (na przykład niestrojna gitara lub wokalista) i ładujcie krajowy bunt dorosłych dzieci dla nieletnich.

Wierzę jednak w to, że nasza awangarda rockowa stanie się w wieku 40 lat czołówką muzycznego konserwatyzmu. Czyli już niedługo... jedna ze śpiewających dla nastolatków pań ma 37 lat, inne też przekroczyły wiek balzakowski.

5.

— Oni są boscy — szepcze w zachwycie Sandra.

— Przede wszystkim bogaci — Klaus Werner jest bardziej rzeczowy i nie kieruje się emocjami — ABBA to jest koncern przemysłowy. Zakupili galerię sztuki w Sztokholmie, są właścicielami kompleksu budynków sztokholmskiego Pałacu Sportu. Dyrektorzy Volvo mogą tylko marzyć o takich zyskach, jakie ma ABBA...

— Klaus, a czy ABBA przekształciła już swoje wydawnictwo muzyczne i firmę płytową w towarzystwo akcyjne? — pytam, bowiem według zapowiedzi ABBY, od 1982 roku miała istnieć możliwość zakupu ... akcji ABBY. Ale Klaus Werner już mnie nie słyszy.

Z gigantofonów „leci" muzyka ABBY. Artyści — już przebrani — wychodzą z kabaretu „Regina", reflektory są skierowane na nich, stojąca na szynach kamera drgnęła i wolno potoczyła się jadąc koło Szwedów śpiewających muzykę bezkonfliktową o trochę konsumpcyjnej estetyce...

...i nagle staje się kolorowo, lekko, łatwo, przyjemnie, chociaż to już nie jest „Józek nie daruję ci tej nocy", ale jeszcze nie jest „The cry of Love" (Okrzyk miłosny) Jimi Hendrixa.

Jest to po prostu muzyka potrzebna...

Po wrocławskim przeglądzie

Wieczornym koncertem laureatów w sali Teatru Polskiego we Wrocławiu, zakończył się VII Ogólnopolski Młodzieżowy Przegląd Piosenki. Impreza ma już swoje tradycje; poprzednio odbywała się co roku w Toruniu, a dwa lata temu organizacji przeglądu podjęli się działacze Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej z Wrocławia, choć — moim zdaniem — najwłaściwsze byłoby stworzenie imprezy młodzieżowej tego typu o charakterze „objazdowym" czyli sukcesywnie przenoszonej z miasta do miasta.

Samą imprezę finałową we Wrocławiu poprzedziły trzystopniowe eliminacje obejmujące cały kraj; wzięło w nich udział blisko trzysta zespołów i solistów reprezentujących wszystkie środowiska uprawiających amatorsko piosenkę. Podstawą do udziału w eliminacjach była chęć śpiewania po polsku polskich piosenek i... brak na koncie nagród festiwalowych.

11—14 kwietnia odbywały się w pomieszczeniach Wojewódzkiego Domu Kultury we Wrocławiu oraz w sali kameralnej Piwnicy Świdnickiej zajęcia warsztatowe i próby młodych wykonawców, którym konsultacjami służyli pedagodzy wyższych uczelni artystycznych i praktycy życia estradowego.

W tych samych dniach miały miejsce we Wrocławiu (Hala Ludowa) koncerty towarzyszące głównemu nurtowi przeglądu; były to imprezy rockowe pod wspólnym hasłem „Polrock'83", a uczestniczyły w nich m.in. tak renomowane grupy, jak „BAJM" czy „Lady Punk". Gościem była nowofalowa grupa z Niemieckiej Republiki Demokratycznej — „55".

Właściwy przegląd rozpoczął się w piątek, 15 kwietnia, kiedy to we wrocławskim WDK odbyły się popołudniowe przesłuchania konkursowe. Ponieważ muzyka rockowa nadal jest dominującą w zainteresowaniach muzykującej młodzieży w naszym kraju i w związku z tym zespoły rockowe stanowiły gros zgłoszonych do przeglądu i zakwalifikowanych do wrocławskiego finału wykonawców, postanowiono owe 21 grup uprawiających rocka skomasować w sobotę, a w piątek oddano estradę 14 solistom i 10 zespołom o innych niż rock muzycznych upodobaniach (choć nie znalazła się wśród laureatów, to jednak zaprezentowała się z dobrej strony łódzka grupa studencka kierowana przez Andrzeja Krauzego). Oczywiście, sobotni koncert — z uwagi na wspomnianą decyzję — cieszył się daleko większym powodzeniem młodych słuchaczy, którzy nie mając biletów i tak gromadzili się w pobliżu, próbując usłyszeć cokolwiek. A tak naprawdę, to i w piątek było czego posłuchać.

Dodajmy, iż przez dwa wieczory w Piwnicy Świdnickiej mieszczącej się w zabytkowym ratuszu na rynku Starego Miasta swoje programy zaprezentowały trzy kluby piosenki wyłonione także w drodze eliminacji. Gotowe programy artystyczne amatorów podlegały ocenie fachowców; liczyły się: pomysł, smak artystyczny, dobór repertuaru, bezpretensjonalne wykonanie, umiejętność zachęcenia do wspólnego śpiewania.

Reszta należała już do jury obradującego — w wyjątkowo tym razem szerokim składzie — pod przewodnictwem kompozytorki Katarzyny Gaertner. Werdykt miał określić skład „Złotej Dziesiątki" najciekawszych wykonawców, bowiem tradycyjnie nie są podczas przeglądu przyznawane kolejne nagrody. A oto lista — niestety, bez przedstawicieli Łodzi, co jest pewnym novum w porównaniu z poprzednimi laty — wyróżnionych umieszczeniem w „Złotej Dziesiątce": Agata Chmura, zespoły „Kodeks", „Kontrakt", „Poziom 600", „Przeciąg", Małgorzata Skalnik, Małgorzata Sury (okrzyknięta przez fotoreporterów Miss Obiektywu tegorocznego przeglądu), grupy „Tapir" i „Wrak", Renata Zarębska. Nagroda Specjalna Przewodniczącego Komitetu Rady Ministrów do Spraw Młodzieży przypadła całkiem zasłużenie Klubowi Piosenki z Białegostoku. Nagrodę Polskiej Agencji Artystycznej „Pagart" otrzymała grupa „Uniwers".

W koncercie galowym, oprócz wymienionych wyżej, wystąpili też niektórzy laureaci Ogólnopolskiego Młodzieżowego Przeglądu Piosenki z lat poprzednich. Ci ostatni mają już niemały dorobek: wielu z nich uczy się i studiuje w szkołach muzycznych, nagrywają dla radia i telewizji, występują za granicą. Latem i zimą, celem doskonalenia swych artystycznych umiejętności korzystali z opieki szkoleniowej w Lublińcu i Brzegu. Tam właśnie odbywają się rokrocznie, w okresach przerw w nauce (wakacje, ferie) Warsztaty Piosenkarskie i Muzyczne cieszące się olbrzymim zainteresowaniem ze strony utalentowanej młodzieży, która ma możliwość zetknięcia się z instruktorami-fachowcami, służącymi im swoją radą i doświadczeniem.

Na kolejne edycje Warsztatów zaproszeni zostaną także laureaci VII Ogólnopolskiego Młodzieżowego Przeglądu Piosenki we Wrocławiu i to jest dla nich jeszcze jedną, kto wie, czy nie najważniejszą, nagroda satysfakcjonującą ich dotychczasowy wysiłek włożony w przygotowanie do wrocławskiej konfrontacji.

Ogólnie poziom artystyczny przeglądu był dość wysoki. To dobrze, że rośnie nam estradowy narybek. Ważne, by wykazać o każdego z młodych — jak to się zwykło mówić — dobrze zapowiadających się wykonawców maksimum troski, zadbać o jego rozwój. W wielu wypadkach może się to opłacić pod każdym względem.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI